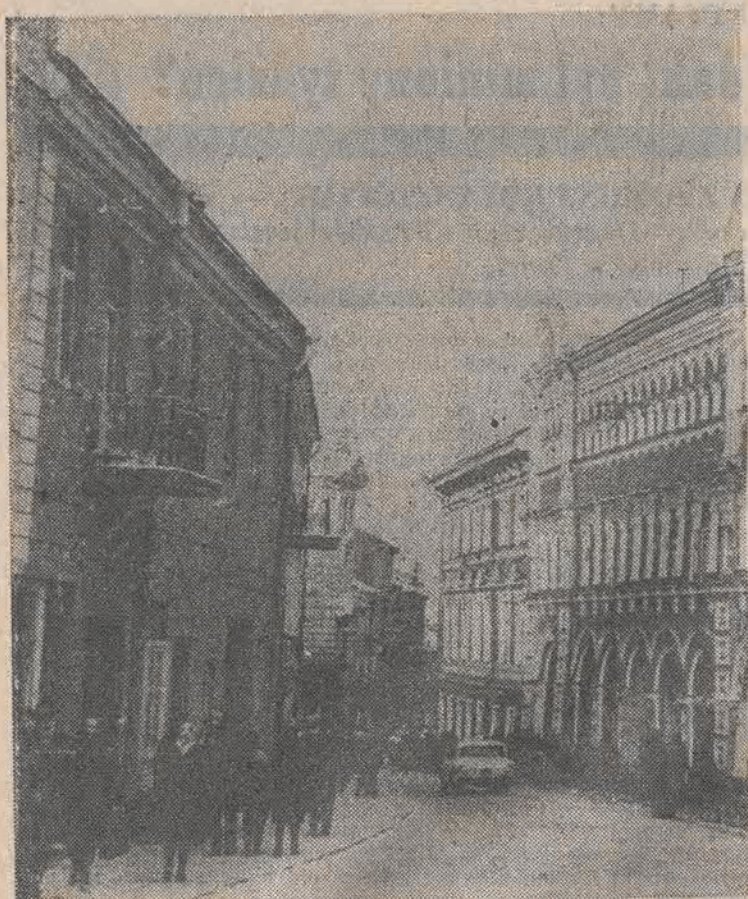




Zanim ukaże się książka „Kwaterna nr 139” — publikujemy kolejny fragment książki o marszałku Edwardzie Rydzu-Śmigłym.

Dzięki Ci, Matko, za Wilno

CEZARY LEŻEŃSKI

„Wiejski dworek. Dojechaliśmy do niego drogą tak błotnistą — wspomina Smigły — że konie z trudem brnęły naprzód, niechętnie poddając się naciskowi tyłek. Kwaterna dowództwa dywizji. W ciągu kilku lat wojny każdy z nas minął tyle dworów i dworków wiejskich. Ktoś w nich zawsze kwaterował. W dżdżyste, jesienne wieczory budziły światłem swych szyb obrazy zaciśniętego, ciepłego samowaru i białej pościeli. Kiedy indziej witaly strażnika żołnierza wiewem kwitnących brzoź i pieśnią brzęcząca z ciemnych gestwin sadu.

Gdzieś, w jakimś dworku zabrzmiał nad płaszczyzną piękniejszy śmiech kobiecy i w tym śmiechu zamknęło się bez reszty wspomnienie kwitnących kwiatów, czystości i przezroczystości powietrza, i ciemny zarys wyniosłych drzew, w których wierzchołki wplatały się roje gwiazd.

I oto jeszcze jeden dworek. Tym razem moja kwaterna w przeddzień marszu na Wilno w Wielkim Tygodniu 1919 r. Był on mniejszy od tylu innych, które wojna włączyła w me wspomnienia, biedny, jakiś nieśmiały i cichy. Ludzie zamieszkujący go byli również cisi, nie uderzał żadnym wybitnym rysem swego wyglądu. Dziś nie mogę sobie przypomnieć, czy byli młodzi, czy starzy.

Dzień był szary, mglisty, przejmujący chłodem. Jeden z tych dni, które najmiej spędza się w ciepłym domu. Dzień taki istnieje po to, by pogłębić błogostan samopoczucia posiadających własne cztery ciepłe ściany i by napić gorzycą bez miary nie mających własnego kąta.

Pogoda więc nie kusila mnie do wyjścia. Ścieżki, pokryte zeszłorocznymi gnijącymi liśćmi i zimową pleśnią, nie zapraszały do przechadzki, podróż zaś przebyta zapewne musiała zostawić po sobie strudzenie. A jednak natychmiast po załatwieniu spraw służbowych i po wydaniu rozkazu — wyrzuciłem płaszcz na ramiona i ruszyłem do ogrodu. Grabowa aleja doprowadziła mnie do altany, koło której stało kilku oficerów. Mając chwilę wolnego czasu wyszłam, podobnie jak ja, błądzić wśród wilgotnych drzew po osłizłych, miękkich dróżkach.

Jak ja wybrałam się na szukanie Mickiewicza w jego ojczyźnie. Pochodził podobnie, jak ja, z byłego zaboru austriackiego. Każdy z nas miał w swej przeszłości mniej lub więcej czynny udział w wielu gimnazjalnych uroczystościach Mickiewiczowskich.

Każdy z nas przy najrozmaitszych okazjach deklamował, drząc z tremy i wzruszenia, strofy Mickiewiczowskie. Gdy w latach chłopców wyprawiali się słowa tych strof, wyraży tak bardzo bliskie, takte dziwne proste i łatwe, a tak przejmujące i najistotniejszą treść rzeczy zamykające, miało się zmysłowe wrażenie czegoś pachnącego, jakichś rośnących okrytych konwalii, a równocześnie czuło się w ustach smak jakiegoś dojrzałego, soczystego owocu.

Z czasem pojęcia i wrażenia wywołane tymi wyrazami coraz bardziej się rozszerzały. Mickiewicz dawał nam słowa na określenie naszych młodzieńczych zachwytów, dawał styl tym, którzy swą duszę budowali. Uczył on nas Polski lepiej aniżeli jakikolwiek nauczyciel historii. Mocą wielkiej poezji ożywił i napędził prawdziwą treścią mądre, zwiedle frazesy podręcznika szkolnego. Tak było.

Litwa była dla nas Litwą Mickiewiczowską. Mickiewicza dopełniał później Grotgier i słusznie czy niesłusznie Andrioli. Poezja Mickiewicza była urokiem, który wtargnął w nasze życie, kwitł w latach górnej młodości, miał przetrwać wiek męski i zwiędnąć w starości równocześnie z życiem jako mara poezji.

Alé zdarzyło się, że oto my, rojący niegdyś w małopolskich zakątkach o Mickiewiczowskiej Litwie, przybyliśmy dalekimi, okólnymi, żołnierskimi drogami do ziemi Mickiewicza. I wyszliśmy w mglisty zmierzch między litewskie drzewa wiązać poetycką marę z dotykającą rzeczywistością.

Ten światek ciemny to światek Mickiewiczowski, jakiś błąd pierwszy wiosenny kwiat jest tym, o którym śpiewał Mickiewicz. Każdy z nas miał to wrażenie, że dopiero tutaj może wyobrazić sobie Mickiewicza takim, jakim był on rzeczywiście, że dopiero tutaj można znaleźć właściwy stosunek Mickiewicza do spraw i rzeczy.

I nie wiem, kiedy serce było pełniejsze, a dusza górniej spowita w płaszcz wielkiej poezji — teraz w wieku męskim, konfrontującym marzenia z rzeczywistością, czy dawniej w młodości, gdy usta po raz pierwszy zaczynały się układać w kształt słów Mickiewiczowskich.

Kiedy młody generał przyzywa wspomnienia lat chłopięcych i na równi wzruszają go przeżycia z Brzeżan co łotność ducha Mickiewiczowskiego, prawie w tym samym czasie, w pierwszej połowie kwietnia 1919 roku, kapitan Wacław Jędrzejewicz, oficer łącznikowy Sztabu General-

- Beznadziejna walka z administracją — str. 4 i 7
- Seks i przeznaczenie — str. 5
- Studenci o praktykach robotniczych — str. 6
- Charakter narodowy Polaków i Rosjan — str. 2

Nr indeksu 36762PL ISSN 0472-5042

Łódź tygodnik społeczno-kulturalny Odgłosy

NUMER 44 (1596) ROK XXXI 29 PAŹDZIERNIKA 1988 ROKU CENA 50 ZŁ

Widmo likwidacji krąży nad Łodzią. Czy jest wyjście z tej trudnej sytuacji?

Rąbnąć pięścią w warszawskie biurko

MAREK KOPROWSKI

Łódź ubożeje. Mam na myśli kulturalne oblicze miasta, choć, przypuszczam, nie tylko w tej dziedzinie życia da się zarejestrować widoczne, dotkliwe ubytki. Jedne placówki likwiduje władza (Ośrodek Działań Twórczych), inne trzeba zamykać, bo się wala (Filmharmonia), jeszcze inne ledwie zipią, nie próbując wychylić się poza straszną zasłankowość (Łódzki Ośrodek Polskiego Radia, a i Telewizja również), wytwórnie filmowe mało co robią z braku pieniędzy, poziom teatrów jest nędzny, najgorszy chyba w całym powojni. W ostatnich, znaczących, co by o nich nie mówić, wystawach nowej sztuki — „Arsenal” i „Świeżo malowane” — zabrakło przedstawicieli środowiska łódzkiego. Co się dzieje? Jeden Teatr Studyjny — w którym coś dobrego się dzieje — to zbyt mało jak na drugie miasto w Polsce. A może — jacy mieszkańcy, taka kultura?

Ostatnio widmo likwidacji coraz śmielej straszy w pomieszczeniach Studia Opracowań Filmów, czyli dubbingu. Oddział łódzki jest podporządkowany na wszystkie sposoby centrali warszawskiej. Instytucja ta istnieje od 1955 r., choć za datę jego powstania można uznać rok 1949, kiedy przy Łódzkiej Wytwórni Filmów Fabularnych powstał Wydział Dubbingu, który następnie przekształcił się w samodzielną instytucję filmową. W r. 1957 do Studia włączy-

no redakcję opracowań filmów w napisach i w ten sposób powstało jedyne w kraju specjalistyczne przedsiębiorstwo opracowujące filmy we wszystkich formach — w dubbingu, komentarzu i napisach. Od r. 1959 Studio rozpoczęło współpracę z Telewizją. Realizacja dubbingu dla potrzeb telewizji wymagała całkowitej zmiany metod pracy, technologii i aparatury. Wyasygnowano więc ogromne sumy na zakup nowego sprzętu, nauczono się nowych metod pracy — wszystko po to, aby zaspokoić potrzeby nowego zleceniodawcy. Pod koniec lat siedemdziesiątych, w ciągu roku realizowano w dubbingu 200 filmów dla telewizji i zaledwie 40 przeznaczonych do rozpowszechniania w kinach.

Skoło wymieniamy ilości, trzeba powiedzieć i o jakości. Ponieważ pracę dzieli centrala, do opracowania w Łodzi trafiają obrazy gorsze albo bardzo trudne. Nawet z serii „Dzieł wszystkich” Szekspira, Warszawa wybiera sobie „Hamleta”, „Otella” czy „Romea i Julię”, podrzucając Łodzi mniej znane tytuły. Z trudniejszych realizacji dostaliśmy np. „Persewala z Walii”. Kto oglądał, wie, jak trudne zadanie zlecono Studiu. Wiele również, jak się z tego łodzi nie wywiązali.

Oficjalnie nikt Studia nie likwiduje. Jednak decyzje centrali warszawskiej, posunięcia te-



Collage: Grzegorz Gałasiński

W życiu seksualnym mężczyźni łatwo się podniecają i szybko osiągają satysfakcję. Kobiety za to doznają więcej rozkoszy.

Seks i przeznaczenie

MIROSLAWA SARBIŃSKA

Trudno uwierzyć, że słynny korsarz angielski Francis Drake napadł w XVI stuleciu na miasteczko Riochacha w Ameryce tylko po to, żeby kilka wieków później Aureliano Babilonia mógł kochać się i splodzić dziecko ze swą ciotką Amarantą Ursulą. Ale tak było napisane w genialnej przepowiedni Cygana Melquiadesa, który znał tajemną wiedzę Nostradamusa i przewidział wszystko aż do najblahszych szczegółów.

Niestety treść pergaminów Melquiadesa udało się rozszyfrować dopiero w momencie nieuchronnego upadku rodu Buendíów i miasta Macondo.

Wcześniej próby odczytania i zrozumienia kończyły się fiaskiem. Nie tylko z powodu nieudolności i braku wytrwałości, lecz przede wszystkim dlatego, że były przedwczesne. Mądrość — jak heglowska sowa Minervy — nie wstaje nigdy przed świtem. Zawsze przychodzi za późno.

„Kiedy filozofia o szarej godzinie maluje swój świat, wtedy pewne ukształtowanie życia już się zeszło, a szarością o zmroku nie można niczego odmłodzić; można tylko coś poznać. Sowa Minervy wylatuje dopiero z zapadającym zmierzchem”.

Napad korsarza Francisza Drake'a w drugiej połowie XVI wieku.

trzeba widzieć w całościowym planie i długim łańcuchu zjawisk przyrodniczo-historycznych. Spowodował go jakiś ciąg przyczyn, a potem sam napad wywołał określone skutki. Nie ulega wątpliwości, że gdyby nie było tego napadu, to niektóre wydarzenia potoczyłyby się inaczej bądź w ogóle nie miałyby miejsca.

Huk dział i bicie dzwonów na trwogę tak bardzo wystraszyły żonę pewnego kupca aragońskiego, że usiadła na rozpalonej płycie kuchennej. Przez to już do końca życia stała się bezużyteczną małżonką. W dodatku trapiły ją koszmarny senne i dręcząca dziwna obsesja, że jej ciało czuło spaleniźną.

Z tych względów kupiec aragoński opuścił z rodziną niebezpieczne miasto i zamieszkał w zapadłej wsi daleko od morza, gdzie pewien Kreol uprawiał tytoń. Po jakimś czasie praprawnuczka Aragończyka posłużyła praprawnukowi owego Kreola. A później potomkowie spokrewnionych rodów, Ursula i Jose Arcadio, zawarli związek

małżeński i zapoczątkowali historię Buendíów i Macondo.

Nie sposób więc zaprzeczyć, że napad angielskiego korsarza oraz wiele przypadków i zdarzeń losu wpłynęło na dzieje różnych ludzi i społeczności. W chwilach złości na swego męża Ursula przeklinała godzinę, w której Francis Drake napadł na Riochacha, choć od tamtego czasu minęło już trzysta lat.

W przywołanej tu powieści Gabriela Garcíi Marqueza wszystkie zdarzenia uwarunkowane są przeznaczeniem. Losy poszczególnych postaci są z góry określone. Ale bohaterowie w żaden sposób nie mogą ich poznać. Przyszłość jest nieodgadniona. Na końcu dopiero możemy stwierdzić, dokąd wiodły spłoty zdarzeń. Jesteśmy mądrzy po szkodziu.

Czy przeznaczenie jednak naprawdę istnieje? Przecież ludzie dokonują wyborów. Na przykład Amaranta w ostatniej chwili dobrowolnie zrezygnowała z małżeństwa. A po samobójczej śmierci narzeczonego nie skorzystała również z drugiej okazji. Z niejasnych powodów sama skazała się na

Ogłosy

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka
Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny
36-52-44
sekretarz redakcji,
fotoreporter 36-80-99,
publicysta: 36-77-70,
32 89-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz
Włodkowski.

Zastępca redaktora
naczelnego: Edmund
Lewandowski.

Sekretarz redakcji:
Gratyna Olechnowicz.

Kierownik działu
literackiego: Henryk
Pustkowski.

Redaktor techniczny:
Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski,
Dariusz Dorczyński,
Andrzej Gębarowski.

Eugeniusz Iwanicki, Teresa
Jerzykowska, Marek
Koprowski, Jerzy
Kwieciński Bogda Madej,

Andrzej Makowiecki,
Paweł Tomaszewski,
Marian Zdrojewski.

Grafik: Janusz
Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz
Gałasiński.

Korekta: Mariola Knaga,
Jolanta Sawiuk

Stale współpracują:
Tadeusz Błaziejewski,
Marek Brzeziński (Londyn),
Bohdan Gadomski,

Grzegorz Gazda, Andrzej
Karoluk Witold
Kasperkiewicz, Andrzej
Kempa, Wasyl

Kacznow (Iwanowo),
Włodzimierz Krzemieński,
Zenon J. Michalski,

Ryszard Nakonieczny,
Adam Ochokci Jerzy
Panaszewicz Karol J.

Stręski Maciej Świełkocki
Ogłoszenia: Biuro Reklam i O-
głoszeń Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5
tel. 32 59 11

Organizacja reklam: Andrzej
Bartolowicz tel. 36-80-99.

Za treść ogłoszeń redakcja nie
odpowiada

Wydawca: Łódzkie Wydawnic-
two Prasowe RSW „Prasa
-Książka-Ruch” 91 103 Łódź,
ul. Sienkiewicza 3/5

DRUK: Prasowe Zakłady Gra-
ficzne RSW „Prasa Książka
-Ruch” Łódź, ul. Armii Czerw-
nej 28

Redakcja nie zwraca nie za-
mówionych rękopisów i zastrze-
ga sobie prawo do skrótów. Za
treść ogłoszeń redakcja nie odpo-
wiada

Warunki prenumeraty: 1 Dla
instytucji i zakładów pracy —
zlokalizowane w miastach woj-
ewódzkich i pozostałych miastach,
w których znajdują się siedziby

Oddziałów RSW „Prasa Książka
-Ruch” zamawiają prenumeratę
w tych oddziałach — in-
stytucje i zakłady pracy zlo-
kalizowane w miejscowościach

gdzie nie ma Oddziałów RSW
„Prasa Książka-Ruch”, opłacają
prenumeratę w urzędach poczt-
owych i u doręczycieli. 2 Dla

indywidualnych prenumera-
tów — osoby fizyczne zamiesz-
kające na wsi i w miejscowościach,
gdzie nie ma oddziałów RSW

„Prasa Książka-Ruch” opłacają
prenumeratę w urzędach poczt-
owych i u doręczycieli. Osoby

fizyczne zamieszkałe w miastach
— siedzibach Oddziałów RSW
„Prasa Książka-Ruch” opłacają
prenumeratę wyłącznie w urzę-
dach pocztowych nadawczo-od-
dawczych właściwych dla miejsca

zamieszkania prenumeratora.
Wpłaty dokonuje się używając
blankietu „wpłaty” na rachunek
bankowy miejscowego Oddziału

RSW „Prasa Książka-Ruch”. 3
Prenumeratę ze zleceniem wy-
syłki za granicę przyjmuje
RSW „Prasa Książka-Ruch”
Centrala Kolportażu Prasy i

Wydawnictwo ul. Towarowa 23,
00-958 Warszawa konto PKO BP
KV Oddział w Warszawie nr
1658 201045 139 11 Prenumerata

ze zleceniem wysyłki za granicę
począta rzywką jest droższa od
prenumeraty krajowej o 50 proc.
dla zleceniodawców indywidual-
nych i o 100 proc. dla zlecają-
cych instytucji i zakładów pracy

Terminy przyjmowania pre-
numeraty na kraj i za granicę —
od dnia 10 listopada na I kwartał
i półrocze roku następnego oraz
cały rok następnego — do dnia 1
każdego miesiąca — poprzedzają-
cego okres prenumera-
ty roku bieżącego

Zam. 3332. S-14

Przegląd prasy

W ubiegłym roku pisałem na
łamach „Ogłosów” (nr 37) o
charakterze narodowym Rosjan.
Czytelnikom zainteresowanym
tym problemem polecam szkic
Joanna Kologriwowa, który
przedrukował miesięcznik do-
minikanów „W DRODZE” (nr
8).

Joann Kologriwowa twierdzi,
że w świadomości Rosjan o-
gromne znaczenie ma stosunek
do ziemi, poczucie jej wielko-
ści. Charakter rosyjski w dużym
stopniu został wyznaczony przez
specyficzne podłoże geograficz-
ne.

„W kraju bezkresnych dali i
niewymierzonych przestrzeni,
kraju o surowym klimacie, bez
żadnych wewnętrznych i bez
określonych zewnętrznych granic
geograficznych, szeroko otwa-
rty na wszelkie możliwości
najazdy, w człowieku łatwo
kształtuje się świadomość jego
własnej, fizycznej słabości i
marności wszystkich jego
spraw. Po co — myśli on —
gromadzić i zabiegać o to, co
skazane jest na zagładę? Po co
podporządkowywać się normom
prawnym, które dziś coś zna-
czą, a jutro stracą znaczenie?
Człowiek instynktownie przy-
wiązuje się do tego, czego mu
nie można odebrać”.

Rosjanie nie są tak przywią-
zani do własności i wygod
życiowych jak ludzie Zachodu.
Nie są wcale przekonani, że
własność jest święta. Ta nie-
zależność duchowa jest źród-
łem buntu przeciwko burżu-
azyjnemu światu. Przy czym
buntują się wspólnie rewolucjo-
niści i reakcyjniści.

Przyroda i historia przyzwy-
czaiły Rosjan do cierpienia.
Uznają oni solidarność w winie
i cierpieniu. Szanują i cenią
cierpienie.

W świadomości religijnej na-
rodu rosyjskiego dominuje idea
powszechnego zbawienia. Wszy-
scy razem mają się zbawić, a
nie każdy osobno. W ten sposób
myśleli również Wissarion Bie-
liński, Nikołaj Czernyszewski,
Michail Bakunin, Aleksander
Hercen, Włodzimierz Lenin.
Szukali zbawienia dla narodu
i całej ludzkości. Byli przeko-
nani, że wszystkich trzeba u-
wolnić od zła i cierpienia. W
myśli zarówno wierzących jak
i niewierzących Rosjan zakor-
zeniony jest duchowy kolektywizm.

Joann Kologriwowa podziela
pogląd, że Rosjanin nigdy nie
jest bez Boga. Zawsze bowiem
jest z Bogiem lub przeciw Bo-
gu.

CHARAKTER POLAKÓW

Na temat polskiej świadomości
narodowej warto przeczytać
w krakowskim „ZDANIU” (nr
9) esej Andrzeja Walickiego.
Uważa on za fakt niewątpliwy
pewne podobieństwo między
„Solidarnością”, a staropolską
demokracją szlachecką. Zwrócił
też na to uwagę historycy za-
chodni interesujący się dziejami
Europy wschodniej. Norman
Davies — autor dwutomowej
historii Polski, która stała się
bestsellerem — pisał następują-
co:

„Struktura organizacyjna «So-
lidarności» jest dziwnie podo-
bna do Sejmu i sejmików daw-
nej Rzeczypospolitej. Waleśa
niezmiennie staropolski szlachcic,
którego przypomniał tak niesia-
mowicie, wydaje się rozumieć
instynktownie, że głównym nie-
bezpieczeństwem są absolutysty-
czne pretensje władzy państwo-
wej. Jeśli jest tak w istocie,
to polska klasa robotnicza mo-
że okazać się siłą odradzającą
polityczne tradycje demokracji
szlacheckiej — tradycje, które
przetrwaly widocznie dwa stu-
lęcia ucieku”.

Andrzej Walicki przyznaje
tę tycję tym, którzy mówią o
skłonności Polaków do gloryfi-
kowania swych klęsk. W przeci-
wieństwie do innych narodów
— jak zauważył Czesław Mi-
łog — świętujemy nie zwycię-
stwa, lecz klęski. Podobny zryw-
czaj mają Żydzi, ale to my,
Polacy, zarzuciliśmy ich kultem
klęsk i cierpienia.

„Polskie gloria victis tak
mocno utkwiło w świadomości
zbiórowej, że zapomnieliśmy
nie ma doszczętnie, iż jest to od-
wrócenie tradycyjnego vae victis
— maksymy, za którą stała
starożytna praktyka suro-
wego karania wodzów przegranych
wojen. Żydzi też otaczają

kultem klęskę, której doznali
od Rzymian pod Masadą, ale
kult ten (jak twierdzi wielu
historyków izraelskich) pojawił
się u nich dopiero pod wpły-
wem tradycji romantycznego
patriotyzmu polskiego; przed-
tem bowiem każda klęska, na-
wet najbardziej heroiczna, trak-
towana była jako powód do
wstydu raczej niż do chluby”.

Co jeszcze przejęli od nas
Żydzi? Pięć lat temu przeczy-
tałem w „ZNAKU” (nr 2-3), że
we współczesnym języku he-
brajskim niemałe są wpływy
rosyjskie (bardziej jednak
rosyjskie niż polskie). Oto dwa
znamiennie zapożyczenia: bala-
gan — balagan, chaltura —
chaltura. Na szczęście oba sło-
wa my też zapożyczaliśmy od
innych, ale znakomicie się przy-
jęły.

ŻYDZI W POLSCE LUDOWEJ

W poprzednim wydaniu „PO-
LITYKI” (nr 42) ciekawe
wspomnienia opublikował Artur
Sandauer. Przedstawia w nich
własne spojrzenie na pierwsze
miesiące władzy ludowej i sy-
tuację obywateli pochodzenia
żydowskiego.

„Przy całej wielopartyjności
faktyczną władzę sprawowała,
czuło się wyraźnie, PPR (Pol-
ska Partia Robotnicza), powstała
z połączenia dwu grup, róż-
niących się i składem, i ogólnym
nastawieniem. W pierwszej —
jak w ogóle w przedwojen-
nej KPP — znaczną rolę od-
grywali ludzie pochodzenia ży-
dowskiego, którzy uszli przed
Hitlerem do ZSRR. Właściwa
PPR powstała w kraju, Żydów
«oficjalnych» tam wówczas było
nie wiele. Byli jednak «nie-
oficjalni», posiadający dobry
wygląd, no, i aryjskie papie-
ry...”

Teraz przedwojenni pariasy
wracali w glorię oficerskich
mundurów. Hitler, okazywało
się, nie dobił wszystkich, nie
odwalił roboty do końca. Nie-
dobici — nie byli w AK, nie
mogli powiązań z Londynem.
Cóż dziwnego, że cieszyli się
zaufaniem władz? Przeważnie
zresztą byli to przedwojenni
komuniści. Czemuż nie mieli
być oddani ustrojowi, który ich
wznowuprawniał?

Równouprawniali jednak czy
— faworyzowali? Rewolucji w
Polsce nie było, znaczna część
narodu była nowym porządkom
przeciwna. Czy robili dobrze,
biorąc udział w sprawowaniu
władzy, której większość nie
uważała za swoją? Prymas
Hlond odmówił pośpiechu po-
gromu kieleckiemu, zarzucając
Żydom udział we władzach
regimenu, natomiast po-
grom potępił zdecydowanie bi-
skup częstochowski Kacmarek
oraz „Tygodnik Powszechny”.
Odczuwałem nader boleśnie
fałszywość tej sytuacji, która
miała w sobie coś z maskarady:
byłem automatycznie szerego-
wany po stronie przejmujących
władzę. (...)

Osoba moja budziła, czulem
to przez skórę, pewne supozycje.
Przychodziłem ze wscho-
du, przychodziłem w mundurze,
należałem do tych, o których
wspominał Hlond. Z drugiej
strony od rozmaitych wielkości
międzywojennych spotykał-
mnie deklaracje przyjaźni, z
których — tylko korzystać”.

Artur Sandauer początkowo
był oficerem bez stopnia. A
później, w Chełmie przyznano
mu stopień podporucznika oraz
delegowano do „Polski Zbroj-
nej” — centralnego organu
WP.

O sytuacji Żydów w Polsce
Ludowej pisze też Krystyna
Kersten w bardzo opóźnionym
miesięczniku „RES PUBLICA”
(nr 5). Jej zdaniem, kwestia
żydowska została wykorzystana
w walce politycznej; najpierw
między obozem rządzącym i je-
go przeciwnikami, a potem w
obrębie obozu rządzącego.
Większość społeczeństwa utoż-
samiała władzę ludową z Ży-
dami. Przez to zdarzyły się dwa
„szylidy”: Polak-antysemita i
Żyd-komunista.

„Dla przeciwników nowego
porządku sprzężenie Żydzi —
władza, stanowiło dowód ob-
cego charakteru tej władzy, jej
antynarodowego oblicza. Przy-
pomnę, że aby być uznanym za
Żyda, nie trzeba było posiadać
żydowskich przodków, wystar-
czało zasiadać w Biurze Poli-
tycznym lub na fotelu ministe-
rialnym. (...)

Proponuję częściowego eli-
minowania osób pochodzenia ży-
dowskiego miały uwierzytelnić
narodowy charakter władzy i

odwrócić zarazem uwagę od
istotnych problemów, przerzu-
cając na Żydów winę za wszel-
kie zło. Wydawało się to tym
prostsze, że wiele osób z owym
piętnem żydowskim zajmowało
w latach 1948-55 lub wcześ-
niej ważne pozycje w życiu
publicznym, między innymi
również w Prokuraturze Woj-
skowej i w MBP”.

PRZYGNEBIAJĄCA AKTUALNOŚĆ

Na posiedzeniu plenarnym
Sejmu PRL 19 września br.
jedno z najeleńszych wy-
stąpienia miał prof. Nikołaj Ko-
zakiewicz (ZSL). Pełny tekst
ukazał się w najnowszym
„DIARIUSZU SEJMOWYM”
(nr 9). Zacytuję fragment, nad
którym warto głęboko pomy-
śleć:

„Oto w roku 1790 przed u-
chwaleniem Konstytucji 3 Ma-
ja jeden z posłów mówił na
Sejmie: «Chodzi o to, żeby
Rzeczpospolita zerwała alians z
retoryką, a zawarła z logiką». Mógłby ten poseł sprzed 200
lat i dzisiaj w tej sali Sejmu
polskiego powtórzyć te słowa,
trafiając w sedno naszych o-
becnych niepowodzeń z reforma-
m. Nie brakowało nam bo-
wiem w ostatnich latach refo-
ryki, pięknych przemówień,
świetnych artykułów i refera-
tów, słusznych pomysłów i pro-
gramów działania, a nawet
wielu pojedynczych słusznych
zmian i reform. Zabrakło jed-
nak wewnętrznej logiki podej-
mowanych reform. Zabrakło
odważnej konsekwencji we
wprowadzaniu w życie nowych
zasad gospodarowania i rzę-
dzenia krajem.

Można więc rządzącym tym
krajem postawić ten zarzut, ja-
ki w końcu XVIII wieku Stani-
sław Staszic postawił szlach-
cie polskiej, która jego zda-
niem robiła ustami zamiast
głową i reką. Byłoby jednak
nieprawdopodobnie oskarżać o
to tylko rządzących. Czyż w
ostatnich latach do wielu in-
telektualistów i naukowców,
ekspertów, konsultantów nie
pasuje jak ulał krytyka wygło-
szona w 150 lat później przez
Bolesława Prusa pod adresem
jak określał «klasę inteligent-
nych, którym się wydaje, że
nie zawsze można coś zrobić,
ale zawsze można coś wysa-
dzać». No i my także gadali-
śmy, dyskutowaliśmy, konsulto-
waliśmy, prognozowaliśmy, a
czas uciekał. Wygadać się dało
bardzo dużo, zrobić bardzo nie-
wiele.

Ta trwałość cech Polaków do-
wodzi, że łatwiej jest zmienić
ustrój niż charakter narodu.
Największą, najwłaściwszą ob-
ywatela wieku XVI, XVII,
XVIII chłostali takie cechy na-
rodowe, jak pycha, sobiepań-
stwo, warcholstwo, samowola,
prywatność, przekupstwo, widząc
w nich źródło wszelkiego zła i
upadku Rzeczypospolitej. Dzi-
siaj używamy tylko innych ter-
minów, jak arogancja władzy,
skłonność do anarchii, niepo-
szanowanie prawa, znieczuła
moralna, bylejakosć pracy, ko-
rupcja, kumoterstwo, ale istota
przywar Polaków nie uległa
zmianie. Czyż nie jest to przy-
gnębiająca?”

INFORMACJA GUS

Blaski i cienie naszej gospo-
darki po trzech kwartałach
1988 r. ukazuje najnowszy ko-
munikat GUS wydrukowany w
całości w organie rządowym
„RZECZPOSPOLITA” (nr 245).
Wynika z niego, że nie słabnie
gonitwa plac i cen. We wrześ-
niu br. przeciętne wynagrodze-
nie w pięciu działach gospodar-
ki społecznej (przemysł, bu-
downictwo, transport, łączność,
handel) wynosiło 56,3 tys. zł i
było wyższe aż o 87,2 proc.
porównaniu z wrześniem ubie-
głego roku. Natomiast przeciętna
emerytura i renta wynosiła
28,1 tys. zł i była wyższa o
56,3 procent.

Należy pamiętać, że płace i
ceny podlegają wahaniom se-
zonowym. Piszę o tym w ty-
godniku „POLITYKA” (nr 43)
prezes GUS prof. Wiesław Sa-
dowski. Silny wzrost plac wy-
stępuje corocznie na jesieni, ze
szczytem w grudniu, a relatyw-
ny spadek w styczniu.

E. L.

PYTAMY:

Jaki był miniony tydzień?

ZYGMUNT KRZYSZTOFIK — dyrektor na-
czelny Okręgowego Przedsiębiorstwa Przemysłu
Mięsnego w Łodzi:

— W przedsiębiorstwie minął spokojnie, bez większych napięć.
Skup i zaopatrzenie przedsiębiorstwa w surowce było dobre.
Plan dostaw mięsa i wędlin dla Łodzi realizujemy z wyprzed-
zeniem, które w końcu minionego tygodnia wynosiło 247 ton.
W sobotę mieliśmy drobną „wpadkę”, a mianowicie do sklepu
w „Juventusie” samochód z mięsem dotarł dopiero na piętnaście
minut przed jego zamknięciem. Pokazała to łódzka telewizja.
Oczywiście sprawę wyjaśnimy.

Jak chyba wszyscy, z uwagą śledzę posunięcia nowego rządu,
w tym — dotyczące bezpośrednio rolnictwa i przemysłu spożyw-
czego. Są one interesujące, ale... Chciałbym doczekać chwili, kędy
wreszcie pozwoli się nam działać zgodnie z założeniami re-
formy gospodarczej. A do tego wciąż jeszcze, niestety, daleko.
Sama demonopolizacja skupu i przerobu mięsa, przy zachowa-
niu systemu kartkowego i sztywnych cen, niewiele — moim
zdaniem — zmieni, już choćby dlatego, że w jej wyniku mięsa
nam przecież nie przybędzie. Uważam, że w naszej branży po-
winna obowiązywać swobodna gra sił w dziedzinie kształtowania
cen skupu żywca i wyrobów gotowych. I nie przemysł mięs-
ny, ale handlowcy powinni odpowiadać za zaopatrzenie rynku.
My zajmujemy się produkcją, a handlowcy niech kupują to, co
chcą, za ile i gdzie chcą. Wtedy dopiero będzie prawdziwa kon-
kurencja. Wbrew pozorom, takiej konkurencji z prywatnymi czy
spółdzielczymi producentami wcale się nie boimy. Powitamy ją z
prawdziwą radością.

JAN BEDNAREK — naczelnik stacji PKP Łódź-
-Fabryczna:

— Jak zwykle największe kłopoty mieliśmy z utrzymaniem
czystości. Bo chociaż już od października ubiegłego roku, a za-
tem wcześniej niż zapadła decyzja ministra obowiązuje u nas za-
kaz palenia na stacji, to nie wszyscy podrozni go przestrzegają.

Trwają przygotowania do uruchomienia kas międzynarod-
owych. Prawie rok czekaliśmy na uzgodnienia w tej sprawie, gdyż
jest to związane z pobieraniem opłat w obcych walutach. Na
szczęście ten etap mamy już poza sobą i myślę, że wraz z po-
czątkiem nowego roku powinniśmy już zacząć normalną sprze-
daz biletów. Jeśli otrzymamy cztery obiecywane nam dziurkarki
elektroniczne, wkrótce też otworzymy dwie nowe kasy, co z pew-
nością przyczyni się do skrócenia kolejek, a i nam ułatwi pracę.

Jeżeli chodzi o wydarzenia w kraju, to z uwagą śledziłem
przebieg narady w Ursusie, na której szczególnie podobały mi się
wystąpienia wicepremiera Patorskiego i nowego ministra prze-
mysłu, Wilczka. Były bardzo obiecujące. Pozostaje jeszcze py-
tanie, czy rządowi premiera Rakowskiego uda się zrealizować
wszystko to, co sobie zakładają. Jestem tu bardzo ostrożnym op-
tymistą, gdyż zapowiedzi zmian było już wiele, zaś konkretnych
działań — stanowczo za mało. Ot, choćby problem walki z bio-
rakcją. Od jak dawna się o nim mówi! A wyniki... U nas na
przykład idzie to w kierunku zmniejszenia ilości etatów, ale
nie — zmniejszenia ilości papierków, których wciąż jest — moim
zdaniem — za dużo. Sądzę, że kolejność powinna być raczej
odwrotna: najpierw mniej papierków, potem — ludzi.

Prof. LESZEK WOJTCZAK — rektor Uniwersy-
tetu Łódzkiego:

— Sytuacja na Uniwersytecie Łódzkim, jak i w innych uczel-
niach, jest pochodną tego, co aktualnie dzieje się w kraju. Wszy-
scy czekamy więc w napięciu na rozwiązania wielu istotnych
problemów, w tym oczywiście szczególnie tych, które dotyczą
funkcjonowania szkół wyższych. Liczymy, że samorządność uni-
wersytetu będzie wreszcie rzeczywista, nie zaś fikcyjna. Przygo-
towujemy się do zmiany ustawy o szkolnictwie wyższym, która
to zmienia jest jak najszybciej potrzebna. W poprzedni ponie-
dzialek na przykład na zjeździe księgowych żywo dyskutowano
była sprawa samodzielności finansowej uczelni. To bardzo waż-
na kwestia, ponieważ trudno zrobić coś ze związanymi rękami,
a jako rektor czuję to bardzo często.

W minionym tygodniu odbywały się też spotkania i zebrania,
na których zarówno studenci, jak i pracownicy omawiali prob-
lem samorządności studenckiej. Tu również wiele musi się zmie-
nić i chyba wszyscy jesteśmy tego świadomi. Na razie nasza
młodzież wykazuje dużo rozsądku i rozważli, co przyjmując z za-
dowoleniem.

Notował: **PAWEŁ TOMASZEWSKI**

W najbliższych numerach „Ogłosów”

— 18 czerwca 1945 r. przed Kolegium Wojskowym Sądu Naj-
wyższego ZSRR w Moskwie rozpoczął się proces przywódców
polskiego podziemia. W śledztwie zapewniono szesnastu Polakom
warunki lepsze niż innym więźniom. Proces był doskonale przy-
gotowany — artykuł **EDWARDA GRZEDZINSKIEGO**.

— Jest tytanem pracy. Zaczyna dzień przed szóstą a kończy
dobrze po północy. Ma czas wypełniony co do minut. Ziołłwi
twierdzą, że celowo urodził bliźnięta, żeby nie tracił dwukrot-
nie czasu na to samo — o życiu i dokonaniach Margaret Tha-
tcher pisze **WIKTOR WYSZYWAŁ**.

— Jego matka urodziła dwanaścioro dzieci, co wówczas było
rzadkością, ale przeżyło tylko sześć. Ojciec był drobnym rolni-
kiem, przywodził na Lubelszczyznę z okolic Tarnobrzega —
pierwszy odcinek szkieł **LUCJUSZA WŁODKOWSKIEGO** o Bo-
lesławie Bierucie.

— Na placu przed stołową gromadzi się około 600 osób. Wie-
lu studentów stoi w powtarzanych oknach sąsiednich akadem-
ików. Wiec zorganizował łódzki NZS — reportaż **MARKA**
BLASZKOWSKIEGO.

— Od kilku miesięcy nie obsadzone jest jedno z najbardziej
ekspozycyjnych stanowisk w Łodzi. Nie skutkują prośby, ani
nagania. Nie kuszą spore pieniądze. Nie pociągają splendor wła-
dzy — reportaż **ANDRZEJA GĘBAROWSKIEGO**.

— Spojrzałem na handlarza z nienawiścią i nagle z całej siły
cisnąłem w niego talerzem. Ugodził go prosto w głowę. Ja
natomiast wziąłem nogi za pas. Nawet się nie obejrzałem. Wy-
dawało mi się, że go zabijem — tak pisze **NAGUIB MAHFOUZ**,
tegoreczny laureat Nagrody Nobla.

— Co się wydarzyło w tym wysokim i czystym jak kremato-
rium gabinecie, kiedy wycitano moje nazwisko? Młody lej-
tnant, rozkoszując się, wypisał przepiękny nakaz aresztowania —
opowiadanie **BORYSA JAMPOLSKIEGO**.

Ostatnio wszyscy mówią przede wszystkim o okrągłym stole. Odnoszę niekiedy takie wrażenie, że fakt, iż przy tym stole usiadł kilka osób i rozpoczną między sobą rozmowy, zmieni nam i tak niełatwą sytuację. Czyżbyśmy znów oczekiwali cudu — tym razem za pośrednictwem stołu? Słucham i czytam wypowiedzi różnych ludzi, o czym — ich zdaniem — powinno się rozmawiać przy okrągłym stole. Młodzież powiada, że przede wszystkim o ich szansach życiowych. Studenci chcieliby, aby im stworzyć nowe warunki do zrzeczania się, jakby to był ich największy kłopot. Rolnicy powiada, że przy okrągłym stole trzeba rozstrzygnąć przyszłość rolnictwa, zdjąć z niego krepujący gorset przepisów, urealnić ceny za środki produkcji, równorzędnie traktować rolnika indywidualnego, spółdzielczego i tego z PGR. Rzemieślnicy oczekują poprawy sytuacji rzemiosła. Pedagodzy — oświaty, a wszyscy razem —

przeróżne smakołyki? Nie sądzę. W czym więc rzecz? Pełne są usta i pełne łamy pism nadziei związanych z okrągłym stołem. Powinno to zmusić do refleksji, do zastanowienia. Może najpierw o tym, że do tej pory nie usłyszałem, ani nie przeczytałem wypowiedzi, która byłaby przeciwna inicjatywie gen. Czesława Kiszcza. Zdarzają się wprawdzie nieśmiałe obawy, aby całej tej sprawy nie przegadano, że zbyt długo trwałaby przygotowanie, że się niepotrzebnie rzecz przedłuża. Ale tych, którzy byłiby przeciw, którzy publicznie powiedzieliby, że nie widzą w tym sensu, takich nie widzę, o takich nie słyszę. Czy to znaczy, że ich nie ma? Nie sądzę. Są, ale wolą się nie wychylać. Zawsze zresztą zdarzają się ludzie, którzy programowo są przeciwni.

Uwagę moją zaprzęta jednak zupełnie coś innego. Jeśli tylu ludzi ma tak wielkie i ważne nadzieje na przyszłość i wiążą je z okrągłym stołem, to jak wobec tego spełniają swoją rolę istniejące do tej pory róż-

niez chcą decydować o losie fabryk. Czterdzieści parę lat temu robotnicy wzięli fabryki we własne ręce, odbudowali je i uruchomili, często nie pytając o zapłatę. Rozumieli, że jest to ich. Później im ich fabryki faktycznie zabrano i... upaństwowiono, choć teoretycznie nazywa się, że oni są nadal ich właścicielami. Ale oni chcą być współwłaścicielami tych fabryk, a nie tylko tak się nazywać.

Nie jesteśmy na przykład zadowoleni ze stanu służby zdrowia. Pracownicy tej służby uważają też, że sposób administrowania nią nie jest najlepszy. Uważają, że powinny powstać Izby Lekarskie, poprzez które służba zdrowia mogłaby wpływać na swój rozwój, kompetentnie kształtować swoją przyszłość. Powstaje nawet ustawa w tej sprawie. Ale ustawa, kształtowana przez administrację, budzi już dziś zastrzeżenia, że samorządność w służbie zdrowia będzie ograniczona, a zatem niepełna i przez to nie spełni swego zadania. Administracja bowiem boi się

Zastanawiam się nad takim problemem: czy gdyby posłowie na Sejm PRL utrzymywali z wyborcami stały i właściwy kontakt, to czy potrzebny byłby okrągły stół, czy też wystarczyłyby debaty sejmowe, na których nie tylko mówiono o tym, co ludzi gnębi i czego oczekują od swoich wybrańców, ale zastanawiano by się również nad tym, jak naprawić ustrój polityczny Rzeczypospolitej. Bo to, że wymaga on naprawy, nie ulega wątpliwości i wiemy o tym od dość dawna. Sądzę, że z tej właśnie niesprawności biorą się nasze kryzysy i dlatego tak długo trwa ostatni kryzys.

Niektórzy powiadają, że gdyby nasze stoły — o różnych kształtach — były suto zastawione, to nie byłoby potrzeby ustawiania okrągłego stołu. Boję się, że to daleko idące uproszczenie, od lat zresztą powtarzane. Sytuacja gospodarcza ma niewątpliwie i decydujący wpływ na nastroje społeczne, ale poprawa tych nastrojów leży nie tylko w poprawie sytuacji gospodarczej. Tej poprawy bowiem nie da się osiągnąć bez reform politycznych. Od tego trzeba zacząć. Do takiego wniosku doszli również Jugosłowianie. Tak myślą w ZSRR Estończycy, wprowadzając u siebie interesujące reformy polityczne. Podobnie postępują Węgry i jeśli okrągły stół potrafi znaleźć sposób na szybkie dokonanie reform politycznych, osiągnięcie powodzenia.

Słuchając lub czytając niektóre wypowiedzi odnoszące wrażenie, że ich autorzy skłonni są mieć pretensje do wiatru, że wieje, do deszczu, że pada, do tego, że po jesieni nadchodzi zima i tak dalej. Nie potrafią dostrzec w otaczającej rzeczywistości logiki i porządku, choć przynajmniej, bywa on niekiedy nieprzyjemny i pełen sprzeczności. Odnosi się to do sposobów widzenia opozycji.

Po pierwsze — jak już miałem okazję pisać — opozycja jest tworem naszej rzeczywistości. Stalinowski porządek zbankrutował i rodzi się coś nowego, czego nawet nie jesteśmy w stanie dokładnie przewidzieć. Jako naturalny wynik rozwoju sprzeczności, pojawiają się różne tendencje polityczne, a więc tak chadeckie, jak i endeckie, a obok tego socjaldemokratyczne. Ten stan rzeczy wpłynie również na zmiany w samej partii — w PZPR, która w nowej sytuacji politycznej musi określić swoją tożsamość. Dotyczy to również ZSL i SD. I ten proces, choć powolny i mało jaskrawo widoczny, dokonuje się. Im szybciej dokona się, tym będzie dla nas lepiej.

Trzeba zatem — po drugie — opozycję traktować jako coś realnego i nie obrażać się na nią, że jest, bo to postawa bez sensu i szkodliwa. Po trzecie — trzeba uczyć się prowadzić z opozycją walkę polityczną, współpracując z nią jednocześnie. Dlatego potrzebna jest partiom wyrażająca tożsamość, bo tylko posiadając ją można toczyć walkę polityczną. Po czwarte — trzeba przygotować się do nowych wyborów, w wyniku których opozycja parlamentarna stanie się rzeczywistością. Wtedy już — mam nadzieję — nie będzie potrzebny kolejny okrągły stół.

Stół ten widzę ogromny, gdyż coraz więcej ludzi składa na nim swoje nadzieje i oczekiwania. A przy tym stole — myślę — trzeba na początek załatwić sprawę najważniejszą: przyszły kształt ustroju politycznego, który pozwałaby ludziom nie tylko wyrażać swoje nadzieje i zastrzeżenia, ale też i przede wszystkim decydować o przyszłości socjalistycznej Polski i ich samych. Zeby stwierdzenie konstytucyjne o zapewnieniu uczestnictwa w rządzeniu i rozwijaniu samorządności nie było pięknym, ale tylko teoretycznym założeniem. A o wszystkim decydowali wszyscykowiedzący i wszystkomogący urzędnicy. Jeśli rozmowy przy okrągłym stole doprowadzą do reform politycznych, to powstaną również warunki dla spełnienia oczekiwań robotników, górników, rolników, studentów, rzemieślników, naukowców, lekarzy i nas wszystkich, bo od nas to będzie zależało. Czego sobie i wszystkim z całego serca życzę!

Paradoxy gospodarki

Otwarte czy zamknięte drzwi?

Problem funkcjonowania obcego kapitału w formie firm zagranicznych traktowany jest w polskiej praktyce gospodarczej w sposób zgola dziwaczny. Z jednej strony wiadomo przecież, że w warunkach dramatycznej sytuacji płatniczej gospodarki narodowej i wygłodzonego rynku wewnętrznego, administracja centralna nie powinna w zasadzie ograniczać rozwoju działalności gospodarczej podmiotów zagranicznych w Polsce. Szansa rozszerzenia dostępu do źródeł nowoczesnej technologii, organizacji i zarządzania, możliwość ożywienia eksportu poprzez wejście na nowe rynki zbytu, poprawa jakości i nowoczesności wyrobów na rynku wewnętrznym, to podstawowe argumenty przemawiające na rzecz stosowania polityki „otwartych drzwi” dla kapitału obcego.

Z drugiej jednak strony — organy administracji centralnej utrudniają rozwój współpracy gospodarczej naszego kraju z zagranicą, tworząc liczne biurokratyczne i fiskalne bariery dla napływu kapitału zagranicznego do gospodarki polskiej. Wskutek tego Polska stanowi dla kapitału zachodniego jeden z najmniej atrakcyjnych krajów na obszarze RWPG. Jeśli w najbliższym czasie nie nastąpi gruntowna zmiana w polityce rządu wobec zagranicznych inwestorów, to gospodarka narodowa ponosić będzie coraz większe straty wskutek utracenia okazji na zwiększenie podaży potrzebnych towarów i usług.

Kilka miesięcy temu rząd przedłożył Sejmowi PRL projekt ustawy o działalności gospodarczej z udziałem przedsiębiorstw zagranicznych. Ustawa ta, po uchwaleniu jej przez Sejm, zastąpi dwie ustawy dotychczas regulujące tę działalność, a mianowicie o zasadach prowadzenia na terytorium PRL działalności gospodarczej w zakresie drobnej wytwórczości przez zagraniczne osoby prawne i fizyczne (tzw. ustawa polonijna) oraz o spółkach z udziałem zagranicznym.

Niestety — projekt nowej ustawy nie proponuje rozwiązań, które zapowiadałyby przełom w obecnej polityce wobec firm zagranicznych. Kuriozalną regulacją jest wprowadzenie do ustawy postanowienia, w myśl którego pełnomocnik rządu do spraw inwestycji zagranicznych ma prawo decydować, na podstawie swobodnego uznania, komu należy wydać lub zabrać zezwolenie na prowadzenie działalności gospodarczej w Polsce. Stwarza to olbrzymie pole dla działania urzędniczej arbitralności, rodzić będzie manipulację kryteriami oceny i korupcję.

Ciekawostką prawniczą jest również propozycja, aby odmowa wydania zezwolenia nie podlegała zaskarżeniu do sądu administracyjnego. Jest to regulacja pogarszająca warunki zakładania firm zagranicznych; dotychczasowe przepisy zezwalają na zaskarżenie decyzji odmownej do sądu. A więc zamiast otwierania drzwi dla przedsiębiorców zagranicznych, proponuje się przymknięcie owych drzwi. Pozostaje to w jaskrawej sprzeczności z częstymi deklaracjami rządu w sprawie tworzenia korzystnych warunków dla zagranicznego biznesu.

Na tle rozwiązań stosowanych w innych krajach socjalistycznych krytycznie należy ocenić regulacje podatkowe zawarte w projekcie omawianej ustawy. Przede wszystkim zbyt wygórowana jest stopa podatku dochodowego, wynosząca 40 proc. zysku. W wielu krajach socjalistycznych opodatkowanie zysku jest łagodniejsze: w Związku Radzieckim — 30 proc., w Chinach — 33 proc. (w niektórych okręgach nawet 15 proc.). Ustawa przewiduje ulgi podatkowe z tytułu eksportu. Za każdy 1 proc. wartości eksportu w relacji do wartości produkcji sprzedanej lub usług firma otrzymalaby ulgę w wysokości 0,3 proc. Jednakże, aby uzyskać ową ulgę, firma zagraniczna musiałaby eksportować co najmniej 20 proc. wartości produkcji sprzedanej. Oprócz tego podatek dochodowy w projekcie ustawy przewiduje się dodatkowy podatek od transferu dewiz za granicę w wysokości 30 proc. Podatek ów ma być płacony w twardzie walucie, a nie — jak dotychczas w złotych. Oznacza to, de facto, zwiększenie obciążeń podatkowych zagranicznych inwestorów. Jest to regulacja na pierwszy rzut oka korzystna dla państwa, gdyż skłaniać powinna obce firmy do zachowania zysków dewizowych w Polsce i inwestowania ich lub lokowania w polskich bankach dewizowych bądź na rynku kapitałowym, gdyby taki powstał w naszej gospodarce. Można jednak wyrazić wątpliwość, czy ten dodatkowy podatek płacony w dewizach nie zniechęci skutecznie obcych inwestorów. Jeśli tak, to rachuby na lokowanie zysków tych inwestorów w Polsce są zupełnie nierealne. Działanie państwa w tej dziedzinie przypomina zachowanie się „psa ogrodni-

ka”. W projekcie ustawy są ustalenia, które należy ocenić pozytywnie. Postuluje się, aby powstające firmy zagraniczne były zwolnione z podatków przez 3 lata od rozpoczęcia działalności, z możliwością przedłużenia „wakacji” podatkowych o następne 3 lata, jeśli firma podejmie produkcję w dziedzinach preferowanych przez państwo. Poza tym proponuje się zmianę w systemie wynagradzania pracowników zagranicznych. Otóż dopuszcza się możliwość ich wynagradzania w walucie obcej ze środków firmy do 75 proc. zarobku. Istniejące obecnie przepisy zezwalają na 50 proc. udziału części dewizowej w całkowitym wynagrodzeniu.

Funkcjonariusze rządowi decydujący o kształcie przepisów dotyczących działania inwestorów zagranicznych powinni pamiętać o tym, że Polska jest dla kapitału obcego krajem o tzw. dużym ryzyku polityczno-ekonomicznym. Silne biurokratyzowanie gospodarki, kulawo działający system zaopatrzenia materiałowo-technicznego, wysoka skłonność do strajkowania, archaizmy w kodeksie pracy itp., to niektóre tylko czynniki składające się na duże ryzyko. Wobec tego należy zapewnić obcym inwestorom korzystniejsze zasady podatkowe od istniejących w takich krajach jak Węgry, Chiny czy NRD.

Inne kraje socjalistyczne: np. ZSRR i Chiny, wykazują większą niż polskie władze śmiałość w kształtowaniu warunków dla działania zagranicznych przedsiębiorców. W Chinach na mocy dekretu z 1986 r. dokonano złagodzenia obciążeń podatkowych przedsiębiorstw zagranicznych; przede wszystkim zredukowano podatek dochodowy dla wielu stref gospodarczych i portów do 15 proc., zwolniono całkowicie z podatku dochodowego firmy zagraniczne w okresie pierwszych 5 lat ich funkcjonowania, zezwolono im na wywóz z Chin walut wymienialnych bez ograniczeń, a także na emitowanie akcji. Regulacją o kapitalnym znaczeniu dla zagranicznych firm jest postanowienie władz chińskich gwarantujące stabilizację warunków działania tych firm na okres 50 lat. W Związku Radzieckim usankcjonowano bezpośrednie inwestycje zagraniczne dekretem Prezydium Rady Najwyższej z 1987 r. Interesujące jest, że w prawodawstwie radzieckim nie określono ani galezi, w których zezwala się na tworzenie firm zagranicznych, ani tych, w których jest to zabronione. Świadczy to o elastycznym i realistycznym podejściu ustawodawcy do problemu zasadności działania obcego kapitału w gospodarce radzieckiej. Tym samym pozostawia się organowi udzielającemu zezwoleń prawo do nieskrępowanego decydowania o celowości działania zagranicznych inwestorów w gospodarce.

Dla porównania w projekcie polskiej ustawy wyodrębnione są sfery aktywności gospodarczej zakazane dla obcych inwestorów. Należą do nich transport, telekomunikacja, ubezpieczenia, pośrednictwo w handlu zagranicznym, działalność wydawnicza. Notabene są to sfery silnie zmonopolizowane i korzystne byłoby dla interesu konsumentów i całej gospodarki wpuszczenie „szczupaka konkurencji” do tych monolitycznych i dostojnych struktur.

WITOLD KASPERKIEWICZ

Z tej ziemi.

Stół ten widzę ogromny

LUCJUSZ WŁODKOWSKI



Foto: Grzegorz Galasiński

oczekują poprawy gospodarki. Związkowcy spoglądają się, że przy okrągłym stole rozsądzi się sytuację ruchu związkowego. Jedni są za pluralizmem, inni za pluralizmem ograniczonym, bo nie w zakładzie pracy, a jeszcze inni przeciw pluralizmowi. Mało kto mówi o sprawie — moim zdaniem — najważniejszej: reformie systemu politycznego.

Gdy słuchałem rolników dyskutujących przed mikrofonami Polskiego Radia o świetlanej przyszłości rolnictwa, przed którym nikt nie będzie zapalał żadnych świateł, bo zostanie ono wreszcie ustanowione na racjonalnych podstawach, które będą sprzyjały jego rozwojowi, to wyobraziłem sobie sklepy spożywcze pełne różnorodnych kolorowych opakowań, w których ukrywać się będą najprzeźrzejšie pyszności, o jakich teraz nam się tylko śni. I wszystko to będzie rozmaitego pochodzenia. Wyobraziłem też sobie zakłady graficzne te opakowania kolorowe produkujące i grafików, którzy je przepiekną projektują. Wyobraziłem sobie wielkie podwórka czyste i zastawione kolorowymi maszynami, które nie mokną i rdzewieją na deszczu, tylko stoją zakonserwowane pod daskami. Cóż za piękny obraz mi się w mojej fantazji wyłonił. Czyż nierealny? Jak najbardziej. Iluż dziedzinom produkcji i iluż ludziom zdrowia może dać zatrudnienie poza i dobrane rozwijające się rolnictwo. Dlaczego zatem nie daje?

I to wszystko ma się zmienić dzięki temu, że różni ludzie zaskądzą za okrągłym stołem i sprężają się wzajemnie różne racje. Ogromny musi to być stół, aby wszyscy się tam zmieścili i aby wszyscy mogli swoje racje przedstawić. Czyż my do tej pory tych racji nie znamy? Czyż jesteśmy przeciwni temu, aby w sklepach półki pełne były kolorowych i pięknych opakowań zawierających

ne formy przedstawicielstwa ludu pracującego wsi i miast. Albo odwrotnie: miast i wsi. Konstytucja przecież mówi wyraźnie: „W Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej władza należy do ludu pracującego miast i wsi”. I dalej: „Lud pracujący sprawuje władzę państwową przez swych przedstawicieli, wybieranych do Sejmu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej i do rad narodowych w wyborach powszechnych, równych, bezpośrednich, w głosowaniu tajnym”. Konstytucja mówi dalej o miejscu i roli partii politycznych, o celu działania państwa, którym jest „rozwoj twórczy sił narodu i każdego człowieka, coraz lepsze zaspokajanie potrzeb obywateli”. I wreszcie stwierdza, że PRL „zapewnia obywatelom uczestnictwo w rządzeniu i popiera rozwój różnych form samorządności ludu pracy”. Konstytucja zatem zakłada, że każdy obywatel w interesie własnym i społecznym może i powinien brać udział w rządzeniu, aby nam wszystkim żyło się łatwiej i lepiej. Gdybym nie znał praktyki, mocno dziwiłbym się, po co nam do tego jeszcze okrągły stół? A przecież jest potrzebny.

Wniosek zatem prosty, że system rządu stworzony na podstawie Konstytucji nie sprawdził się w praktyce na tyle, aby ludzie mogli nie tylko mówić o tym, co ich boli, jak i o potrzebie naprawy na tym wcale nie najlepszym świecie, ale żeby to również wpływało na praktykę, żeby ją doskonaliło. W mówieniu, zgłaszaniu postulatów, wniosków, wzajemnym zapewnianiu że od jutra będzie lepiej, osiągnęliśmy ogromny postęp i mamy trwały dorobek. Gorzej jest z praktyką. Nie przystaje ona do teorii. Toczy się własną drogą, którą coraz mniej ludzi akceptuje. Najlepszym tego przykładem są rolnicy. Ale przecież nie tylko oni. Robotnicy rów-

sprawy służby zdrowia oddać w ręce służby zdrowia, a powinna na popierać rozwój samorządności. Ba! Tylko ten rozwój podważa interes administracji. Bronią więc ona swojego interesu wbrew interesowi społecznemu. I nie ona jedna.

Z dużym niepokojem obserwuję to, co dzieje się w środowisku studentów Uniwersytetu, a szerzej wyższe uczelnie, zawsze były miejscami niepokoi, „wolnomyślności”, gry różnych sił politycznych. Trzeba to przyjąć jako rzecz realną i nie wydziwiać na młodzież, gdyż jest taka, jaką ją wychowywali Pracownicy wyższych uczelni z taką młodzieżą muszą pracować, a nie z taką, jaką chcieliby i woleli mieć. Istnieje rzeczywistość i wyobrażenia o niej. Kierować się trzeba zatem rzeczywistością, a nie wyobrażeniami.

Alfisi studenci również mają do czynienia z rzeczywistością i wyobrażeniami. Odnoszę takie wrażenie, że część z nich bawi się w politykę w świecie wyдуманym przez siebie. A to zawsze grozi przykrymi rozczarowaniami, gdy wyobrażenia zetkną się z brutalną rzeczywistością.

Rozumiem, że wielu studentom nie odpowiadają istniejące organizacje młodzieżowe i dają do stworzenia nowych. Nic nowego pod słońcem. Istniejące organizacje były tak dokładnie i doskonale „reformowane” i przebudowywane, że wpadły w tak głęboki kryzys, z którego być może się nie podniosą. Ale byłbym przeciwny ich rozwiązywaniu. Bo to najłatwiejsze. Czy na wyższe uczelnie nie może istnieć obok siebie kilka organizacji młodzieżowych? Czy te organizacje nie mogą z sobą współpracować? Jedno jest wszakże dla mnie pewne: młodzi chcą sami o sobie decydować i istniejące formy wyrażania takich decyzji nie spełniają swojej roli. Tak zresztą, jak i w innych dziedzinach.

Przez więcej niż ćwierć wieku nie mogą podjąć decyzji...

Dom przy ul. Matejki

Chciałbym mieć własny domek z ogródkiem. Nic wielkiego: trzy — cztery pokoje z kuchnią, łazienką, wygodami, a za oknem — kawałek trawnika, kilka grządek i drzew owocowych. Bardzo chciałbym, ale takie marzenie kosztuje dziś miliony, a ja nie mam milionów, więc kupię domku nie mogę. I to, choć przykre, jest dla mnie zrozumiałe.

Danuta D. z matką mają własny domek. Nic wielkiego: sto trzydzieści sześć metrów kwadratowych powierzchni, a za oknem — trochę zieleni. Woląby jednak mieszkanie w bloku, nawet dużo skromniejsze. Takie mieszkanie kosztuje mniej niż dom. Ale choć chciałyby go sprzedać, nie mogą. I to już nie jest takie zrozumiałe. Każdy powinien mieć swobodę dysponowania swoją własnością.

Dom przy ulicy Matejki 28 zbudowali rodzice Jadwigi H. w 1935 roku. Myśleli, że będą mieć spokój do końca życia. Po wojnie nie mieli go zbyt długo, gdyż w 1951 roku powiadomiono ich, że okoliczne tereny przeznaczone zostają pod dzielnicę akademicką w Łodzi i najpóźniej w ciągu pięciu lat „zostaną wykupione”. To była dla nich zła wiadomość, ponieważ niosła ze sobą widmo ponownego urządzania się na starość. Minęło wszakże owe pięć lat, a Uniwersytet Łódzki nie tylko „ich nie wykupił”, ale nawet nie przygotowywał się jeszcze do tego. W pobliżu miała zostać oddana do użytku na razie jedynie Biblioteka Uniwersytecka. Plany rozbudowy uczelni pozostawały jednak nadal aktualne i ponoć już w najbliższym czasie...

Minęło następne pięć lat, a Jadwiga H. z mężem, córką oraz rodzicami dalej mieszkała w domu przy ulicy Matejki. Czekali na wykupienie, czekali, aż wreszcie przestali prawie wierzyć, że kiedykolwiek nastąpi. Bo skoro raz i drugi uczelnia nie dotrzymała słowa... Widocznie plany — żywni nadzieje — mogą się zmienić i pozostanie tak, jak jest. Poza tym nie można przecież dopuścić do zniszczenia majątku, czekając w nieskończoność. Z tą myślą założyli centralne ogrzewanie, urządzili łazienkę, konserwowali i naprawiali budynek. Także wtedy, gdy okazało się, że mimo wszystko plany nie ulegają zmianie i prawdopodobnie już w niedługim czasie...

W 1970 roku rodzice Jadwigi H. zmarli. Córka Danuta wyszła za mąż. Dom stał, jak stał. Wyrok na niego wciąż pozostawał aktualny, tyle że nikt nie potrafił określić, kiedy w końcu zostanie wykonany. Zdzisław H. co pewien czas z niepokojem chodził do Zarządu Inwestycji Szkół Wyższych w Łodzi, aby dowiedzieć się, czy może już. Dyrektorzy jak dawniej mówili jednak, że za rok, za dwa, niebawem, wkrótce... Wokół rośli przecież wciąż nowe gmachy uniwersyteckie.

W 1978 roku Danuta D. została porzucona przez swego męża, a w dwa lata później nastąpił rozwód. Pozostała w domu ze starszymi siostrami, coraz bardziej schorowanymi rodzicami oraz córką, która od urodzenia nie chodziła ani nie mówi. Jest kaleką wymagającą stałej opieki i — choć to upragnione dziecko — dużym ciężarem dla samotnej matki. Prawdziwa tragedia. A tu — jakby było tego jeszcze mało — nie rozstrzygnięta od ponad ćwierćwiecza sprawa wykupienia i związana z tym niepewność jutra. Co za życie!

Cierpliwość Zdzisława H. skończyła się ostatecznie w rok po odwołaniu stanu wojennego. Nie mógł już dłużej beczynie siedzieć i patrzeć, jak wszystko wokół, łącznie z domem, z dnia na dzień chyli się ku upadkowi i ruinie. Sam cierpiący poważnie na serce, coraz bardziej opadający z sił, czuł się przecież odpowiedzialny za dalszy los rodziny, w której był już jedynym mężczyzną. Dlatego postanowił, że dom przy Matejki sprzeda, a za uzyskane pieniądze kupi jakieś mieszkanie z wygodami, gdzie bez porównania będzie im łatwiej żyć. Trochę szkoda powierzchni i ogródka, dobrej dzielnicy, ale — trudno. Dłużej czekać nie sposób.

Na ogłoszenie dane do prasy napłynęło wiele ofert. Ludzie proponowali w nich pieniądze, proponowali mieszkanie i dopłatę... Byłoby w czym wybrać, ale każda bardziej konkretna rozmowa urwała się po uzyskaniu w urzędzie informacji, że teren przeznaczony jest pod rozbudowę Uniwersytetu i wszyscy właściciele działek oraz domów zostaną w najbliższym czasie wywłaszczeni.

Perspektywa ta zniechęcała każdego, co zmusiło w rezultacie Zdzisława H. do obrania innej drogi. Jeśli Uniwersytet ma „ich wykupić”, niechże wreszcie raz to zrobi. I to nie kiedyś tam, ale od razu — pomyślał. Łatwo mówić urzędnikom, że za rok, czy dwa, że obecnie nie ma jeszcze potrzeby, środków, możliwości... Bo im to w niczym nie przeszkadza, nie utrudnia życia. Oni nie odczuwają skutków decyzji powziętych kiedyś bez świadomości, że mogą być dla kogoś krzywdzące.

Ale i ta droga prowadziła — jak się okazało — donikąd. W Zarządzie Inwestycji Szkół Wyższych nieprzerwanie rozbrzmiewała stara śpiewka. Ministerstwo Gospodarki, Przemysłu i Budownictwa nie widziało żadnych możliwości nakazania uczelni czegośkolwiek, a Naczelny Sąd Administracyjny wniosek o zobowiązanie UL do skrócenia terminu wykupu lub choćby ścisłego jego określenia odrzucił po ponadrocznym namyśle, dowodząc, że w tej sprawie wszystko praktycznie zależy od woli Uniwersytetu.

Odpowiedzi z NSA Zdzisław H. już jednak nie doczekał. Zmarł dosłownie w przeddzień jej odebrania, 4 czerwca bieżącego roku. Zmarł w poczuciu niespełnionego obowiązku i krzywdy, jakiej doznał jego rodzina. Bał się, że gdy go zabraknie...

Danuta D. ma łzy w oczach. Dopóki ojciec żył — mówi — była jakaś nadzieja. Dziś z przerażeniem myśli o nadchodzącej zmianie. Nie wie, czy i jak ją przetrzymają — same, bez pomocy. A na żadną pomoc liczyć raczej nie mogą, bo od kogo? Od tej jednej ciotki-staruszki, jaką jeszcze mają? A dom rozlatuje się, wali: przeciekają dachy, zapadają podłogi, brama rozbita. Kto to teraz naprawi? Ona nie potrafiła. Ktoś obcy? Za ile?

Za sam opał na zimę zapłaciły 120 tysięcy złotych. Pokazuje rachunki — niecałe 7 ton węgla plus drewno na rozpalkę. Musiały się zapożyczyć. A co? To jest 7 ton węgla, jak na taki dom potrzeba 9 ton koks! Nie pozostanie nic innego, jak zrezygnować z centralnego ogrzewania, wstawić do jednego pokoju piec, a pozostałe używać jako łodówki.

Danuta D. pokazuje też odcinek przekazu rentowego matki na sumę 23150 złotych. To renta po ojcu, pierwsza, jaką dostała. Ona sama zarabiała około 30 tysięcy. To już razem z sześciotyśiecznym dodatkim emerytalnym. Do tego ma jeszcze 5 tysięcy zasiłku na kaletkę dziecko. (Powinna również otrzymywać alimenty, ale bywł mąż ułotnił się gdzieś i ani myśli płacić). Wszystko to musi jej wystarczyć na wyżywienie trzech osób, ubranie ich, na utrzymanie domu. Jak to zrobić, Danuta D. jeszcze nie wie. Spróbujcie oczywiście, ale wynik jest praktycznie z góry przesądzony. Artytmetyka nie uznaje, niestety, wyjątków i dwa razy dwa zawsze równa się cztery.

Na początku sierpnia 1988 r. Danuta D. złożyła w rektoracie Uniwersytetu Łódzkiego podanie. Stwierdza w nim między innymi: „w obecnej sytuacji absolutnie nie widzę perspektyw na dalsze egzystencje naszej rodziny” oraz proponuje aby uczelnia natychmiast zajęła dom przy Matejki 28 na jakies magazynu lub — tymczasowo — na mieszkanie służbowe, czy coś takiego, jej zaś przydzieliła z posiadanych zasobów dwu-trzykondygnacyjne mieszkanie w nowym budownictwie. Czy to tak wiele za działkę i dom? Zamieniając się prywatnie, mogłaby żądać dużo więcej. Ale prywatnie nie może, nie ze swej winy. Chce więc tylko to mieszkanie. Prosi...

Danuta D. od wiektu lat jest pracownicą administracji... Uniwersytetu Łódzkiego.

PAWEŁ TOMASZEWSKI

4 ODGŁOSY

K

atarzyna Borek marzyła o tym, by nie pracować tak jak rodzice — na roli. Chciała zamieszkać w mieście, bo przecież podłódzki S. jest miastem tylko z nazwy. Jedno kino z repertuarem sprzed kilku miesięcy. Knaipka, bo ani to kawiarnia, ani restauracja, zawsze pełna niedomytych typów z pełnym wiszącym w kąciku ust. Drzemająca biblioteka, której jedyna pracownica zamiast szereg „kulturę czytelnictwa” zajmuje się pokątnym handlem mięsem i towarami z prywatnego importu. Katarzyna chciała uciec z tego miasteczka, które poza dwoma godzinami, kiedy ludzie jadą do pracy w Łodzi i z niej wracają, jest niemal martwe. Żadnej rozrywki, żadnego „życia”, a idealny mąż w tutejszym środowisku, to ten, który po wypłacie nie idzie w tango na kilka dni.

Kiedy zmarł ojciec, matka wydzierżawiła sąsiadowi całą ziemię, zostawiając sobie tylko ogródek z warzywami i kwiatami. Ustalono, że dzierżawa będzie spłacana w comiesięcznych ratach. Za sprzedaną żywność wpadło sporo grosza. Z powodzeniem można było odłożyć na książeczkę PKO, a i na ubranie też można było wydać. To ostatnie bardzo się przydało Katarzynie, gdyż od września zaczynała naukę w szkole włókienniczej. Na bazarach, jak większość matek z małych miejscowości, Borkowa kupiła córce „dzinsowy mundurek” i kilka bluzek, też nietanich. Do szkoły w mieście Łodzi przecież trzeba się jakoś ubrać, trzeba jakoś wyglądać.

Trzy lata „zawodówki” minęły bez sensacji. Choć codziennie kusity Katarzynę atrakcje wielkiego miasta i zdawała się być nim oscarowana, to jej życie upływało według schematu dom — szkoła — dom. Rostała na spokojną polską dziewczynę. Randki jej nie interesowały. Może dlatego, że jeszcze nie trafiła na tego jedynego.

Po skończeniu szkoły bez trudu znalazła zatrudnienie w łódzkiej firmie produkcyjnej. Praca ciężka, zmiannowa, dojeżdżać było niewygodnie. Przeniosła się do Łodzi.

Hotele robotnicze to tygry, w których stapiają się różne charaktery i postawy. Borkowna, dziewczyna spokojna i cicha, jakoś nie mogła się zaaklimatyzować. Kiedy koleżanki z dużym „stażem” hotelowym namawiały ją na małą wódkę i papierosa, odmawiała. Czasami wyskakiwała z nimi do centrum. Przesiadwały w kawiarniach czekając na podryw. Po takich wypadach, kiedy w oparach papierosowego dymu wypijała kilka kaw, okropnie bolała ją głowa. Mimo tego, iż życie ze współmieszkankami hotelu układało się bez zgrzytów, to sniła o własnym mieszkaniu. Czasami leżąc w łóżku po ośmiu godzinach stania przy maszynie, marzyła sobie: „o Boże daj męża”. Wtedy jeszcze nie podejrzewała, że ten, który za wiedzie ją do ołtarza, zawiedzie także wszystkie jej oczekiwania.

Poznała go na imieninach koleżanki. Miał już trochę w czubie, ale zachowywał się bardzo przyzwoicie. Był przystojny, do księcia z bajki niewiele mu brakowało. Pod koniec zabawy, opierając się o ścianę, umówił się z Kasią na spotkanie. Poszli do „Horteksu”. Łódź, wino — na pierwszej w życiu randce zakreślił jej się ze szczęścia w głowie. Świat legł u jej stóp. Przystojny, mądry, z mieszkaniem, mechanik samochodowy i jeszcze taki kochany. A że czasami lubił wypić? Świętej pamięci ojciec też zaglądał do kieliszka, a matka i tak bardzo była za nim. Wszyscy z sąsiedztwa dobrze pamiętają, jak płakała na jego pogrzebie, jak później długo chorowała.

Nie minęło pięć miesięcy i książka stulą związała ich ręce i losy. Na dobre i zle sobie przysięgali. Wesele było skromne. Nawet nie wesele, raczej przyjęcie. Pieniądze lepiej przeznaczyć na początek wspólnej drogi.

Wdowa po Borku nie była zadowolona z takiego zamążpójścia córki. Zobaczyła — myślała kiedyś — jakie jest życie w mieście i wróciła na ojcowiznę. Toteż bardziej z premedytacją niż ze złością powiedziała jedynaczce, że do S. nie ma już po co przyjeżdżać. Nie po to całe życie wszystko z mężem zgarniali do siebie, żeby teraz

jakis miejski przybłęda i pijus zabrał ich majątek.

Młody miesiąc spędzili nad morzem. Wprawdzie właściciel warsztatu, w którym pracował Jerzy, marudził, że za dużo chce mieć wolnego, że roboty dużo a pracowników mało, ale w końcu się zgodził. Zrozumiał potrzeby młodości. W Międzyzdrojach niczego sobie nie żalowali. Kiedy pogoda nie dopisywała przesiadywali w kawiarni albo cały dzień spędzali w łóżku. W swoim dotychczasowym życiu jeszcze nigdy nie wypili tyle szampana co wtedy. Tylko do palenia jakoś nie mogła się przekonać.

Kiedy obojwoju skończyły się urlopy, wrócili do pracy i zaczęli urządzać mieszkanie. Wkrótce było komfortowe.

Nie spodziewała się, że książę z bajki nie tylko zawiedzie jej nadzieje, ale też...

Upadek

BOGUMIŁ A. MAKOWSKI

Stroiła się, mąż też, czasami mieli podobno problemy co zrobić z pieniędzmi. Jerzy często wracał na rauszu, ale Katarzyna prawie tego nie zauważała, do czasu kiedy szef przywoził go z warsztatu zupełnie pijanego. Nic nie mówił, tylko ze współczuciem popatrzył na dziewczynę. Następnego dnia Jerzy nie poszedł już do pracy. Za wódkę został wyrzucony. Trochę pieniędzy mieli odłożonych, ona też nieźle zarabiała, więc wystarczył nim Jerzy znaleźć coś nowego. Jak szybko znajdował, tak szybko tracił. Cały czas za niepomomowanymi pociąg do alkoholu. Opinia słała za nim w świat. Nikt z prywatniarzy nie chciał go zatrudnić. Na państwową posadę iść nie chciał, bo za psi grosz nie będzie się męczył. Przeczeka.

Czekając najpierw sprzedał część swojej garderoby. Sprzedał obrączki długo utrzymywał w tajemnicy, ale wyniesienia z domu pralki nie dało się ukryć. Coraz częściej schodził się do niego koleżdy poznani pod supersemem lub pijalnią piwa. Katarzyna przymusowo uczestniczyła w libacjach. Nie poznała swojego księcia. Kiedy zbyt długo nie podawała za kaski, potrafił ją kopnąć albo uderzyć. Kuksańcami zmuszał do picia.

Kiedyś po pijaku ubzdurał sobie, iż pod pretekstem wychodzenia do pracy żona spotyka się z kochankiem. Nie pozwolił jej iść do fabryki. Kiedy pod wieczór zdawało się, że mąż usnął wycieńczony całodziennym groźeniem, spróbowała wymknąć się z domu. Zdażyła założyć buty, ale zanim otworzyła drzwi coś ją lupnęło w głowę. Kiedy się obudziła, mąż kończył butelkę.

Kiedy po pięciu dniach, zbita, głodna i sponiewierana przywlokła się wreszcie do pracy, nie miała tam już czego szukać. We wszystkich zakładach gdzie zachodziła odpowiednio: „po porzuceniu pracy nie przyjmujemy”. Na nie zdążyła tłumaczenia, przekonywania, błagania. Wszędzie to samo.

Pod wieczór, kiedy mieli przyjeść koledzy, Jerzy wygonił ją z domu.

— Kurwo — krzyczał — wyślij się do roboty. Jutro chce mieć zarcie i pół litra.

Dla świętego spokoju wyszła poganiana przekleństwami. Poszła do siebie do osiedla, noc spędziła na ławce. Do mieszkania wróciła nad ranem. Libacja zdawała się powoli wygasać. Na widok żony Jerzy bardzo się ożywił.

— Masz gdzie schowaną wódkę? — bełkotał niedawny ideal mężczyzny. — Zarobiłaś coś?

Jakiś kolega nachylił się do Jerzego, coś mu klarował półgłosem.

— Dasz mi, a on coś skombinuje — zawyrokował z radosnym uśmiechem, że jednak znalazło się jakieś wyjście.

Próbowała się bronić, tłumaczenia i prośby nie odniosłyby żadnego skutku. Kilka kopniaków, uderzeń w twarz i znalazła się na łóżku przytrzymywana przez męża. Z bólu i beznadziei gryzła palce. Płakać już nie miała siły, leż już za brakło.

Po trzech — czterech dniach, kiedy siniaki trochę zbladły, wieczorem zdecydowała się wyjść z domu. Przez okna zaglądała do restauracji i kawiarni. Na widok zakochanych par łyż ciśnieły się do oczu. Chciała wejść do „Grandki”, popatrzyć na ludzi, normalnych, bogatych i jak jej się zdawało, szczęśliwych. Porządkowi szybko postarali się, aby „takie coś” nie straszło gości. Wyszła. Zaczęła spacerować w jedną i drugą stronę. Patrzyła na przechodniów. Chciała im skraść trochę szczęścia. Nagle poczuła, że ktoś bardzo mocno ścisnął jej ramię i pociągnął za ciemny róg ulicy Moniuszki. Zdarty głos syknął jej do ucha:

— Co, kurwo, lekkiego chlebaka się zachciało?

W tym momencie została kopnięta w krocie. Czyłes ręce szarpały ją za włosy. W twarz dostała chyba turebką. Ktoś wykręcił jej ręce, błysnęła brzytwa.

— Przyjdź tu jeszcze raz, ty żdziro, to w lustrze się nie poznasz — zimne ostrze dotknęło policzka. Popchnięta odbiła się o ścianę i upadła. Oddalający się stukot damskich szpilek mieszał się z głośnymi przekleństwami pod jej adresem i śmiechem. Powoli się podniosła, dotknęła ręką policzka. Na dłoni została mała kropka krwi.

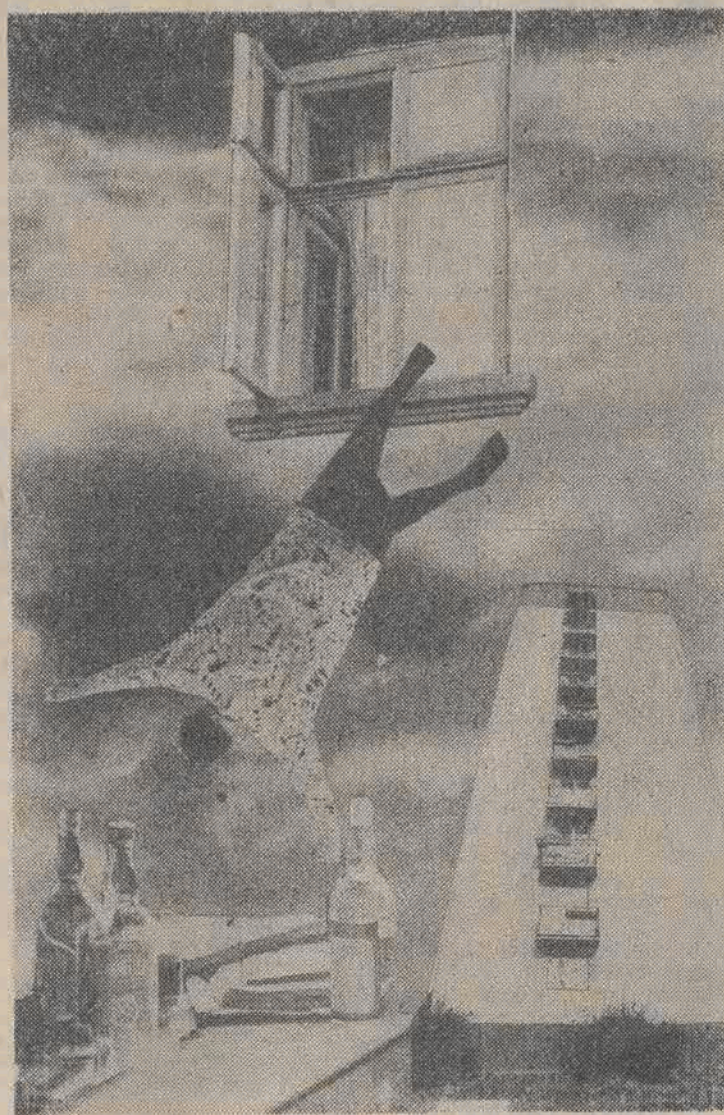
Powłócząc nogami dowlokła się na osiedle. Przechodząc koło swojego bloku spojrzała w okna. W stolowym, który urządzali z mężem tak, aby był jak bombonierka, paliło się światło. Noc wolała spędzić na ławce.

Zanim ludzie zaczęli wyprowadzać psy, a roznosił mleka zbudził klatki schodowe brzękiem butelek, do pracy wychodził Józef Oleszczyk. Jak zwykle zjechał windą, wyszedł z klatki schodowej i... zaraz się cofnął. Na trotuarze leżały zwłoki. Głowy nie było widać spod zakrzepłej skorupy krwi.

Sekcja zwłok wykazała, że Katarzyna Rokicka z domu Borek zmarła na skutek upadku z ósmego piętra. Rozliczne siniaki i obrażenia ciała nie pozwoliły jednoznacznie stwierdzić, czy było to samobójstwo. Nim spadła na ziemię, uderzyła w parapet klatki schodowej na trzecim piętrze, a następnie odbiła się od dachu klatki schodowej. Ponadto stwierdzono, że mniej więcej na godzinę przed śmiercią została trzykrotnie zgwałcona oraz że była w drugim miesiącu ciąży.

Jerzy Rokicki mimo nadużywania alkoholu nadal cieszy się dobrym zdrowiem.

Imiona i nazwiska wszystkich osób zostały zmienione.



Collage: Grzegorz Gałusiński

staropanieństwo. Uczyniła tak, choć była ciekawa i spragniona miłości. Posunęła się nawet do zakazanych pieszczot ze swym bratankiem, którego wychowywała.

„Od wczesnego dzieciństwa miał zwyczaj wylazć w nocy z hamaka i spać aż do rana w łóżku Amaranthy, której bliskość rozpraszała jego strach przed ciemnością. Ale od dnia, kiedy uświadomił sobie jej nagłość, nie strach przed ciemnością kazał mu wsuwać się za jej moskitierę, lecz chęć odczuwania ciepłego oddechu Amaranthy o świecie. Pewnego poranka, w tym czasie kiedy ona odrzucała pułkownika Gerineldo Marquaza, Aureliano Jose obudził się z uczuciem, że brakuje mu tchu. Pociął palce Amaranthy niby robaczki, ciepłe i niecierpliwie, szukające jego brzucha. Udał, że śpi, zmienił pozycję, żeby usunąć wszelkie trudności, i wtedy uchwycił rękę bez czarnego opatrunku buszującą jak ociem-

— podobnie jak polskie „szczęście” pochodzi od części. Szczęście stanowi jedną część życia człowieka. Drugą jest nie-szczęście.

Homer pisał o jednej Mojrze określającej los ludzi. Był to ład i porządek wszechświata istniejący ponad bogami. Mojrą — to pewna miara, granica, której nie wolno przekraczać nawet bogom. Kiedy potężny Zeus zamierzał zmienić los Sarpedona, odradziła mu to Hera, ponieważ stworzyłby niebezpieczny precedens. Naruszyłby uniwersalną prawo. W jego ślady poszliby inni bogowie. Tak powiedziała Hera i Zeus usłuchał.

Hezjod natomiast znał trzy Mojry — Kłoto, Lachesis i Atropos. Nazwa pierwszej pochodzi od słowa „spłatać”, ponieważ spłatała, przędła nić życia ludzkiego. Druga bogini mierzyła, odmierzając, wyznaczała długość życia („laches” — to wyznaczony losowo udział). A imię trzeciej oznacza nieodwracalność. Przecinała bowiem nieodwracalnie nić życia człowieka. Wszystkie trzy Mojry

mezczyzna musi wciąż potwierdzać swą męskość i sprawdzać się seksualnie. Dlatego przesładuje go lęk, że się ośmieszy.

Moim zdaniem raczej ma Karen Horney. Nie ulegała jednak wątpliwości, że mezczyznę totalnie kompromituje i wręcz dyskwalifikuje brak wzdrodu. Nagi mezczyzna bez wzdrodu nawet wygląda jakoś żałośnie. Tego rodzaju akty nie pociągają i nie podniecają zbyt wiele kobiet. Nagi mezczyzna bez wzdrodu sam czuje się nieswojo w sytuacji intymnej.

W życiu seksualnym mezczyźni łatwo się podniecają, szybko zmierzają do celu i natychmiast osiągną satysfakcję. Kobiety za to doznają podczas stosunku więcej rozkoszy. Jestem o tym przekonana na podstawie znaczących reakcji. Nie słyszałam, żeby mezczyźni krzyknęli ze szczęścia w trakcie kopulacji czy momencie orgazmu. Kobiety zaś krzyczą: najpierw z nieziemskiej rozkoszy, potem niestety również w bólach rodzenia.

Już Zeus sądził, że kobiety

zaplątałem się na krótką chwilę. (...)

I nagle, nie wiem nawet kiedy, wszystko stało się proste, bez wysiłku, jakby z pomocą przeznaczenia (znówu to przeznaczenie — M.S.). Już byłem w niej, w tym pięknym ciele stworzonym przez naturę dla übermenschów. I zeglowałem przed siebie w jakimś rozrzuconym, przepelnionym łagodną słodyczą i oziębiającym zmęczeniem. Resztką trzeźwości sygnalizowała mi, że ona pozostaje bierna, że jakby nie umie tego, co wszyscy umieją, albo nie chce, lub po prostu stawia opór. (...) A potem nagle syknęła, otworzyłem zdziwiony oczy i zobaczyłem, że ona z całych sił zagryza zęby i dalej milczała, i dalej była nieruchoma i jakby oddzielona ode mnie ścianą, kontynentem, porą roku.

Więc ja dalej sunąłem niezdziciwiony, swoim spokojem, rozumą i wytrwałością. Ona cały czas leżała jak na porcelanie, bezwładnie, nie uczestnicząc w moim błogim trudzie i chyba jeszcze dwa albo może trzy razy syknęła, jakby dotknąwszy gorącego żelazka, i dwa albo trzy razy zbierała jej delikatne, powłócone cieniutką opalenizną szczęki.

Kobieta ta zachowywała się jak bezduszna maszyna erotyczna. Nie przerywając stosunku, zapaliła papierosa i przeprowadziła rozmowę telefoniczną, mówiła o różnych sprawach domowych. A potem nie przysłała już nigdy.

Na koniec podam jeszcze jeden przykład literacki. Pan mecenas Emanuel R. z Gruzji przebywał w sierpniu 1892 roku w Wiedniu. O kilku dni przed wyjazdem do domu w hotelu, Pewnego razu obserwował w jednej z kawiarni zaloty młodego kawalerzysty do młodziutkiej i pojętej kelnerki. Podniecił się bardzo. I co z tego wynikło?

„Wróciwszy do hotelu, nie zdążywszy nawet melonika, cisnąwszy lasceczkę z głową chara-byle gdzie, zasnął uczucia jurności, które doprowadziło go do dokonania nader gwałtownego wyzysku miłosnego po dość długim, dającym, okresie erotycznej posuchy. Dokonał aktu, a nawet w krótkim odstępie czasu dwu kolejnych aktów, co zdziwiło, w sposób zresztą miły, zrazu jednak nieco przestraszając, panią mecenasową, odwykłą od tej postaci miłości, jaką uraczył ją i zaprezentował jej nocy sierpniowej pan małżonek”.

Pan mecenas fizycznie kochał wiedeńską żonę, ale wyobrażał sobie, że jest to kelnerka, którą uwodził w kawiarni młody ulan. W związku z tym poczęty owym nocy syn Emil został spłodzony w zamysłu na innym obiekcie niż w rzeczywistości.

Andrzej Kuśniewicz sugeruje nam w powieści „Król Obogaja Sycylii”, że opisana wyżej miłość i inne drobne zdarzenia ułożył się w pewną całość, w nieprzebraną fatum, które doprowadziło do zabicia arcyksięcia Franciszka Ferdynanda i wybuchu pierwszej wojny światowej. Historia jest bowiem niepodzielna. Najdrobniejsze fakty wpływają w jakimś stopniu na cały proces. Każdy składnik się liczy. Ważność i nieważność jest względna. Poczęty w sierpniową noc Emil R. został później nieszczyśliwym oficerem ulanów sycylijskich. Jego życie zbiegło się z końcem wielu wielkich dzieł i rozczarowań.

Jeśli przeszłość jest nieodwracalna i niepodzielna, to można spokojnie przyjąć, że napad korsarza Francisza Drake'a na miasteczko Riochacha rzeczywiście zdarzył się trzy lata później w Macondo. Każde nasze działanie uruchamia lawinę następstw, których nie potrafimy przewidzieć i nie potrafimy im zapobiec. Każda poważna miłość i pozorne nieistota miłostka może wpłynąć na losy świata. Z drobnych i wielkich okrucich życia kształtuje się przeznaczenie.

MIROSLAWA SARBIŃSKA

mają więcej przyjemności w życiu seksualnym. Nie zgadzała się z nim wprowadzić Hera, ale Tejrezjasz, który przez siedem lat był kobietą, przyznał rację królów Olimpu. Według świadectwa Tejrezjasza kobieta przeżywa aż dziewięć-krotnie większą rozkosz niż mezczyzna. Może jest to kwestia przeznaczenia?

Fascynujące połączenie seksu i przeznaczenia znajdujemy w powieści Tadeusza Konwickiego „Bohni”. Pisarz sugeruje, że skandaliczny romans starzejącej się panny Heleny Konwickiej z Żydem Eliaszem Szyrą z Bujwidz był realizacją przeznaczenia. Początkowo broniła się przed ostatecznym, pomyślała sobie, że spada do piekła, lecz w końcu uległa. Kochała się z nim raz i drugi, bo tak musiało być, taka była wola przeznaczenia.

„W skroniach dudniło, chwytała z trudem powietrze pachnące rzeźną wodą i czystymi wodorostami, on znowu coś mówił albo może uspokajał ją i siebie, i potem nagle poczuła, że to się już stało i on jest w niej, i ogarnęła ją raptowna radość, i dziwiła się przez mgnienie tej radości, później zaczęła objawiać jak rozkosz i w łamaniu tej rozkoszy wzrosła się coraz wyżej, ale on nieoczekiwanie szarpnął się, jakby chciał wyrwać się z jej ramion i ona zatrzymała się tuż pod zenitem, fiolkowego niebia i bardzo długo stygła z bolesnej rozkoszy zawieszona gdzieś nad nią, nie spełnionej do końca”.

Następstwa miłości „Żydka z Bujwidz” i panielki z folwarku Bohin były tragiczne. On został zastrzelony przez jej ojca. Ona zaś urodziła niesłubne dziecko. Po prostu takie było przeznaczenie. A może tylko spłót zdarzeń, ślepy traf, domena bogini Tyche?

Spłoty zdarzeń i dobra wola z obu stron sprawiły, że bohater książki „Nowy Świat i okolice” poznał na basenie klubu sportowego „Legia” młodą, elegancką kobietę. Wszystko miało ładne: piersi, nogi, włosy. Wdawało mu się, że to nie dla niego dziewczyna, a jednak udało mu się zaprosić ją do siebie. I kiedyś przyszła. Była w pięknym kostiumie, na nogach miała pończochy.

„Myślałem, że upadnę z wrażenia. Trzęsącymi się rękami otworzyłem drzwi. To ty, powiedziałem, jakbym naprawdę spodziewał się kogoś innego.

Usmiechnęła się tajemniczo i, jak mi się zdawało, bez zażenowania. Można, można, szepnąłem tak cicho, że sam siebie nie słyszałem. (...)

Zgasła papierosa. Chyba się rozbieżujemy, nie to stwierdziła, ni to spytała. Jęła zdejmować z siebie ten kostium. Robiła to wprawnych ruchami, systematycznie, nie opuściła niczego na ziemię. A ja zdziwiałem z siebie wszystko rozdygotanymi rękami. Coś pękło wstydlwie,

Seks i przeznaczenie

niały mieczak w dżungli jego pożądaną. Chociaż udawał, że nie mają pojęcia o tym, co oboje wiedzieli i o czym jedno wiedziało, że wie drugie, od tamtej nocy połączyło ich nierozwalne współzawodnictwo. Aureliano Jose nie mógł zasnąć, dopóki nie usłyszał o potymcy walczącej zegara w salonie, a dojrzała dziewczęta, której skóra zaczynała się smuć, nie zasnęła spokoju, dopóki nie czuła wślizgującego się pod moskitierę tego somnambulika, którego wychowywała, nie myśląc, że będzie pocieszeniem jej samotności. Wtedy nie tylko spał razem, nadzwy wymieniając upajające pieszczoty, ale gonili się po zakątkach domu i zamkniętych w sypialniach o pierwszej lepszej godzinie w ciągłym stanie niezapokojonego podniecenia”.

Amaranta wkrótce się opamiętała

Zrozumiała, że grzeźnie w spójnionej i beznadziejnej namiętności. Stanowczo przerwała niedozwolony romans. Ale skoro tak bardzo pragnęła miłości, to dlaczego odrzucała dwu kochających ją mezczyzn? Autor powiada, że z powodu nierozważnego strachu, niezwykłego wicherostwa. I możemy mu wierzyć.

W każdym razie ludzie dokonują wyborów. Nieważne zresztą, jakimi motywami się kierują. A jeśli wybierają, to nie powinno być przeznaczenia. Chyba, że jakiś Bóg wszystko zaplanował i uwzględnił nawet naszą wolną wolę jako element konieczności? Nie wiem. Nie ulega tylko wątpliwości, że nasze działania opłacają się nieustannie z działaniami innych ludzi i w ten sposób powstaje nie nasz los i kobierze historii ludzkości.

Najłatwiej uwierzyć mi w to, że seks jest przeznaczeniem. Seks bowiem leży u podstaw życia. Nie ma przypadku w tym, że mezczyzna i kobieta tak bardzo pragną się zespolic. Nawet w mikrowiedzie komórek mamy udział na poziomie i żeńskim. Przy czym komórki męskie poruszają się i podpełzają do żeńskich. Natomiast komórki żeńskie są bierne. Nie mogę zrozumieć, dlaczego w świecie ludzi tak często i powszechnie czynnik żeński uchodził za zły i grzeszny. Już w pracy Hezjoda „Teogonia” kobieta przedstawiona jest jako „piękne zło”. Starożytny autor pisał o przeklętym plemienu kobiet, o straszliwej plaździe zesłanej na śmiertelnych mezczyzn. Kobieta to pułapka przeznaczona mezczyznom.

Świat grecki był bardzo męski. Ale symbolem losu i przeznaczenia była kobieta. Wszystkie bóstwa losu są rodzaju żeńskiego: Mojrzy, Nemezis, Ananke i Tyche.

Słowo „moira” początkowo oznaczało udział lub część. Ma ono związek z dzieleniem plemienną ziemi na rodowe działki. A potem zaczęło tak nazywać przeznaczenie w życiu los, jednostkowy udział, część

symbolizowały czas darowany ludziom od momentu narodzin do śmierci. Kłoto przędła, Lachesis odmierzala, Atropos przerywała.

Przeznaczenie uosabia również Nemezis — podobnie jak Mojrzy — córka Zeusa i bogini sprawiedliwości Temidy. Jej imię pochodzi od „nemein” — udzielać, przydzielać. Czuwała nad tym, żeby ludzie zachowywali umiar i nie przekraczali pewnych granic. Była to bogini pomsty dziełowej. Bez względu na karala tych, którzy postępowali zbyt okrutnie i niesprawiedliwie.

Boginią konieczności była Ananke. Słowem tym określano to, co ma być, przysmus, a także stan niewolnicwa i związany z nim los (trud i cierpienie).

W niespokojnych czasach upadku państw greckich i triumfu Aleksandra Wielkiego bardzo popularny był kult Tyche — bogini ślepego przypadku. Tyche oznacza zrzadzenie losu. Odbarzała ona ludzi dobrem i złem, szczęściem i nieszczęściem według jakichś niepojętych reguł, bez żadnego związku z postępowaniem. Wspaniały posag tej kapryśnej istoty znajdował się w Antiochii.

Kobiety nie tylko symbolizowały los, lecz zdymonowały również instytucję wyroczni (Pytia, Sybilla). Kobięcą głowę i piersi miał ponadto zagadkowy Sfinks.

Być może ma jakiś sens twierdzenie Oswalda Spenglera, że kobieta jest losem i czasem, mezczyzna zaś przeżywa los i stara się go pojąć. Kobieta byłaby więc przeznaczeniem?

Zygmunt Freud uważał, że istota kobiety sprowadza się do faktu, że nie jest ona mezczyzną i nie ma członka. Z chwilą uświadomienia sobie tego braku popada w kompleks niższości. Ogarnia ją zazdrość o męski organ.

Z poglądami Freuda polemizowała Karen Horney. W rzeczywistości — jej zdaniem — mezczyzna jest zazdrośny i ma kompleks z powodu małej roli w tworzeniu istot żywych. Kompensuje to sobie wzmocnioną aktywnością w innych dziedzinach. Co więcej — mezczyzna nie tylko zazdrości kobiecie, lecz w dodatku odczuwa przed nią strach. Kobieta jawi mu się jako istota demoniczna i niebezpieczna.

W stosunkach damsko-męskich kobieta znajduje się w lepszej sytuacji, gdyż nie musi udowadniać swej kobiecości.

W zasadzie zawsze może od być stosunek. Natomiast



Dziewczyny Andrzeja Września

— Wszyscy dziś „trabia”, że to pan odkrył Miss Ziemi Łódzkiej — Bożenę Brożynę...

— Może nie tyle odkrył, co pokazał szerszemu gronu ludzi. Faktycznie współpracuję z Bożeną ponad rok i mogę tylko tyle powiedzieć, że obok Ewy Jędras jest to najzdolniejsza fotomodelka, z jaką się spotkałem.

— A spotkał się pan z wieloma. Same się zjawiają? Koledzy pomagają? Chyba nie zaczęła pan dziewczyn na ulicy?! — I tak już bywało. Choć to niezręczna sytuacja; ja widzę tylko jej „fotograficzną” urodę, ona — sądzi, że mam nieco bardziej zdrowe myśli. Domy mojej, jak choćby Łódzka „Teli-mena”, ogłaszają dość często różnego typu konkursy dla przyszłych modelek i ja — bywa — tam też wyląm dla siebie jakąś dziewczynę. A czasem same telefonują...

— Sugerując współpracę? — Właśnie. I zwykle się zgadzam, przynajmniej na próbną serię zdjęć.

— Od przybytku głowa pęknąć nie boli? — Rozumiem, mogę podać numer: 366-224.

— Czy to prawda, że przyszła tu swoje „narzeczone” niejaki Konrad T., znany koneser i wielbiciel piękna damskiego ciała? — To już musiałby pan usłyszeć od niego samego...

— Cóż za dyskretny lokal! Ale panie Andrzeju, zapytam wprost: czemu panienki? Czy absolwent wydziału operatorskiego łódzkiej szkoły filmowej nie mógł znaleźć innego obiektu swych artystycznych poszukiwań? Są jeszcze przecież konie, stare powozy, a przede wszystkim łódzka secesja...

— Powiedzmy szczerze: nie stać mnie na uprawianie wyłącznie sztuki dla sztuki. Co nie oznacza, że niekiedy nie biegam mglistym rankiem po mieście „strzelając” choćby frontony kamienne. Ale to dla pewnej psychicznej odmiany. Forma ostateczna — folder, kalendarz, plakat, nawet okładka książki czy płyty, tylko ona ma ostatecznie wpływ na to, czy stać mnie będzie na prozaiczne zakupy materiałów fotograficznych.

— Czym pan „strzela”? — Duże zdjęcia, które przeznaczone mogą być na plakat — „Mamiya”, ale efekty pokazów mody, z przeznaczeniem dla żurnali — utrwalam „Canonem”.

— Blisko dziesięć lat w branży, którą jak by pan sam nazywał? Fotografia reklamowa?

— Trudno to precyzyjnie określić, ale raczej fotografią mody.

— Mody? Wszędzie głównie roznegliżowane dziewczyny pan eksponuje...

— To pan tak widzi. Mnie interesują przede wszystkim tendencje w modzie, staram się, by na zdjęciu, które wybrano często z kilkunastu innych, ostatecznie trafiła na łamy czasopisma czy zdbi plakat — nie było nic przypadkowego.

— A czego powinien się pan wstydić? Czy nie wyszło spod pana ręki takie „cudo”, jak znany dość powszechnie plakat, na którym dziewczyna w kaloszach sfotografowana została na tle różnego rodzaju opon firmy „Stomil”?

— Nie, to nie moje dzieło.

— W tym studio, urządzonym dość zrzecznie w „piwnicznej izbie” powstaje zapewne większość prac...

— Wręcz odwrotnie: przede wszystkim pracujemy w plenerach, które mam dość precyzyjnie udokumentowane jeszcze z czasów szkoły filmowej. A w Łodzi i okolicach jest ich — co może niektórych zaskoczy — bardzo dużo i to różnorodnych.

— Pańskie najdroższe zdjęcie?

— To trudno powiedzieć, zwykle nie jest to pojedynczy egzemplarz, zależy czy wędruje do foldera czy na plakat...

— Ale może być warte, powiedzmy, 50 tysięcy?

— To normalna cena...

Rozmawiał: DARIUSZ DOROŻYŃSKI



Foto: Konrad Turowski

lewizji i postawa Komitetu Kinematografii są jednoznaczne: spowodują „wykoszenie” łódzkiej placówki z rynku. A w każdym razie nie zależy im na obronie jej interesów i zatrudnionych tam specjalistów.

W tym miejscu należy powiedzieć, że żadna z naszych wyższych uczelni nie kształci fachowców dla potrzeb dubbingu. Choć kadra twórcza SOF rekrutuje się spośród absolwentów szkół filmowych, uniwersytetów, politechnik i wyższych szkół muzycznych, to jednak praktycznie nauka tych specyficznych zawodów: reżysera dubbingu, dialogisty dubbingu i napisów, operatora dźwięku i montażysty odbywa się w studiu i trwa wiele lat.

Wróćmy jednak do owych fatalnych decyzji. Na czym one polegają?

Trzeba cofnąć się do początków lat osiemdziesiątych. Wtedy

Rąbać pięścią w warszawskie biurko

właśnie główny zleceniodawca studia — **Telewizja Polska w Przedsiębiorstwie Produkcyjnym Filmów Telewizyjnych „Poltel”** rozpoczęła realizację opracowań filmowych. Nie mając odpowiednich specjalistów, ani — wtedy — bazy technicznej, zaczęto się uczyć tego, co świetnie opanowano w Studiach warszawskim i łódzkim. Mając do dyspozycji jednego fachowca — emerytowanego reżysera Studia — zaczęto przyuczać do realizacji dubbingów amatorów, a dla grupy realizatorów o wysokich kwalifikacjach twórczych zaczęło brakować pracy.

Zaczęły się długie przestoje, niepokój o przyszłość, frustracje i wreszcie majaczące z daleka, ale coraz wyraźniejsze widmo bezrobocia — tak określa sytuację **Maria Horodecka**, reżyser i przewodnicząca Rady Pracowniczej Oddziału SOF w Łodzi.

W dobie głębokiego kryzysu ekonomicznego i gruntownych reform gospodarczych — kontynuuje **Maria Horodecka** — gdy na każdym kroku gromkim głosem krzyczy się o potrzebie oszczędzania, na naszym podwórku zdarzyło się coś, co każdemu człowiekowi umiającemu liczyć złotówki powinno zjeść włosy na głowie. W telewizji organizuje się od podstaw to, co istnieje u nas od lat. Kosztem wysokich nakładów finansowych buduje się nowe, a tym samym skazuje się na straty ogromny potencjał ekonomiczny, jaki stanowią Studia Opracowań Filmów w Warszawie i Łodzi, dysponujące pięcioma salami nagrań.

Dalej: zapadły decyzje w Warszawie, że od 1 stycznia 1989 r. likwiduje się w Łódzku Studio telekordingu, przestaje urządzenie do przepisywania obrazów na taśmę filmową odpowiedniej szerokości z innej taśmy — mówiąc najogólniej. Co w zamian? Ano, nic.

Ponieważ „cały świat” pracuje już w systemie wideo i łódzcy realizatorzy pomyśleli, że warto by wyposażyć jedną z sal w takie kompletne urządzenie do nagrywania dźwięku. Wiąże się to jednak z dużym wydatkiem w dewizach. Wystąpiono do Komitetu Kinematografii o przydzielenie 120 tys. dolarów na zakup owego sprzętu. W dzisiejszej sytuacji zachodzi jednak obawa, ba, pewność, że pieniądze te (o ile w ogóle zostaną przydzielone) przejdzie Studio w Warszawie i siebie wyposaży w nowoczesny sprzęt, skazując łódzki oddział na szybki zgon. Z ich punktu widzenia jest to naturalne: każdy ratuje się jak może. Powiedziano nawet w stolicy przedstawicielom Łodzi: ratujcie się jak umiecie. Tylko czy jest to możliwe?

Powie ktoś, konkurencja — **Maria Horodecka** nie ukrywa nawet rozgoryczenia i pewnej bezradności. — Nie może być mowy o zdrowej konkurencji pomiędzy SOF dysponującym przestarzałym, zużytym sprzętem, a bogatą telewizją, która przedstawia się na technikę wideo i ma fundusze na wyposażenie swoich studiów w nowoczesny sprzęt. Zgodnie z opinią, jaką wyraził Komitet do spraw Radia i Telewizji na ten temat, za kilka lat telewizja będzie we własnym zakresie dokonywała wszelkiego typu opracowań dla swoich potrzeb. W tej sytuacji w szczególnie trudnym położeniu znalazł się Oddział Łódzki SOF, od dawna o wiele gorzej wyposażony technicznie niż Studio w Warszawie. Zachodzi obawa, że w chwili gdy Telewizja przestawi się na nowoczesną technikę wideo, a proces ten już się rozpoczął i przebiega bardzo szybko, Studio w Łodzi stanie się bezużyteczne.

Bardzo ważna, jeśli nie najważniejsza barwa problemu są aktorzy. Łódzkie (ale i warszawskie) środowisko aktorskie docenia istnienie SOF, gdyż wie, co mu zawdzięcza. Wiele z nich tu zdobywało szlify, wielu, którym z różnych względów nie wiodło się w teatrze — w Studio znajdowało pracę i zarobek. A zarobki nie są wcale małe. W 1987 r. w Łodzi honoraria wynosiły 6.388 000 zł. Od 1 lutego 1988 r. wzrosły o 110 proc. co dałoby już ok. 15 milionów zł. Jest duża grupa artystów wyspecjalizowana w nietawnej sztuce dubbingu. Zalicza się do nich **Katarzyna Pawlak-Lucik**.

Pracując w dubbingu aktor uczy się prawidłowo operować głosem. Niektórzy z nas okazują się, nie potrafią krzyczeć. Jeśli nie jest to nieumiejętność patologiczna, w Studio tę umiejętność się nabędzie. Ja nie pracuję etatowo w teatrze, nie muszę więc mówić, jak ważny jest dla mnie stały kontakt ze Studiem, z którym współpracuję już wiele lat. (choć to młoda i urodziwa dziewczyna — MK) i praktycznie nie ma dla mnie rzeczy niemożliwych w dubbingu. Nawet głos męczyński mogłabym podłożyć. Studio spełnia jeszcze jedną ważną rolę, o której nie można nie powiedzieć i nie pamiętać. Angażuje niekiedy, do małych, co prawda ról, studentów ze Szkoły, z Wydziału Aktorskiego. Jest to dla przyszłego aktora umiejętność wręcz niezbędna. Zdarza się bowiem, przy nasywaniu postysynchronów do filmów, że młody aktor nie potrafi podłożyć własnego głosu do roli odtwarzanej przez siebie!

Miałoby zatem zostać zaprzepaszczone wieloletnie tradycje, ogromne doświadczenie twórców filmowych i aktorów wyspecjalizowanych w dubbingu?

Jakie znaleźć wyjście z tej pokręconej sytuacji? Najrozsądniejszym wydaje się, co rozważa załoga Studia Opracowań Filmów w Łodzi, odłączenie od centrali warszawskiej i uzyskanie samodzielności. A następnie trzeba pozwolić się, ba, doprowadzić samemu do wchłonięcia przez telewizyjną wytwórnię „Poltel” i pozostać na jej usługach. To gwarantowałoby i unowocześnienie bazy technicznej, i dostatek pracy, o co orzecież słownie i przede wszystkim chodzi. Można by wtedy ścisnąć do Łodzi aktorów z Krakowa, Wrocławia, Poznania, nie ograniczać się tylko do środowiska łódzkiego, dla dobra dubbingowanych obrazów.

Prezentując taki sposób obrony przed upadkiem, kierownictwo i załoga Studia Opracowań Filmów liczy na pomoc łódzkich władz administracyjnych. I słusznie. Dobrze by było, gdyby ktoś z naszych prominentów odważył się rąbać pięścią w warszawskie biurko i przyczynił się tym do uratowania ginącej placówki. Byłby to również jest rehabilitacją za wcześniejsze chybione decyzje dotyczące łódzkiej kultury. Tylko czy stać urzędników wyższego szczebla z łódzkiej drabiny władzy na tak karkołomny wyczyn?

Na razie kończy się w Studio rozpoczęte realizacje, a nowych zamówień nie ma. Bezrobocie stanęło na progu, już wita się z portierem.

— Nie wolno jednak dopuścić, by po 40 latach działalności przestała istnieć w Łodzi instytucja tak zasłużona dla kultury filmowej — kończy reżyser dubbingu, pani **Maria Horodecka**.

P.S. Przy pisaniu tego tekstu korzystałem z opracowania pt. „Informacja dotycząca Studia Opracowań Filmów w Warszawie i Oddziału w Łodzi”, pisma Marii Horodeckiej.

MAREK KOPROWSKI

M

ówł student pierwszego roku Uniwersytetu:

— Na praktykach robotniczych byłem zatrudniony przez „Puchatka”. Zebranie organizacyjne wyznaczono 28 sierpnia 1988 r., a 27 zostaliśmy poinformowani, że musimy zrobić badania lekarskie niezbędne do pracy w przemyśle spożywczym. Oczywiście przystąpiliśmy do pracy bez tych badań. Niektórzy ich w ogóle nie zrobili.

Pracowaliśmy w Dobroniu w spółdzielni ogrodniczej „Sigma”. Pierwszego dnia opiekun praktyk z ramienia „Puchatka” wysłał nas do Dobronia obiecując, że też przyjedzie „za godzinę lub dwie”. Nigdy go już nie widzieliśmy. W połowie miesiąca pojawił się opiekun z ramienia uczelni. Rozdał nam po trzy bilety MPK na głowę.

Czy czuliśmy się potrzebni? Kilka dziewczyn na przykład myło słoiki. Te słoiki stały całe lata pod gołym niebem. Wewnątrz były wypelnione grubą warstwą jakiejś ohydnej

minutowe przerwy wydłużaliśmy sobie do kilku godzin. Oczywiście byłem też na zwolnieniu.

Dlaczego się obijałem? Czy za tak marne pieniądze chciałoby się normalnemu człowiekowi pracować? Wiem, że po studiach też zarobię grosze, ale studiuję tylko po to, żeby nie iść do wojska.

Mówi studentka Uniwersytetu:

— Zebranie organizacyjne odbyło się pod koniec lipca 1988 r. Panował na nim totalny bałagan. Rozdzielano nas na grupy. Wypadło, że mam pracować we wrześniu w zakładach mięsnych. Uważam, że jest to bez sensu. Chce być polonistką. Do czego przyda mi się praca przy mięsie? Musiałam zrobić całą masę badań, w tym badania na nosicielstwo trwające dwa tygodnie. Prawie całe wakacje przepadły.

Praca zaczęła się od krótkiego kursu BHP i od informacji, że będziemy zarabiać 60 zł na godzinę. Wszyscy zaczęli się śmiać.

Co mi dały praktyki? Zobaczyłam jak się w Polsce pra-

Wydziału Prawa i Administracji UŁ:

— Z czasu, jaki poświęciłem praktykom robotniczym, da się zestawić pełny miesiąc. Jest to w pewnym sensie praca społeczna, gdyż pracownicy naukowcy nie otrzymują za nią ekwiwalentu finansowego. Najpierw trzeba nawiązać kontakt z przedsiębiorstwami. Potem sporządzić listy studentów, zorganizować z nimi spotkanie. Z podziału na grupy nie wszyscy są zadowoleni. Rozpoczynają się interwencje, w tym nie tylko interwencje studentów, ale także ich rodziców.

Praktyki robotnicze na naszym Wydziale musieli odbyć studenci pierwszego roku i roku zerowego. Największy kłopot był z rokiem zerowym. Wyniki egzaminów są znane dopiero 20 lipca, a ze studentami jest tylko listowny kontakt. Początkowo listy z dużym opóźnieniem. Przyjąłem więc około 300 telefonów, w tym także wiele w domu.

Część studentów nie była przyjeżdżała przez zakłady pracy. Ci młodzi ludzie mieli zdezorganizowane wakacje. Około

niecznie polegać na pracy fizycznej? Wtedy to już nie byłoby praktyki robotniczej. Nie realizowałyby tych celów dydaktyczno-wychowawczych, co dotąd.

Czy praktyki są potrzebne? Gdyby je zlikwidowano, studenci mieliby mniejszą możliwość zetknięcia się z uczelnią przed rozpoczęciem zajęć, mniejszą możliwość wzajemnego poznania. Być może straciłoby też niektóre zakłady, te, którym brakuje siły roboczej w okresie urlopowym. Myślę, że studenci odnoszą korzyści z odbywania praktyk. Niech zobaczą jak jest naprawdę. Jeśli mają to w przyszłości zmienić, trudno musi zobaczyć.

Opinia dyrektora Okręgowego Przedsiębiorstwa Przemysłu Mięsnego

— Dlaczego chętnie przyjmuję studentów? Mam pieniądze, którymi mogę płacić, a nie mam latem kto pracować. Sezon urlopowy. Na dodatek niektórzy pracownicy odchodzą, by zatrudnić się sezonowo u rolników. Studenci-praktykanci to dla mnie duża pomoc.

Czy należy utrzymywać fikcję, która na dodatek demoralizuje młodzież?

Różne opinie na temat praktyk robotniczych

mazi. Kierownik powiedział nam, że gdyby nie te dziewczyny to słoików nie miałby kto umyć i poszłyby na produkcję tak jak były.

Można było zarobić. Za pomoc przywaciarzom w ładowaniu pustych skrzynek na samochód żądaliśmy po sześćset do tysiąca złotych na dwóch. Przywaciarze nie mieli wyboru, nikt im za darmo nie pomoże.

Szczerze mówiąc obijał się. Dlaczego? Czy można się przykładać do bezsensownej pracy? Jednego dnia kazano nam układać skrzynki w przymy, a drugiego dnia rozbić te przymy i układać skrzynki na paletach. Takich bezsensów było więcej. Poza tym do tego nie wiemy, ile zarobiliśmy i kiedy dostaniemy pieniądze? Czemu mam się przykładać do pracy, jak nie wiem, ile zarobię? Prawie każdy przynajmniej tydzień był na „chorobowym”. Ja miałem „lewe” zwolnienie. Nie wiem jak inni.

Stosunki z robotnikami układały się bardzo pomyślnie. To sympatyczni ludzie. Często waliśmy się papierosami, prowadziliśmy dyskusje.

Mówi student Politechniki: — Praktyki robotnicze odbyłem w 1987 roku. U nas nie było bałaganu organizacyjnego, takiego jak na Uniwersytecie. Pewnie dlatego, że łatwiej dobrać dla nas pracę zgodną z przyszłym zawodem.

Co myślę o praktykach? Za marny grosz chcą nas wyekspluatować. Ale przynajmniej połowa się obija. Pod koniec okazało się, że pracowałem na akord. Najwyższą płacą w mojej grupie wyniosła 5.500. Czego się nauczyłem? Bumelować. Psułem maszynę, żeby nie pracowała. Inni też psuli. Potem szliśmy na stołówkę i graliśmy w karty dopóki majster nie naprawił maszyny. Piętnasto-

uje. Raz upadła mi na podłogę szynka.

— Gdzie to można oplukać? — zapytałam jednego z pracowników.

— Po co? — zdziwił się. — Przecież i tak zjedzą. Czy pracujesz dla siebie?

Picie jest na porządku dziennym. Od robotników czuć alkohol. Widziałam jak pracują przy wędlinach. Chyba staną wegetarianką.

Nauczyłam się tak pracować, żeby „nie się narobić”. Często przerwy na papierosa. Przedłużanie przerw. Ale nie obijał się. Przynajmniej nie bardziej niż „normalni” pracownicy. Na początku bardzo się starałam pracować jak najlepiej. W miarę upływu czasu dostosowywałam się do innych.

Mówi młody pracownik naukowy, opiekun jednej z grup:

— Były przypadki uchylania się od odbywania praktyk. Ale ja nie byłbym w stanie uzasadnić sensu tych praktyk mojej grupie, bo sam tego sensu nie widzę. Jest to zawracanie głowy zarówno studentom, jak i pracownikom naukowym. W ciągu roku jesteśmy zajęci pracą dydaktyczną. Wakacje to najlepsza pora, żeby nadgonić zaległości w pracy naukowej. A studenci i tak prędzej czy później zetkną się z pracą fizyczną. Będą musieli przelecieć jakoś zarobić na życie. To właśnie praktyki uniemożliwiają studentom normalne zarobkowanie pracą fizyczną, bo zabierała czas. I przy tym są demoralizujące. Sens miałyby wtedy, gdyby zatrudnić te młodzież u przywaciarzy. Nie mieliby szansy nauczyć się bumelować. I nie byłoby wyzyskiwania za półdarmo.

Mówi pełnomocnik do spraw praktyk robotniczych dziekana

120 osób będzie musiało odbyć praktyki w przyszłym roku, gdyż w tym roku nie było dla nich miejsc pracy.

Mówi zastępca pełnomocnika rektora UŁ:

— Praktyki robotnicze są organizowane w Łodzi już drugi rok. Trzeba zapewnić ponad tysiąc miejsc pracy. Wysyłamy oferty do wszystkich dużych zakładów i do tych, które spodziewamy się, że będą potrzebowały siły roboczej w sezonie urlopowym. Chodzi tu o gastronomię, zakłady przetwórcze, handel (PSS). Nie wszystkie zakłady są zainteresowane naszymi ofertami. Studentów wynagradza się z funduszu plac, co może niekorzystnie wpłynąć na sytuację finansową przedsiębiorstwa. Staramy się zapewnić studentom pracę zgodną z ich przyszłym wykształceniem. Nie w każdym wypadku jest to możliwe. Trudno sobie wyobrazić taką pracę fizyczną, która byłaby zgodna z przyszłym zawodem polonisty lub psychologa. Dlatego nie wszyscy mogą być zadowoleni.

Dlaczego młodzież często odnosi się do praktyk niechętnie? Traktują to jak obowiązek, a obowiązków się nie lubi. Czy praktyki robotnicze można jakoś „ulepszyć”? Powinny się w całą sprawę bardziej zaangażować organizacje społeczne i młodzieżowe działające na terenie zakładów pracy. Chodzi mi o większe życie praktykantów z załogą. Do tego organizacje robią niewiele. Korzystna byłaby też zmiana przepisów finansowych przedsiębiorstw, zlikwidowanie podziału na poszczególne fundusze. Należałoby też wcześniej rozpoczynać egzaminy wstępne na studia. To uprościłoby sprawę od strony organizacyjnej.

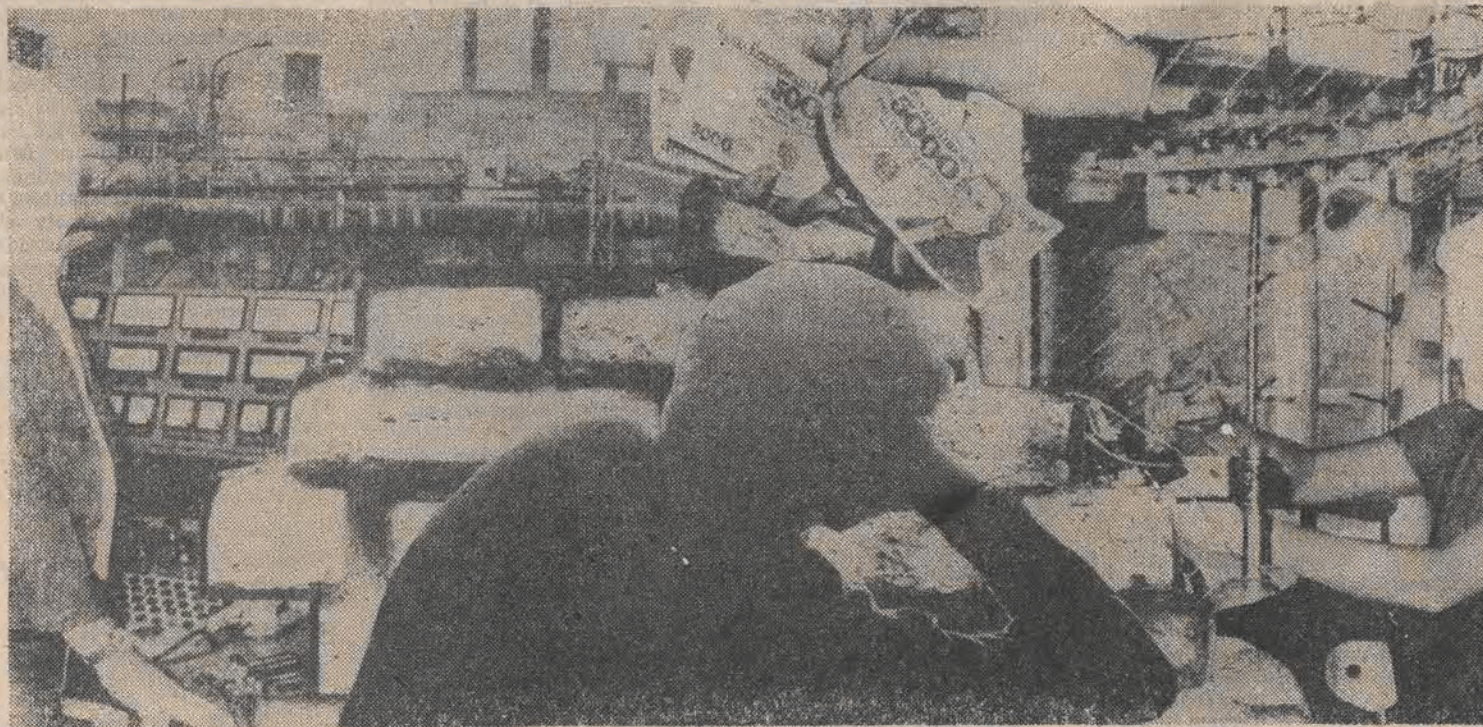
Co myślę o rezygnacji z formuły, że praktyki muszą ko-

Uczelnie się tu dobijają, że by przyjmować do pracy praktykantów. Zarówno Uniwersytet, jak i Politechnika. Z Uniwersytetem zawarliśmy umowę wieloletnią. Niestety, są trudności z wyegzekwowaniem umowy. Zgłosiłem zapotrzebowanie na 40 studentów każdego miesiąca. W lipcu zgłosiło się dziesięciu, przy czym z listy wynikało, że powinno ich być 57. W sierpniu pracowało również 10 osób, choć na liście było 46 nazwisk. Z tych, którzy zgłosili się zbyt późno uruchomiłem dodatkową grupę, od 15 sierpnia, raptem 12 osób. Dopiero we wrześniu zgłosiło się do pracy 39 osób. Ale wtedy lista zawierała aż 94 nazwiska. Praca przy produkcji żywności wymaga wykonania całej serii specjalistycznych badań, w tym badań na nosicielstwo. Te badania zajmują wiele czasu, być może nie wszyscy, zdążyli je zrobić na czas.

Staraliśmy się stworzyć studentom cieplejsze warunki. Kierownicy byli do łez przytłoczeni, nie pracowali na przykład przy uboju, choć zgodnie z umową mogli. Mieli też fachową opiekę. Zarobili po około 20 tysięcy. Myślę, że to dużo. Mieli też okazję zobaczyć jak ciężka jest praca w przemyśle mięsnym.

Co myślę na temat likwidacji praktyk robotniczych? Ano, świat się od tego nie zawali. Mogę sobie przecież zorganizować siłę roboczą w inny sposób, choćby przez OHP. Zmuszanie kogokolwiek do pracy na siłę moim zdaniem mija się z celem.

Zanotował:
MAREK
BLASZKOWSKI



Collage: Grzegorz Gałasiński

Zaraz za zajeżdnią tramwajowa w Helenówku rośnie las, przez który można się dostać do Nowej Gdyni. W tym miejscu biegnie granica między Łodzią i Zgierzem, a za lasem leży po obu stronach drogi wieś Chelmy, która stała się typowym miejskim osiedlem. Wiek, który jest dziś dzielnicą Zgierza. Zamiast chałup pod strzechą i stodoł - ogródek, domki jednorodzinne i wille.

Kiedy Jan Kurzawa, rocznik 1931, kupił przy ulicy Chopina 4 dom w stanie surowym i zaczął go powoli wykańczać, bo miał dosyć gnieźdzenia się po służbówkach, w Chelmach zawiązał się dopiero tzw. komitet wodny. A dzisiaj jest tu już prawie wszystko, aby ludzie mogli znowu żyć i trzeba zaznaczyć, że dokonano tego niemalym społecznym wysiłkiem. Jest więc wodociąg, gaz i ogrzewanie gazowe, krawcówka autobusu, sklep, kiosk, buduje się osiedle młodzieżowe przy ulicach Letnia - Łagiewnicka.

Jan Kurzawa, w dzinsach i

Lublinie. Zdał i został przyjęty. Alifci po dwóch tygodniach technicy weterynarii zostali wezwani do rektoratu i rektor oświadczył, że z ministerstwa rolnictwa otrzymał listę osób, które muszą zostać przyjęte, w związku z czym technicy mają opuścić uczelnię i próbować szczęścia w przyszłym roku.

Evel to dla Jana Kurzawy koniec studenckich marzeń. Stosownie wtedy różne metody, decydowało też pochodzenie. Był rok 1952 i ojciec Jana Kurzawy uchoił za wroga ludu, był kulakiem. Ale to, czego nie dane było osiągnąć Janowi Kurzawie, osiągnęła jego córka. Jest lekarzem weterynarii, ukończyła tę samą uczelnię w Lublinie, do której bezskutecznie dobiegał się ojciec. Poza tym, Jan Kurzawa jest już szczęśliwym dziadkiem.

Lata pięćdziesiąte tak go zraziły do polityki i partii, że mimo wielu propozycji nie wstąpił do żadnej. Dziś jest członkiem Plenum ZSL oraz członkiem władz NK ZSL. Ale do partii chłopskiej wstąpił dopiero po czterdziestce. Uz-

tak, jak pszczoły pszczelarza. Zapach tych kurcząt Jan Kurzawa pamięta do dziś.

A później był donos, że on nie pracuje w leźnicy, tylko na swojej fermie. Specjalna komisja przeprowadziła kontrolę i okazało się, że Jan Kurzawa daje 83 proc. czynów i wpływów, a resztę kierownik i drugi pracownik. Trzy lata temu Kurzawa usamodzielił się, podzielił na pracę i odłód jeszcze bardziej stał się znany jako drobiarz i sołecznik.

Jest wiceprzewodniczącym MRN w Zgierz. Prezydenta miasta uważa za dżentelmena, który zawsze dotrzymuje słowa, ale który chciałby nieraz aby jego postanowienie było góra. Kurzawa szanuje prezydenta, ale często skaczą sobie do oczu. Kiedy więc prezydent ustalił bez konsultacji, że wydział rolnictwa zostanie przeniesiony z Urzędu Miasta do gminy, to posiedzenia przewidywały się w tej sprawie między nimi codziennie. Jan Kurzawa zmuszony był strzelać z grubej rury, to znaczy wygłosił taką sentencję, że chłopskie grunty są w mieście potrzebne, ale chłop śmierdzi

Jan Kurzawa słyszy w telewizji, że w województwie łódzkim od lat znakomicie układają się współpraca między partiami, to on się z tym nie zgadza. Skoro bowiem jest taka sielanka, to czemu, gdy w WZGS zwalnia się stanowisko wiceprezesa, ZSL ma takie trudności z obsadzeniem tego stanowiska? Czemu naczelnikami gmin jest tak mało ludowców, czemu, woj. łódzkie jako jedyne w Polsce nie ma wicewojewody ludowca od spraw rolnictwa? Koalicja ma być na równych prawach, a nie tak, że dwóch ciągnie, a trzeci pojeżdża.

Jan Kurzawa uważa za zbyt zachowawcze wystąpienie prof. Strużka w Sejmie. Podobają mu się wystąpienie prof. Miłkołaja Kozakiewicza oraz stanowisko Stronnictwa Demokratycznego. Zjednoczone Stronnictwo Ludowe nie może uchylać się od sprawy. Jeżeli jest partia robotnicza, to musi być też partia chłopska z prawdziwego zdarzenia. I przedstawicielem ZSL przy okrągłym stole powinien być ktoś taki, jak prof. Kozakiewicz.

Jan Kurzawa ucieszył się, że premier Mieczysław Rakowski swoje pierwsze rozmowy przeprowadził w NK ZSL. Jeżeli premier postawi na rolnictwo, to wygra. Możliwości są ogromne, o ile tylko stworzy się odpowiednie warunki młodzieży, żeby nie uciekała ze wsi i nie mówiła, że starsi narobili tylko długów. Właściwie ceny środków produkcyjnych i opłacalność produkcji sorawia, że nawet nie wobrażamy sobie, jak ona może wzrosnąć. Osiągające sa plony wóh nawet do 100 kwintali z hektara. To nie przesada. Jan Kurzawa kunił ziemię VI klasy, która od 15 lat nie miała obornika. Na 2,20 ha tej ziemi wywioł 60 rozrzućników obornika. Zdawał sobie sprawę, że w pierwszym roku wartość tego zabiegu przekroczy znacznie wartość plonów, ale zebrał rekordowa ilość owsa - 55 kwintali z hektara.

Według Jana Kurzawy największym błędem był eksport nawozów i import zbóż. A błędem najnowszym jest to, że z rolnictwem związane są tylko 4 spółki, podczas gdy w rolnictwie i przemyśle rolnospożywczym powinno być ich najwięcej. Surowiec jest, należy go tylko szybko i tanio przerobić, po czym sprzedać korzystnie za granicę, na przykład przetworzone ziemniaki. Jeśli cena na ziemniaki będzie korzystna, to rolnik jest w stanie zwiększyć nakłady i produkcję do 400 kwintali z hektara.

Istnieje prawdziwy rynek warzywno-owocowy i drobiarski, a możemy mieć także prawdziwy rynek mięsny. Smak prawdziwej wędliny znany tylko z uboju gospodarczego, często nie kontrolowanego. Trzeba zlikwidować monopół wielkich zakładów mięsnych, dać rzemieślnikom prawo do bezpośredniego zakupu żywca u rolników, a będziemy mieli w bród smaczny wędlin z małych masarni. W podobny sposób można także uzdrowić rynek artykułów mieszańskich.

A czy potrzebne są tzw. czapy? - zastanawia się Jan Kurzawa. - Jeżeli Gmina Spółdzielnia ma być samodzielną jednostką gospodarczą, to na co jej taki twór, jak WZGS? Albo komu potrzebne jest coś takiego, jak Wojewódzki Związek Rolników, Kółek i Organizacji Rolniczych? Samodzielne kółka rolnicze powinny być silniej powiązane z samorządem, a tymczasem SKR sobie, a samorząd sobie i przy tym wszystkim SKR często świadczą usługi dla przemysłu, nie dla rolnictwa. W Łodzi to rzyno się coś takiego, że WZRKIOR wypowiedział 31 grudnia lokum rolniczym związkom branżowym. Mają one opuścić gmach, którego byli właścicielami, ze względu na remont. Zielerze, hodowcy ryb, bydła, drobiarze mają szukać nowych lokali, a tymczasem do gmachu wprowadza się „Polmasz” oraz firmę „Ema Service”, która zajmuje się czyszczeniem kominów i pieców.

Jan Kurzawa, który całe życie zajmuje się zwierzętami i sprawami rolnictwa, w ogóle tego nie rozumie. Powiada, że nie żałuje niczego, co robił w życiu, ale teraz to już naprawde nie wie, co z tym fantem zrobić. No, chyba że WZRKIOR ma na względzie cele wyższe i poprzez czyszczenie kominów dąży do ochrony środowiska?



Mówi: BRYGIDA FISZER

— Na początek porozmawiajmy o dzisiejszej kondycji nauczyciela w Polsce. Jaka ona jest?

— Zawód nauczyciela nie jest dziś popularny, chociaż już wśród młodzieży budzi zainteresowanie. Świadczy o tym ilość zgłoszeń na wydziały pedagogiczne w szkołach wyższych różnych typów. O braku popularności zdecydowało wiele czynników, między innymi niewątpliwie trudna praca, małe możliwości dobrego urządzenia się w życiu, konieczność prowadzenia dodatkowych zajęć w celu podwyższenia zarobków. Natomiast co pociąga w zawodzie nauczyciela? Długi okres wakacji, które dają możliwość, zwłaszcza młodym nauczycielom, uprawiania turystyki, dłuższych wyjazdów, a kobietom zatrudnionym w tym zawodzie umożliwiają przebywanie przez dłuższy czas w okresie wolnym od pracy z własną rodziną.

— No, dobrze, ale nauczyciele mają także mniejszy wymiar godzin pracy niż w innych zawodach.

— To są pozory. Nauczyciel, żeby dobrze pracować, musi niemal taką samą ilość godzin jak obowiązujące go lekcje poświęcić na przygotowanie się do nich oraz do wszystkich innych zajęć szkolnych. Praca nauczycielska — to po pierwsze, po drugie i po trzecie: stałe uczenie się. Nauczyciel uczy innych, ale sam się także całe życie uczy.

— Czy częste zmiany programów nauczania — a czeka nasze szkolnictwo kolejna reforma w tej dziedzinie — nie wpływają ujemnie na kondycję nauczycieli?

— Na pewno tak. Starzy nauczyciele, którzy przeżyli wiele zmian programowych, łatwiej umiają się do nich dostosować. Odrywa tu dużą rolę doświadczenie i umiejętność wyboru pewnych treści oraz metod i form ich przekazywania. Młodym nauczycielom bardzo trudno jest przestawić swój sposób myślenia, organizowania pracy i przygotowywania się do niej. Trudno im sprostać zmianom programowym.

— A młodzież? Przecież ona także jest poddana niustającym eksperymentom...

— Przedmiotem pracy nauczyciela jest zawsze uczeń, który nie zawsze korzystnie odbiera zmiany. Przed wprowadzeniem zmian programowych nauczyciel powinien je sobie przyswoić i wówczas uczeń nie będzie na tych zmianach tracił. Chodzi o to, by nie eksperymentować w pracy z uczniem.

— Proszę pani, a jak to jest: dzieci uczą się w szkołach, a mimo to wymagają niezbędnej pomocy rodziców lub korepetytorów? Dlaczego tak się dzieje?

— Dwie są tego przyczyny: pierwsza — od pierwszych klas nauczyciel ma dużą liczbę uczniów i nie może stosować zasady indywidualizacji w nauczaniu. Traktuje klasę jako zbiór uczniów. Bardzo mało ma czasu na pracę z poszczególnymi jednostkami, drugie — nauczyciel przestał dziś być najważniejszym autorytetem dla ucznia. Na dziecko od najmłodszych lat działają środki masowego przekazu. Dziś szczerym marzeniem młodego człowieka jest najczęściej osiągnięcie pozycji idola: słynny sportowiec, śpiewak estradowy, artysta, aktor.

— Kto powinien udzielać korepetycji? Czy nauczyciel, który uczy dziecko?

— Nigdy nie powinien udzielać korepetycji ten nauczyciel, który uczy dane dziecko w szkole. Korepetycje jako takie są często stosowanym douczaniem, co jest niewłaściwe.

— Czym zatem powinny być?

— Tylko i wyłącznie wyrównywaniem braków w sporadycznych przypadkach. Ponadto mogą dotyczyć poszerzenia wiedzy wówczas, kiedy młodzież starsza przygotowuje się do egzaminów maturalnych lub na wyższe uczelnie. Ale i wówczas nie powinien udzielać ich nauczyciel z tej samej szkoły. Zdecydowanie nie powinni korepetycji udzielać asystenci pracujący na tych samych klerunkach, na które wybierają się kandydaci na studentów. Może to prowadzić do nadużyć.

— A co robi wieloletni pedagog, który — jak w przypadku pani — pozostaje na emeryturze nie wystarczającej na wyższenie przyswojonego końca z końcem?

— Podejmuje, niezależnie od wieku, pracę na pół etatu, jeśli jest sprawny umysłowo i fizycznie. Ja pracuję w Zespole Szkół Odzieżowych nr 1 w Łodzi. W ubiegłym roku uczyłam języka polskiego zastępując nauczycielkę będącą na urlopie zdrowotnym. W bieżącym roku szkolnym zaczęłam pracę w bibliotece szkolnej. Znosi się jednak na to, że znowu będę kogoś zastępowała na lekcjach języka polskiego. W wyjątkowych przypadkach można zawiesić emeryturę, żeby i ponownie przeliczyć po dwóch latach pracy. Nie jest to wykłaczane w moim przypadku.

— To się oplaca?

— Tak, ponieważ moja emerytura po przeliczeniu będzie znacznie wyższa. Wymaga to jednak dużego wysiłku i odwagi życiowej. Przecież w szkolnictwie przepracowałam już 30 lat, w tym w zakładach kształcenia nauczycieli ponad dwadzieścia.

— Jakie korzyści, poza materialnymi, daje podjęcie pracy?

— Włącza człowieka w określony zespół nauczycielski, rozszerza jego kontakt z ludźmi, wymaga zmobilizowania sił wewnętrznych i stałego doskonalenia dobrze już znanego warsztatu pracy. Nauczycielowi, który lubi swój zawód, potrzebny jest kontakt z młodzieżą.

— Na co przeznaczają pani pozostały swój wolny czas?

— Przed wszystkim na dobrą lekturę, filmy, wycieczki i kontakty towarzyskie utrzymywane z licznym gronem dawnych uczennic i ich dzieci. W wielu przypadkach uczyłam już dwa pokolenia: rodziców i ich dzieci. Dziś odwiedzają mnie wszyscy.

— A czy nie odczuwa pani ciężaru starości i samotności?

— Człowiek całe swoje życie pracuje na własną starość. Pracowałam na swoją uczciwie, zawsze używałam wiele ruchu, uprawiałam turystykę, uczyłam się dostosowywać moje wydatki do możliwości i nigdy nie wiedziałam, co to jest nuda.

— Dziękując za rozmowę, życząc, aby nadal nie narzekała pani na nudę, znużenie i zmęczenie.

Jeżeli postawi na rolnictwo — to wygra!

Cale życie Jana Kurzawy

RYSZARD BINKOWSKI

w niebieskiej bluzie, na pierwszy rzut oka nie sprawia wrażenia chłopca z urodzenia, a już z pewnością nie takiego, co walczy z uporem o chłopskie sprawy. Ma pogodzone szare oczy, szpakowate włosy przylegające gładko do czaszki i nie jest oburzymem zdolnym do rzućania workami ze zbożem, chociaż, jak się potem okaże, i to potrafi zrobić. Mówi łagodnym głosem, wydaje się człowiekiem zrównoważonym i tolerancyjnym, takim, co to nie wda się w awanturę z kierowcą, który zajeżdża mu drogę, ale w kontaktach, jak to mówią, na linii obywatel — administracja to on, on nie jest taki tolerancyjny. Jan Kurzawa ma bez wątpienia swój udział w przeobrażeniu wsi Chelmy w miejską dzielnicę, nie na próżno wpisano go do Księgi Zasłużonych dla miasta Zgierza. Nie narzeka nawet na to, że swój warsztat pracy ma 4 kilometry od domu, na drugim końcu miasta, w Dąbrówce Malicach, gdzie hoduje kury. A w ogóle to Jan Kurzawa nie urodził się w Zgierz.

Urodził się we Wróblewie, dziś województwo sieradzkie. Ojciec uprawiał dziedzinę hektarów ziemi, a matka zajmowała się głównie czworgiem dzieci, ale nie tylko, bo to ona wprowadzała postępi i kulturę do gospodarstwa. Ojciec zajmował się pasieką, uprawiał sad, wywoził konikami owoce do Łodzi. Jan Kurzawa pamięta, jak bardzo pragnął chodzić do założonej we Wróblewie ochronki, gdzie poznawał się inny świat. Obowiązywał tam przymus picia tranu, chłopiec dostawał od tego torsji, a dorosły Jan Kurzawa do dziś nie je ryb morskich, bo mu zalała trął tranem. W ochronce był inny świat, a w domu czekała praca. Pięcioletni chłopiec pasł już krowy, a starsza o rok siostra wryczała w pracach gospodarskich matkę. Cieszył się z pójścia do szkoły, a jednocześnie przybawał obowiązki w gospodarstwie, więc nie było łatwo. Ale on to lubił. Lubił zwierzęta i jazdę koniami. Został wychowany w kucie pracy, tak że dziś nie mógłby bez niej żyć. Dziś, chociaż nie musi, wstaje o piątej rano i jedzie na fermę. Kiedy przychodzi wagon z paszą dla kur, staje w kolejce z pracownikami i dzwiga worki. Aby użyć tańszą paszę, jeździ po jarmarkach, kupuje zboże i sam przetrzuca worki.

Po podstawówce ukończył szkołę rolniczą w Kościelcu, ale tego było mu za mało. Podczas wakacji przeczytał w gazecie, że w Bydgoszczy przyjmują do technikum weterynarii. Pojechał, zdał egzamin i został przyjęty. Apetyt rośnie w miarę jedzenia, toteż po uzyskaniu dyplomu technika weterynarii Jan Kurzawa udał się do Warszawy i przystąpił do egzaminów na wydział weterynarii Wyższej Szkoły Rolniczej. Zdał, ale nie został przyjęty. Następnego roku spróbował więc w WSR w

nał, że kontakt z ZSL jest dlań nieodzowny, zmuszała go do tego praca na wsi.

Najpierw pracował jako technik weterynarii w leźnicy w Sieradzu. Opiekował się między innymi liczącym 200 sztuk stadem świń, które hodowano w gospodarstwie przy prewenterium w Ratafówce. Poznał tam ciemnowłosą, ciemnonołą nauczycielkę Annę. Mówi, że gdyby miał szukać jeszcze raz żony, to wybrałby ponownie Annę. Wiele jej w życiu zawdzięcza, to ona kierowała mnóstwem spraw, dzięki czemu doszł do czegoś, on zaś mógł mieć czas także na działalność społeczną.

Pani Anna potwierdza to. Mówi z przymrużeniem oka, że dała mężowi tyle luzu, aż się rozpolitykował. Bo ona do dziś pracuje w leźnicy w Zgierz, ma na głowie cały dom, zakupy itd., a Jan to nawet nie wie, ile co kosztuje. Kiedyś powiedział jej, że w Proboszczewicach są pomarańcze, ale nie kupił, bo myślał, że są jej niepotrzebne. Gdy córka wyszła z domu, to przybył pies, czarny wilk, którego trzeba wyprowadzać na spacer do lasu. Bywa, że pies kładzie się pod drzwiami, nie dając swej pani przejść, a małżonek ogląda telewizję, bo musi mieć kontakt z wielkim światem.

W Sieradzu zajmowali służbówkę przy leźnicy, a właściciel taki boks dla chorych zwierząt. Kiedy urodziło się dziecko i rozłożyło się amerykańskie, to było tak ciasno, że ani się obrócić, ani przejść. Trzeba było myśleć o przyszłości, pensja technika weterynarii niewielka, toteż Jan Kurzawa zmuszony był zostać dwuzawodowcem. Hodował do spółki z kolegą lisy i norki, ale lekarzowi powiatowemu to się nie podobało, bo jego żię też hodował lisy, no i na działkach pracowniczych zrobiło się ciasno. Jan Kurzawa dostał wypowiedzenie, z czego skorzystał i przeniósł się do leźnicy w Zgierz. Służbowe mieszkanie było nieco większe, ale warunki i tak kiepskie. W nocy słyszał już z daleka, jak chłop prowadził chorego konia. Wstawał, ratował konia, zamykał oczy i natychmiast zasypiał. Nie było spokojnej nocy, bo ciągnęły wozy ogrodników spod Leżycy, a złotówki za tę bezsensowną żandę. Jan Kurzawa musiał szukać czegoś poza zawodem, no i w 1970 r. kupił w Dąbrówce Malicach 70 arów gruntu. W lutym nabył działkę, a 30 sierpnia przywiózł już pierwszą partię jednodniowych kurcząt na brojlery, bo zaczynał od brojlery. Syptał po cztery godziny na dobę, ale za to w ciągu kilku miesięcy kurnik był gotowy, otykowany, z centralnym ogrzewaniem. Był tak zmęczony, że wysypał te pisklęta, zwałł się obok nich na ściółkę i zasnął, nie mając siły wyjść z hali. A gdy się zbudził, to znowu nie wiedział, jak wyjść, bo pisklęta upakowały go za matkę i oblepily

gnojem, więc trzeba go wypchnąć z miasta. Aby do tego nie dopuścić, z posiedzenia komisji handlu, usług i rolnictwa MRN wyproszono prezydentów. No i wydział rolnictwa pozostał w Urzędzie Miasta.

Od pięciu lat Jan Kurzawa hoduje kury niozki i zdołał przez ten czas sprzedać ponad sześć milionów jaj. Takich jak on, podobnie jak ogrodnika białwarzem, nazywa się pogardliwie kurelaskiem, że to niby nie sieje taki, nie orze, a zbiera. Otóż Jan Kurzawa także sieje zboża na paszę, i na pięciu hektarach, które dokupił, osiąga wysokie plony. Nie można liczyć tylko na paszę z zewnarty, bo hodowla kur to jest taki interes, że obowiązują dwuletni cykl: przez pięć miesięcy karmienie, bo dopiero po 5 miesiącach z piskląt robią się niozki, potem 13 miesięcy produkcji, na koniec zaś 5-6 miesięcy na czyszczenie, dezynfekcję i remont kurnika, a potem wszystko od nowa. Teraz, 2 października 1988 r. jest akurat tak, że dwa miesiące temu powinien odstawić stare kury na rzeź, ale one jeszcze we wrześniu zniósły 100 tys. jaj, to jest 70 proc. nośności, więc pójdą pod noż dopiero w połowie października.

Jan Kurzawa pomyślał, że córka może być dumna z dyplomu lekarza weterynarii, ale z pensji to nie będzie szczęśliwa, bo jak tu żyć za takie grosze? Kupił więc pięć hektarów ziemi i kurnik o powierzchni 1500 m kw. i zięc hoduje już kury. A Jan Kurzawa został przewodniczącym Wól. Zw. Hodowców i Producentów Drobiu. Tak się złożyło, że w Łodzi został zlamany monopół „Poldrobu”. Wielu hodowców zostało wyrzucenych z „Poldrobu” ze względu na słabsze wyniki w produkcji, ale wielu też odeszło, bo nie mogli znieść hegemonii i arogancji „Poldrobu”. I wtedy przy Wól. Związku powstała nowa jednostka gospodarcza „Drobiarz”. Dzięki temu ma pośredników, magazynów, chłodni i jako tego samego dnia trafia z fermy do sklepów. W ubiegłym roku „Drobiarz” osiągnął prawie 30 milionów zysku, który przeznacza się na działalność związkową, wypoczynkową i oświatową. Hodowcy lepiej zarabiają, bo taniej produkują, a że „Drobiarz” uzyskał prawo eksportu (pierwszy eksport do Szwajcarii), więc większość chce przejść do „Drobiarza”, także z województwa ościennych.

Drobiarstwo jest gałęzią rolnictwa, które pierwsze wyszło z kryzysu. Wskutek restrykcji paszowych drobiarze mieli przepaść, a przecież nie znieśli. Ba, są okresy, gdy jest nadmiar jaj, które można eksportować, aby zdobyć środki dewizowe na zakup pasz i komponentów. Wszystko jest możliwe, trzeba tylko z góry ustalić, co zmienić w rolnictwie.

I trzeba konsekwentnie trzymać się tych ustaleń. Kiedy

CZESŁAW MIROSLAW
SZCZEPANIAK

Zapisek wleński

(2)

Jesienią zwarzyły się lasy mieszane zasypało aleje po kostki młody wiatr zamiata pejzaż przed zimą stroi figle w listowiu ostatnie owoce dzieli z ptakami i zaleca się na Rynek do gołębiarki która stoi z pustymi rękami październik 1987 r.

DARIUSZ MUSZER

Zapomnienie

Przez włosy jak strugi styczniowego mrozu kołysze się płomień świeczki

Jeszcze chwila
i nie zdążymy zobaczyć
czy to naprawdę my

Półka z książkami

WIELKA TRÓJKA REWOLUCJI

Albert Manfred, wybitny historyk radziecki zdobył uznanie w świecie dzięki swoim pracom poświęconym Francji i jej dziejom w XVIII w. Czytelnik polski otrzymał właśnie — wydaną przez PIW — książkę poświęconą trzem działaczom i przywódcom Wielkiej Rewolucji Francuskiej, którzy pragnąc stworzyć idealne społeczeństwo i państwo nie tylko że ponieśli klęskę, ale mimo założeń programowych, okazali się być twórcami rewolucji burżuazyjnej. Byli to Rousseau, Mirabeau i Robespierre, postacie od wieków zaprzętające umysły naukowców i pisarzy. Przekład Andrzeja Szymańskiego.

Albert Manfred: Rousseau, Mirabeau, Robespierre. PIW 1988. Str. 476. Cena 1.100 zł.

ZIEMIA PRZEMYSKA

Nieczęsto mam okazję prezentowania w tym miejscu albumów. Tym razem pragnę Czytelnikom polecić pięknie wydany album Tadeusza Budzyńskiego „Ziemia Przemyska” z tekstami Jana Bazyliego Lipszycy opisywającymi historię i dzień dzisiejszy jednego z najpiękniejszych zakątków naszej Ojczyzny. Jednak najbardziej urzekająca fotografia: te czarno-białe i te barwne, oglądając które możemy się przekonać, iż Przemysł i jego okolice są naprawdę „równe Rzymowi”. A przy sposobności ze smutkiem stwierdzam, że ciągle tak mało znamy zabytki Polski i jej piękno.

Tadeusz Budzyński: Ziemia Przemyska. Sport i Turystyka 1988. Str. 124. Cena 2.900 zł.

CZERWONA NITKA

Twórczość Kajetana Pakowskiego penetrowała dotąd obszar naszego codziennego bytu. Ale oto ukazała się „Czerwona nitka” — rzecz o działalności gangu przemytników heroyny z Bliskiego Wschodu via Polska do Europy Zachodniej i Ameryki, a także o pracy służb specjalnych, którzy owa „czerwona nitka” czyli szlak przetrzuty przez komunistyczną Polskę, uderzającą w życie amerykańskim stylem. A więc sporo dramatycznych i tragicznych sytuacji, pościgów, strzelanin itp. A wszystko podane inteligentnie, nie nużąc w dobrych dawkach.

Kajetan Pakowski: Czerwona nitka. WL 1988. Str. 134. Cena 300 zł.

Oprac.: E. IW.

Latem roku 1939 Witold Gombrowicz powiedział do grona swoich przyjaciół: „Państwo nie umieją czytać gazet. A tu likwiduję moje interesy na trzy lata i wyjeżdżam z Europy — hażem z poetą Słazewiczem”. Tak przynajmniej miały brzmieć słowa autora „Ferdynand” przypominane po latach przez Eryka Lipińskiego. I wyruszył Gombrowicz razem z Czesławem Straszewiczem do Ameryki Południowej. A losy ich zupełnie inaczej się potoczyły. Jeden poświęcił się literaturze, by stać się pisarzem znanym w kraju i na świecie. Drugi zaś na emigracji napisał tylko jedną książkę, która zresztą do dnia dzisiejszego nie została oficjalnie wydana w Polsce.

Pamiętam, kiedy przed paroma laty książka owa przypadkowo wpadła mi w ręce, nie o jej autorze jeszcze nie wiedziałem. Początkowo przekartkowałem ją pobieżnie, tak jednak mi się spodobała, że przeczytałem w całości. Potem dopiero dowiedziałem się, że „Turyści z bocianymi gniazdami”, bo o tej książce tu mowa, stała się na emigracji prawdziwą rewelacją. Chwalili ją J. Stempowski, M. Sambor, Z. Markiewicz, W. A. Zbyszewski, T. Nowakowski, a Jerzy Pietrkiewicz hasło Czesław Straszewicz umieścił nawet w encyklopedii „The Penguin Companion to Literature” wydanej w 1969 roku; pisał dobrze o „Turyście” także Witold Gombrowicz w swoim „Dzienniku” choć przy okazji oddał się mocno Straszewiczowi za jego krytykę „Trans-Atlantyku”. W kraju natomiast książka nie spotkała się z uznaniem, wynikało to oczywiście z tematyki w niej poruszanej. Ale i tutaj Straszewicz znalazł swoich obrońców, M. Sprusiński powiedział o

nim, że pisał mało, ale bardzo interesująco. Książka Straszewicza to właściwie dwa dłuższe opowiadania bardzo luźno ze sobą związane. Pierwsze pt. „Katedra Sandwiczów” mówi o polskich marynarzach, którzy uciekali ze statków w niewielkim porcie Ameryki Południowej, Punta Chata. Główny bohater, Kostek Napierkowski, schodzi na obcy sobie ląd z książką kucharską, symbolem polskości w tym dalekim świecie, by choć przepisać potraw ulubionych być bliżej kraju rodzinnego, a przecież i upichcić coś w wolnej chwili też można, ot choćby „flaki po polsku”.

Sylwester w Punta Chata

żką kucharską, symbolem polskości w tym dalekim świecie, by choć przepisać potraw ulubionych być bliżej kraju rodzinnego, a przecież i upichcić coś w wolnej chwili też można, ot choćby „flaki po polsku”.

A później po jednym i drugim głębszym o polityce trochę pogawędzić można, co zwykle, jak to wśród Polaków, kłótnia skończyć się musi, ale tutaj akurat kolejny kieliszek spór zlagodził.

I tak to życie marynarzy w Punta Chata płynęło z dnia na dzień i z godziny na godzinę, bo przyszłość przed nimi się nie rysowała, wegetacja więc tylko pozostawała w tej małej polskiej kolonii racjonalnej na koniec świata i życie z niewielkimi problemami, oł by minął czas i pieniądze można by było jakieś załatwić i parę portowych kurewek oszukać. A jeszcze fobie narodowe wszystkie wychodzą, jak to w takich skupiskach od kraju

daleko będących, kto nie ran i gdzie odniósł i czyje większe zasługi dla kochanej ojczyzny. A tu jeszcze Boże Narodzenie przyszło, ale co to za święta bez śniegu i mrozu, bez choinki i świecidełek, w upale natomiast obryzmim; i cóż to za zabawa sylwestrowa, gdy za oknem plus 30 stopni i alkohol dwa razy szybciej do głowy uderza i nawet przewieź się nie można, bo na zewnątrz wiatr gorący, co zamiast chłodzić żątką jeszcze i wszystkim, że tak powiem, literackim mistrzostwem. Postacie barwne na kartkach książki żyją i żadnej w nich sztuczności nie ma i język bardzo dobry, nie do powtórzenia chyba, jedyny w swoim rodzaju, w dialogach ostrych i bardzo prawdziwych się wyrażający. A powiem jeszcze, że całość, jest zabarwiona wspaniałym humorem (książka pod tym względem uważana jest za największe osiągnięcie na emigracji), ale by zobaczyć czy wszystko jest tak jak mówię, trzeba owa książkę, przeczytać. Myślę więc, że czas już najwyższy, by „Turyści z bocianymi gniazdami” w księgarniach można było kupić.

W drugim opowiadaniu zmieniamy scenę i nastrój. Rzecz bowiem dzieje się w Gdańsku w latach stalinowskich. Tutaj Straszewicz wspina się na szczyty groteski. Humor osiąga jeszcze większe natężenie. Uśmiech nie opuszcza nas od pierwszej strony do ostatniej. Siedzieliśmy prowadzone przez funkcjonariuszy bezpieczeństwa w nie nie znaczącej sprawie, staje się szczytem absurdu.

TOMASZ A.
WŁODKOWSKI

Xylon i tajemnica światła

Kiedy obcuje się z dziełami jednego autora na ogół nie trudno uchwycić wspólną myśl, z której są one wyprowadzone. Inaczej rzeczy się mają w przypadku prezentacji zbiorowych, nie podporządkowanych założeniom programowym, a jedynie wymogom technicznym. Do takich należały wystawy Triennale Drzeworytu organizowane przez Międzynarodowe Stowarzyszenie Drzeworytników XYLON z siedzibą w Winterthur — Szwajcaria.

Nawet klasycznie rozumiany drzeworyt daje bardzo rozległe możliwości formowania twórczej wypowiedzi, a co dopiero mówić kiedy chodzi o techniki druku wypukłego w ogóle. Toteż charakterystyczne artystyczne zagadnienia w odniesieniu do wystawy, która jest przeglądem tego rodzaju twórczości artystów z około dwudziestu krajów, byłoby raczej bezsensowne. Można jedynie próbować odpowiedzieć na pytanie, czy wystawa taka przynosi, dużo świeżych, nie opatrzonych świadectw reakcji twórców na współczesną rzeczywistość. Gdy chodzi o pokaz XYLON, urządzony w Ośrodku Propagandy Sztuki, mam wątpliwości, mimo iż wiele prac bardzo mi się podobało. „Przykład Cierpi” z czterema ilustracjami — Hansa Martina Erhardta z RFN, a także prace pozostałych członków jury: Christopha Donina — Austrii, Hansa Kellera i Ursuli Schuetz — Szwajcarii oraz Ryszarda Otręby — Polska — dają dobre świadectwo tej wystawie. Po nazwiskach jurorów powinniśmy wymienić niemal wszystkich polskich twórców, ich bowiem dzieła nadają ton całej ekspozycji, wyczerpują nie tylko jej bogactwo techniczne, ale przede wszystkim zasięg treściowy, czy raczej problemowy.

Na początku lat osiemdziesiątych można było zaobserwować w różnych dziedzinach sztuk plastycznych nawrót do tak zwanych klasycznych technik i dyscyplin, wówczas też ciekawe było ujawnianie związków pomiędzy tym, co kiedyś i tym, co teraz, poszukiwanie pewnej stałości niezależnej od niepokojów dnia dzisiejszego. Ostatnia wystawa XYLON-u zdaje się sugerować wyczerpywanie się tych wątków, a także — co gorsza — dreptań wokół spraw już przez sztukę i przez publiczność dawno przyswojonych. Wyłamywanie się niektórych prac (m.in. W. Szamockiego, T. Struka, T. Chojnackiego) z tej charakterystyki, czy szczególności kompozycji np. S. Fijałkowskiego, J. Grabowskiego nie zaprzeczają tej ocenie; bardziej ją podkreślają, tak zresztą jak i prace nagrodzone „Odpady” — Wiesław Smutek — Polska, nagroda miasta Winterthur; „Ulica Kasl” — Jerzy Jędruski — Polska, i nagroda XYLON-u; Bez tytułu II — Denis Sién — Szwecja, II nagroda XYLON-u; „Zimowy i letni bukiet” — Rudolf Kienzi — Szwajcaria, III nagroda XYLON-u.

Być może taka ocena krywdzi wielu autorów, ale jest to cena, na którą muszą się godzić uczestnicząc w wystawach zbiorowych.

Gdyby któraś z obrazów Aleksandry Jachtomy z jej indywidualnej wystawy w Galerii Bałuckiej przeniesie do zestawu kompozycji wielu autorów też zapewne zostałyby on przytłoczony siłą czy agresywnością innych, ze szkoda dla tej malarki.

Aleksandra Jachto (studia w Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, dyplom w 1958 r.) pracuje niezależnie od nurtów czy mód, które ujawniają się w sztukach plastycznych, nie wiąże się z żadnymi programami artystycznymi, aczkolwiek krytycy sztuki chętnie zaliczają jej malarstwo do szeroko rozumianego nurtu postkonstruktivistycznego. Ta uproszczona klasyfikacja sugeruje, że jest to twórczość bardziej rozum niż emocji, bardziej logiki niż poezji. Tymczasem oba te czynniki istnieją w obrazach Jachtomy w doskonałej równowadze. I im dłużej się je ogląda, tym bardziej tę równowagę się odczuwa. Jest to malarstwo, które nie poddaje się jakimś oczywistym interpretacjom, wymyka się wszelkim opisom. Trudno bowiem stosować taki zabieg wobec obrazów, których jedną materią jest jednolity kolor, miejscami tylko rozświetlony lub zmieniony w ten sposób, że ta zmiana sugeruje podział płaszczyzny według elementarnych prawideł geometrii. Zróżnicowanie tak delikatne, że prawie umyka wzrokowej rejestracji, może jednak wywoływać emocje; niepokoi i intryguje, a zarazem promieniować harmonią i spokojem. Można by to malarstwo nazwać rozważaniami nad mistyczną tajemnicą światła.

KRYSTYNA NAMYSŁOWSKA

XYLON 10. — Międzynarodowe Triennale Drzeworytu, Ośrodek Propagandy Sztuki — październik 1988 r. Aleksandra Jachto — malarstwo, Galeria Bałucka — październik 1988 r.

Łódzkie Dni Literatury (które trwać będą przez dziesięć dni) zapoczątkowała uroczysta sesja, jaka odbyła się w Miejskiej Bibliotece im. L. Waryńskiego w ub. piątek, z udziałem sekretarza KŁ PZPR — Grzegorza Misiewicza i dyrektora Wydziału Kultury i Sztuki UML — Grażyny Wasilewskiej. Sesje poprzedziło ogłoszenie wyników I Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego im. Tadeusza Mięcińskiego oraz konkursu na przekład z literatury niemieckiego obszaru językowego ogłoszonego przez Stowarzyszenie Tłumaczy Polskich Oddział w Łodzi. W konkursie im. Tadeusza Mięcińskiego II nagrodę przyznano Maciejowi Świerkowi (naszemu redakcyjnemu koledze), III nagrodę zaś — Henrykowi Gajewskiemu z Sy-cowa. Jury konkursu wyróżniło także prace na-

ŁÓDZKIE DNI LITERATURY

Sesje, nagrody, spotkania

desane przez Michała Daleckiego z Łodzi, Teresę Opokę z Radomia i Tadeusza Patulskiego ze Świdnicy. Jury konkursu na przekład z literatury niemieckiego obszaru językowego przyznało następujące nagrody w dziedzinie krótkiej prozy artystycznej. I nagrodę — Elżbiecie Cieślak, za przekład opowiadania Gabrielle Wohmann, II i III nagrodę — Adamowi Sumera, za przekład opowiadania Heinricha Bölla i Franza Kafki; dwa wyróżnienia przypadły w udziale Franciszkowi Julkowskemu i Tytusowi Jakubowiczowi.

W czasie sesji dr Tadeusz Błażewski przedstawił dorobek łódzkiego środowiska literackiego lat ostatnich. „Lat ostatnich — to czas niepokoju społecznego i z troskami obywatelskiego w Polsce, czas wartościowania to lata spieć i scierania się różnych wartości i poglądów — to swoisty tygiel, w którym krystalizowała się i nadal krystalizuje nowa jakość w sposobie traktowania i zachowywania substancji narodowej — powiedział Tadeusz Błażewski. — Literatura nie może pozostać obojętna wobec tych zjawisk. Prawda, że reaguje różnie (już choćby poprzez okoliczność istnienia odmiennych obiegów literackich) reaguje na ogół w dość powolnym tempie (w czym również ma swój znakomity udział piekielnie

wydużony cykl wydawniczy polskiej książki), reaguje wstydliwie (chociaż się za parawanem wypróbowanej sztuki aluzji), ale potrafi przeciw zareagować w sposób bezpośredni”.

Następnie Tadeusz Błażewski dokonał interesującej oceny i przeglądu dorobku piarskiego, łódzkiego środowiska i stwierdził: „Co łączy książki, o których mówię, co stanowi ich tertium comparationis? Okazjonalnie i przypadkowo — na użytek dzisiejszego spotkania — okoliczność, że ich autorzy związani są miejscem zamieszkania. Znaczenie głębiej łączy je fakt iż stanowią część literatury polskiej, iż na zasadzie pars pro toto świadczą o kondycji współczesnego naszego piśmiennictwa, włączając się w żywe tendencje problemowe i artystyczne...”.

Swoimi refleksjami na temat dorobku naukowo-twórczego członków Stowarzyszenia Autorów Polskich, sformułowanymi wspólnie z prof. Stefaną Dziecielską-Machnicką, podzielił się Edward Kolbus, natomiast prezes Oddziału Łódzkiego Stowarzyszenia Tłumaczy Polskich Konrad Frejlich zaprezentował bogaty dorobek łódzkiego środowiska tłumaczy.

Na tegoroczne Łódzkie Dni Literatury, których organizatorami są: Związek Literatów Polskich, Stowarzyszenie Autorów Polskich i Stowarzyszenie Tłumaczy Polskich oraz MBP im. L. Waryńskiego, składa się wiele interesujących imprez i wydarzeń, że wymienimy tuwarzące sesje ciekawą ekspozycję książek pisarzy łódzkich, czynną w kulturach bibliotek, czy też kolejną sesję, jaką zorganizowano w Klubie Nauczyciela, a poświęconą słownikom specjalistycznym. Z okazji Dni Literatury czynne są wystawy publikacji Wydawnictwa Uniwersyteckiego, ekslibrisów, zbiorów bibliofilskich nie mówiąc już o licznych spotkaniach autorskich.

M. Z.

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata

POLSKIE DZIEŁA
W MEKSYKU

W jednym z najważniejszych muzeów — Muzeum Rufino Tamayo w Meksyku otwarta została w tym miesiącu wystawa obrazująca dokonania polskich artystów tkaczy w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat. Do Meksyku pojechało 50 tkanin artystycznych 26 autorów, wśród nich prace najwybitniejszych polskich artystów: Magdaleny Abakanowicz, Marii Chojnackiej, Barbary Falkowskiej, Wojciecha Sadleja, Marii Gasiennicy-Szostak, Urszuli Plewko-Schmidt, Stefana Popławskiego i młodszych artystów.

Otwarte w 1981 roku Muzeum Rufino Tamayo posiada cenne zbiory, wśród których znajdują się dzieła najwybitniejszych twórców naszego wieku — Giorrio de Chirico, Maxa Ernsta, Juana Miró, Pabla Picassa i, rzecz zrozumiała, patrona muzeum — Rufino Tamayo. Muzeum zajmuje 2.800 m kw. powierzchni ekspozycyjnej, zaś jego bryła architektoniczna należy do ciekawszych konstrukcji. Warto przy tej okazji odnotować, iż jednym z projektantów tego interesującego obiektu był architekt polskiego pochodzenia — Abraham Zabludowski.

CENIOM SCENY

Towarzystwo Przyjaciół Łodzi wraz z Muzeum Miasta zorganizowało w miniony poniedziałek wieczór poświęcony pamięci zmarłych w latach 1987—1988 ludzi teatru — Mieczysławowi Jagoszewskiemu, Wiesławowi Kindermanowi, Janinie Jabłonowskiej, Stefanii Skwarczynskiej, Jadwidzie Hryniewiczkiej i Wojciechowi Piłarskiemu. Wieczór wspomnień poświęcony był koncertem, w którym wzięli udział artyści sceni łódzkie.

NA PIERWSZYM
MIEJSCU
„DZIECI ARBATU”

Biblioteka im. Lenina w Moskwie ogłosił listę książek najczęściej wypożyczanych z biblioteki. Na pierwszym miejscu 12 najpopularniejszych książek znajdują się „Dzieci Arbatu” Rybakowa, potem „Białe szaty” Dudincewa, „Nominacja” Beka, „Nocował chmurka złota” Pristawkina, „Szafot” Ajmatowa, „Ojciec chrzestny” Puzo, „Dalej, dalej, dalej...” Szatrowa, „Życie i los” Grossmana, „Historia państwa rosyjskiego” Kramzina, „Mistrz i Malgorzata” Bułhakowa.

Autorzy listy zastrzegają się,

że badaniami objęto Moskwę i inne większe miasta Rosyjskiej Federacyjnej Republiki Radzieckiej.

OSADA WIKINGÓW

Osadę Vikingów odnaleźli norwescy archeolodzy na jednej z wysp należących do Archipelagu Lofotów u północnych wybrzeży tego kraju. Natrafiono m.in. na pozostałości okazałej budowli o wymiarach fundamentów 60x6 m, należącej być może do wodza. Szczególną wartość przedstawiają znajdujące się w osadzie przedmioty domowego użytku, dowodzące, że mieszkańcy osady utrzymywali kontakty z ludnością różnych stron Europy. Wyprawy Wikin-gów docierały m.in. do dzisiejszej Anglii, Francji i Hiszpanii.

PRAWDA
O DUNAJEWSKIM

Publikowaliśmy niedawno w tym miejscu wypowiedź syna Isaaka Dunajewskiego o sobie i swoim ojcu. Wypowiedź tę pragniemy dziś uzupełnić o opublikowaną przez tygodnik „Ogólniok” prywatną korespondencję kompozytora. Otóż choć Isaak

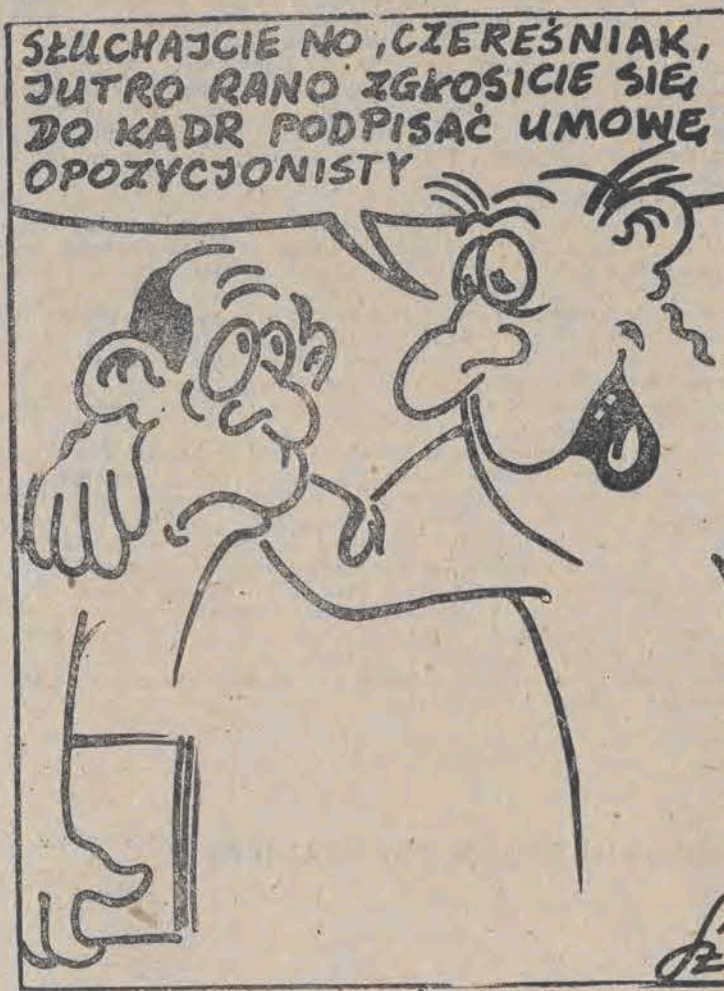
Dunajewski był wyróżniony i nagradzany, nie wolno mu było wyjeżdżać za granicę. Choć miał ambicje tworzenia muzyki poważnej, jednakże nie pozwalały mu na to hi-tate zamówienia.

W odczuciu władz „Pieśń o ojczyźnie” nie stała się wystarczającym i oczekiwanym penem na cześć Stalina i dlatego właśnie Dunajewski napisał kolejny utwór — „Pieśń o Stalinie”. Niestety, również nieudany choć lansowany w całym kraju z pochwałami pod adresem autora, który „stworzył godną pochwały pieśń o towarzyszu Stalinie”. Jednakże sam Stalin, po wysłuchaniu nagrania miał powiedzieć kważno: „Tak, towarzyszu Dunajewski; rzeczywiście oddał cały swój wspaniały talent, żeby tej pieśni nikt nie śpiewał...”. Co prawda taka ocena nie wyróżła twórcy nie docenego, lecz na szczęście Stalin lubił jego muzykę.

W roku 1955, — mając 55 lat, Isaak Dunajewski popełnił samobójstwo, którego motywów nie są znane.

ZAWÓD

Sporym zawodem okazał się na ostatnim Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych „Obywatel Piszczek” Andrzeja Koltkowskiego mający z „Zezowatym szcze-



Rys. Sławomir Łuczyński

W teatrze, jak wiadomo, trudno człowieka nastraszyc, scena bowiem nie wytrzyma pod tym względem porównania z ekranem. W teatrze jednak, równie dobrze jak w kinie, można widza rozstraszyc, co się zdarza nie tylko w sposób niezamierzony.

PREMIERA W „STUDYJNYM”

Strachy na Lachy

Ale jakiego sposobu zażyć, jeśli za osnowę utworu scenicznego obrano niesamowite, gdyż absolutnie pośmiertne dzieło okrutnika Nosferatu, szesnastowiecznego hospodara Mołdawii i Wołoszczyzny, mającego swą niedostępną siedzibę w górach Transylwanii. Onże, mimo ówczesnego zacofania technicznego potrafił wyprawic na tamten świat niewymyślnymi metodami coś ze sto tysięcy chłopów. Przeszedł Nosferatu do ponurej legendy pod przewzkimem

Draculi, wampira ssącego ciepłą ludzką krew dla zachowania nieśmiertelności.

Wprawdzie nie całkiem jeszcze wymarło pokolenie zatwardziałych racjonalistów, którzy wynieśli ze szkoły sceptycyzm wobec informacji nie zweryfikowanych naukowo, rozplenia

się za to nad podziw chwacko generacja przyszłych entuzjastów wszystkiego co niezbada- ne i tajemnicze, dająca chętnie wiarę nawet czarom i gusłom. Jednym więc należało za- aplikować strachulki, a drugim prześmieszki, na zasadzie świeczki i ogarka.

Przedstawienie w „Studyjnym” jest adapta- cją sensacyjnej opowieści **Brama Stockera**, powstałej u schyłku ubiegłego wieku, która doczekała się licznych literacko-kinowych

wersji. Z uznaniem dla dobrej roboty reżyser- skiej i aktorskiej trzeba ocenić próby wywo- lywania dreszczyku niesamowitości i grozy przez umiejętne posługiwanie się światłem, gwałtowne ruchy aktorów, nieoczekiwane o- krzyki i rozziewające jęki. Muszę wyznać, że bałem się akurat tyle, ile wymagała lojal- ność widza wobec gorliwych usiłowań teatru. A jednocześnie, jakby na wypadek flaska hor- roru ubezpieczano się nieustannym pomru- giwaniem do widowni, żeby nie pomyślała sobie, że się tu wyle co wierzy, chociaż (między nami mówiąc) udział konsultanta do spraw wampiryzmu zdaje się świadczyć, iż ta sfera życia pośmiertnego jest tu w należytym esymie.

Mógłbym poprzestać na tych komplementach wobec przedstawienia, gdyby nie zbyt rychłe wyczerpanie się reżyserkich pomysłów i stop- niowe nasączanie się sceny i widowni dojm- ującą monotonią i nudą, mimo ponawianych prób ożywienia różnymi zagrywkami.

Myślę, że sporo winy za niepowodzenie po- nosi sam zamysł upakowania na scenie wielo- wątkowej struktury powieściowej, co sprawiło, iż rzecz stała się nieludsko pogmatwana, cał- kiem nie trzymająca się kupy, a mogłoby to mieć swój sceniczny sens i styl, gdyby ów

stek brudni paść na „wariackich papierach”, korzystając z wszystkich atrybutów farsowego ujęcia. Nie wystarczyły rozslane luźne pomy- sły, jak grzyby pily przy odcinaniu głowy wam- pirzycy, zabrakło zdecydowania i konsekwen- cji, toteż wiele wysiłków poszło na marne.

Być może specjalną atrakcją dla młodszych widzów okazał się udział pojawiającego się kilkakrotnie zespołu instrumentalnego, którego muzyczne produkcje miały wprowadzić atmo- sferę lęku i niepokoju, czego jednak nie po- trafił docenić ze względu na słabo wrodzoną odporność na decybele.

Mimo tylu zastrzeżeń nie wykluczam, że przedstawienie może znaleźć licznych zwol- ników w kręgach młodzieżowych, niezmienne dochowujących wierności tej łódzkiej scenie.

JERZY KWIECIŃSKI

Teatr Studyjny: „DRACULA”, wg powieści **BRAMA STOCKERA** Przekład, adaptacja i reżyseria — **MAREK MOKROWIECKI** Pro- jekt scenografii — **KRZYSZTOF PANKIEWICZ** Muzyka — zespół **IMPERATOR** Pre- miera prasowa 9 października br.



skie fortepiany, ksylofon, komplet klarnetów Selmera, nowoczesne magnetofony, 2 widea, komputer. Dużą inwestycją jest budowa or- ganów przez firmę czechosłowacką. Niebawem uzyskamy też japońską kserokoparkę, nie- ocenioną przy wydawaniu zeszytów nauko- wych oraz — dzięki specjalnej dotacji prezy- denta miasta — syntezator dla tworzonego stu- dia muzyki komputerowej.

— **A więc rzeczywiście był to rok „łusty”**... — Przyznam się panu, że nawet nie przy- puszczałem, że tyle uda się załatwić. Trochę miałem szczęścia, dużo pomocy władz. W lip- cu odbyło się w Akademii spotkanie świad- czące o niesłabnącym zainteresowaniu władz naszymi sprawami. Uczestniczyli w nim dyrek- tor Departamentu Kultury Artystycznej MKiS, Edmund Heza i wiceprezydent Łodzi.

„Kieruję się dobrem całej uczelni...”

Rozmowa z prof. **ALEKSANDREM KOWALCZYKIEM**, rektorem Akademii Muzycznej w Łodzi.

Janusz Urbaniak. Wnioski z tego spotkania pozwalają z optymizmem patrzeć w przys- zość.

— Uzyskane sponaże będą zapewne dobrze służyły dydaktyce i pracy artystycznej. A co w tym względzie zarysowało się nowego?

— Najnowsze inicjatywy to nawiązanie współpracy naukowo-artystycznej z uczelniami zagranicznymi. Właśnie teraz grupa naszych studentów i pedagogów przebywa w Państw- owym Konserwatorium w Rydze. W ramach 3-tygodniowego pobytu hospitują zajęcia, dają koncerty, wymienia doświadczenia. W listop- dzie spodziewana jest rewidzja. W sprawie podob- nej, międzyuczelnianej wymiany wyjeżdżam wkrótce do Twento Conservatorium w Enschede, w Holandii. Naturalnie utrzymujemy wciąż współ- pracę z uczelniami krajowymi. Kontynuowana i rozszerzana jest też dotychczasowa działal- ność związana z upowszechnianiem muzyki. Poza cotygodniowymi, adresowanymi do miesz- kańców miasta, poniedziałkami muzycznymi w Akademii, zainaugurujemy w II semestrze cy- kliczne imprezy w Muzeum Wnętrza (w pałacu Herbsta). Zamierzamy też prezentować doro- bek szkolnej orkiestry symfonicznej w woje- wództwach ościennych, a także urządzić w szkołach koncerty umuzykalniające dla mło- dzieży.

— **Zatem „kuźnia talentów” jeszcze bardziej związana będzie ze środowiskiem, z odbiorca- mi muzyki?**

— Jest to jednym z naszych celów. Zresztą edukacja przyszłych artystów nie mogłaby przebiegać w izolacji. Myślę, że te nowe akcje sprzyjać będą podnoszeniu dydaktycznego, ar- tystycznego i wychowawczego poziomu łódz- kiej uczelni.

cznej i Ośrodkiem Gitarowym Ludowego In- stytutu Muzycznego.

— Katedra kończy prace nad nowymi pro- gramami nauczania gitary we wszystkich ty- pach szkół muzycznych. Wraz z Ośrodkiem Gi- tarowym LIM i Łódzkim Towarzystwem Mu- zycznym współpracujemy również w przygo- towaniach do mających się odbyć w Łodzi w grudniu IV Dni Muzyki Gitarowej. Na przy- szły rok zaplanowany jest, z kolei, VII Ogól- nopolski Konkurs Wykonawcy Gitary Klasycz- nej.

— **Co jest pana główną troską jako naj- młodszego, jak dotąd, rektora łódzkiej Aka- demii Muzycznej?**

— Główną troską stanowi wywiązanie się z powierzonych mi przez społeczność akademicką zadań co najmniej tak, jak moi znakomici poprzednicy na tym stanowisku: profesorowie Wilkomirski, Drobner, Sikorski, Bacewicz, Pło- szaj i Gzella. Kieruję się dobrem całej uczel- ni, jej perspektywami rozwoju i poziomem wszystkich wydziałów. Dużą wagę przykładam np. do doskonalenia kadry naukowo-dydakty- cznej. Pragnę, by w uczelni pozostawali, jako pracownicy, najbardziej utalentowani absol- wenci. Ostatnio zwiększona została samorząd- ność i samodzielność naszej Akademii. Liczę w związku z tym na pomoc wszystkich pedago- gów i studentów w realizacji wspólnych ce- lów.

Rozmawiał: **JANUSZ JANYST**

Fraszki

ROMAN GORZELSKI

SPOSÓB

Łatwo się dowiesz kto wróg, kto przyjaciel,
Gdy jesteś pod datą lub po dobrej dacie!

PRZEMIJANIE

Już niejedną las się wyszumiał:
Pozostała z niego deskowa trumna...

Z PUBLIKATORA

Czuje już wstręt
Do słowa „trend”...

WSPOMNIENIE

Byłem czuły dla niej;
Dala mi: śniadanie!

CON AMORE

Gdy wyrastają mu skrzydła Amora —
Wie, że do innej już lecieć pora...

ZAPOBIEGLIWI

Co tydzień inną miewał dziewczynę:
Bo żonę chował na czarną godzinę...

Kronika

OD 11 PAŹDZIERNIKA BR. W MUZEUM ARCHEOLOGICZNYM I ETNOGRAFICZNYM W ŁODZI czynna jest ekspozycja „Archeologiczny rodowód dworu”.

NAKLADEM „OSSOLINEUM” ukazała się monografia lwowskiego Cmentarza Łyczakowskiego. Stanisław Nicjaja — polski historyk — przedstawia w niej historię tej nekropolii.

To bardzo cenne opracowanie zawiera również sylwetki luminarzy kultury polskiej, pochowanych na tym cmentarzu (m.in. Marii Konopnickiej i Artura Grottgera).

KSIAŻKA „WIEŻA I INNE OPOWIDANIA”, ofiarna Ojcowi Dominikanom „W drodze” — wprowadza do oficjalnego krajowego obiegu twórczość emigracyjnego pisarza — Gustawa Herlinga-Grudzińskiego.

Przygotowany przez Zdzisława Kudelskiego tom 3 (nakład 30 tys.) opatrzony też jego przedmową, prezentuje Herlinga-Grudzińskiego jako noweliste.

Przebiega z niego zafascynowanie Italią, krajem w którym Herling — współzawodniczył paryskiej „Kultury” — od ponad 30 lat przebywa.

W POLMILIONOWYM NAKLADZIE wznowił „Czytelnik” arcydzieło naszej literatury — „Pana Tadeusza” Adama Mickiewicza.

Wraz z tą edycją, w Polsce Ludowej, „Pan Tadeusz” wznowiany był już 85 razy, w łącznym nakładzie 9 mln 136 tys. egzemplarzy.

W WARSZAWIE ODBYŁO SIĘ ZEBRANIE ZAŁOZCIELSKIE STOWARZYSZENIA ANIMATORÓW KULTURY.

Stawia sobie ono jako jeden z głównych celów, wypracowanie nowych form organizacyjnych w sztuce upowszechniania wartości kulturalnych. Przewodniczącą stowarzyszenia wybrała Ewę Starczewską.

27-LETNI BELGIJSKI ARCHITEKT E. van der Valle, poczynając od 13 roku życia, wolny czas poświęca na naukę języków obcych. Do chwili obecnej opanował już biegle 31 języków. Ostatnio zachodnioeuropejskie jury, złożone z wybitnych lingwistów, przyznało Belgowi — za jego osiągnięcia — tzw. nagrodę babilońską.

W PABIANICKIM MUZEUM (plac Obrońców Stalingradu 1) czynna jest wystawa, obrazująca udział pabianiczian w walce o niepodległą Polskę.

DZIEKI STARANIOM łódzkiego Teatru Powszechnego i Polskiej Agencji Artystycznej „PAGART” dniami 22 i 23 XI będziemy mogli podziwiać w naszym mieście artystów teatru THE CAMERON THEATRE OF TEL-AVIV. Izraelscy artyści, którzy byli sensacją ubiegłorocznego festiwalu sztuki w Edynburgu, zaprezentują łódzianom znakomitą inscenizację utworu Henryka Kleista pt. Michael Kohlhaas. Wyreżyserował ją dyrektor i główny reżyser izraelskiego teatru — Ilan Ronen.

Ten wybitny twórca prawdopodobnie zrealizuje w najbliższej przyszłości — na scenie Teatru Powszechnego — doskonałą sztukę Franza Werfa pt. „Jakobowski i Pan Półkownik”.

PRZYJACIELE ZNAJĘJ GWAZDY FILMOWEJ — Liz Taylor — twierdzą, że znajdują się ona w stanie wielkiej depresji. Czuje się samotna, schorowana i dlatego sięga często po alkohol.

W DNIACH 22 i 23 PAŹDZIERNIKA BR. NA SCENIE TEATRU STUDYJNEGO wystąpił gościnnie Słupski Teatr Dramatyczny.

Zaprezentował on łódzkiej publiczności surrealistyczny dramat Federico Garcii Lorci „Kiedy minie pięć lat” — wyreżyserowany przez Pawła Nowickiego.

Spektakl ten stanowi swego rodzaju suplement do wystawionych w 1984 r. w Teatrze Studyjnym: „Sztuki bez tytułu” (premiera polska) i „Publiczność” (premiera światowa).

JEDNA Z WYDANYCH W RFN i wystawionych na Międzynarodowych Targach książki w Frankfurtie n. Menem publikacji o kucelni rosyjskiej, nosi tytuł — „Przyjęcie i la pierestrojka”.

TEATR ŻYDOWSKI Z WARSZAWY wziął udział w Festiwalu Muzyki Żydowskiej w Londynie. Pokazał londyńczykom spektakl „Świat moich marzeń” — przygotowany przez Szymona Szurmieję.

W JEDENASTU SALACH ZAMKU KROLEWSKIEGO W WARSZAWIE prezentowana jest ekspozycja „Dzieło Sejmu Wielkiego 1788—1792”.

Mozna m.in. obejrzeć listę marszałkowską Stanisława Małachowskiego, a także karty z wynikami głosowania posłów i senatorów.

W DNIACH 8—11 XI BR. ODBĘDĄ SIĘ W ŁODZI Prezentacje Artystyczne „ESTRADA ’88”. Celem ich jest zaprezentowanie stanu posiadania polskiej estrady. Chodzi również o dopływ nowych autorów i wykonawców estradowych spośród utalentowanych amatorów i studentów szkół artystycznych. Prezentacje przebiegać będą dwoma torami: konkursowo-promocyjnym i pokazowym. Z tego drugiego warto zaznaczyć Teatr „Ateneum” z „Remarem”, „Na Piętrze” (z Poznania) ze „Skizem”, recitale Grzegorza Ciechowskiego, Magdy Umer i Hanny Banaszak (premierowy), a także widowiska: „Złębnięte serce” (E. Dałkowska i M. Benoit), „Kłopoty” (A. Chodakowska i B. Dziekan), W rywalizacji konkursowej wezmą m.in. udział „Kalamur” z Wrocławia i Balet Form Nowoczesnych z Krakowa. Bilety do nabycia w Estradzie Łódzkiej.

NA ZAPROSIENIE ORGANIZATORÓW „DNI KULTURY RFN” przebywał w Polsce wybitny pisarz zachodniemiecki — Günter Grass.

Jak powiedział reporterowi „Expressu Wiedeńskiego” — złożył w jednym z naszych wydawnictw trzecią część „Trylogii Gdańskiej”. Z wielką niecierpliwością oczekuje na jej wydanie.

Akcja tej powieści rozgrywa się w powojennym Gdańsku — dlatego też sądzi, że będzie to również porcja znacząca dla polskiego czytelnika.

Opracował: **JAK**

EPOS TYBETAŃSKI

Liczący 800 lat tybetański e- pos ludowy „Król Geser”, prze- kazany z pokolenia na po- kolenie w ustnej tradycji, po- raz pierwszy spisany został w stolicy Tybetu — Lhasie. Dzie- ło liczy 20 milionów słów. Spie-

NOTOWANIA NA GIELDACH KSIĄŻKOWYCH

Juliusz Römmel „Za honor i ojczyznę” — 3000 zł; Andrzej

Makowiecki „Rapier Napoleo- na” — 500 zł; Nicholas Mon- sarrat „Okrutne morze” (2 t.) — 1500 zł (cena nominalna 970 zł); Kazimierz Sosnkowski „Cieniom Września” — 1400 zł (cena nominalna 850 zł); Zbigniew Nienacki „Wielki las” — 1000 zł (cena nominalna 700 zł); Julian Tuwim „Wiersze dla dzieci” — 700 zł (cena nomi- nalna 380 zł); Louis Frederic „Życie codzienne w Japonii u progu nowoczesności” — 2000 zł (cena nominalna 1300 zł); Maria Dąbrowska „Dzienniki” — 9500 zł (cena nominalna 5000 zł); „Wielki słownik pol- sko-niemiecki” — 8500 zł (cena nominalna 5500 zł); Henryk Dębski „Współczesna kuchnia polska” — 3500 zł (cena nomi- nalna 1800 zł); Józef Kuropies- ka „Nieprzewidziane przygody” — 1500 zł (cena nominalna 780 zł); Jan Brzechwa „Pchła szachrajka” — 700 zł (cena nominalna 460 zł).

„DZIEŃ POEZJI MICKIEWICZA”

Przypadającą w grudniu 190 rocznicę urodzin Adama Mic- kiewicza poprzedził republikań- ski plener rzeźbiarski w położo- nym w Białoruskiej SRR, ro- dzinnym mieście poety — No- wogródku. Program dalszych obchodów przewiduje m.in. o- głoszenie „Dnia poezji Mickie- wicza” z udziałem pisarzy z Polski i odsłonięcie jego kole- jnego pomnika.

nego przy korpusie niemieckim stacjonującym w Grodnie, zostaje wezwany do Warszawy. Ma przedstawić sytuację militarną Naczelnemu Wodzowi. Młody oficer melduje się w Belwederze. Prowadzą go na górę, gdzie Piłsudski pracuje w swym gabinecie.

Komendant jest w doskonałym humorze. Wspomina śniadanie, które razem jedli gdzieś pod Kowlem, i docieklewie wypytuje o stosunki panujące w Grodnie. To powoduje, że kapitan postanawia szczerze przedstawić swoją opinię, choć zakrawa ona na krytykę przełożonego.

— Wyda mi się — przełamuje wreszcie opór — że pułkownik Nieniewski zbyt łagodnie rozmawia z Niemcami. A sytuacja jest taka, że jeśli wywrzucić nacisk na Niemców, Grodno byłoby w naszych rękach.

O dziwo, Piłsudski nie karci go za krytykę starszego stopniem, nie przywołuje ostrą do porządku. Uśmiecha się i, ostatecznie, po czym mówi: — Moje dziecko, to bardzo dobrze, że Nieniewski nie naciska na Niemców. To bardzo dobrze — powtarza. — Mnie to na rękę, że oni tam siedzą.

Jędrzejewicz spogląda na komendanta z niepomiernym zdziwieniem, a ten, jakby kontent z wrażenia, które wywołał, ciągnie dalej:

— Mogliby tam być i wini. Byłoby to dla nas trudniejsze, bo nie mamy wojska, żeby obsadzić Grodno. Niech Niemcy trzymają nasze lewe skrzydło, dopóki ja nie zajmę Wilna.

— Wilna? — powtórzył jak echo zaskoczony Jędrzejewicz.

— Tak. Ale to wielka tajemnica. Operacja na Wilno wkrótce się zacznie, ale na razie wy z Nieniewskim musicie z Niemcami tylko gadać, zwlekać i obserwować, czy Niemcy lub Litwini nie mają jakichś planów odnośnie Wilna. Powinności mówić, że o żadnej polskiej operacji na północ nie ma mowy, bo stan dróg jest fatalny, a armia Hallera wciąż stoi we Francji.

Przerwał, popatrzył na swego rozmówcę z przekornym uśmiechem i dodał:

— A ja tymczasem zajmę Wilno.

Pewność Piłsudskiego plynęła stąd, że już 6 kwietnia w sztabach rozpoczęto gorączkowe przygotowania do wyprawy wileńskiej. W pełnej tajemnicy zostają one zakończone 15 kwietnia, a wraz z nimi następuje koncentracja oddziałów, które mają uczestniczyć w walkach. W tym samym dniu w Strzybowcach, które wybrano na główną kwaterę Naczelnego Wodza, odbywa się ostatnia odprawa. Obecni są na niej generałowie: Szeptycki i Rydz-Smigły, podpułkownicy: Belina i Stachiewicz oraz major Kasprzycki. Piłsudski wydaje rozkaz uderzenia na Wilno i Lidę. Nie jest to zaskoczenie dla obecnych. Co innego ich zdumiewa — komendant, zaciekle paląc, uczynił ponoć ślub, że nie zapali papierosa, póki nie zdobędzie Wilna.

Niemcy zapowiadają swoje odejście z Grodna na 28 kwietnia. Pięć dni drogi mają do niego krajoznawcy stojący w Lidzie, Stonimiu i Baranowiczach. Do 23 Polacy muszą zdobyć Wilno. Inaczej będzie za późno.

— Do Wilna — zauważa któryś z oficerów — prowadzą dwie drogi: przez Grodno najbliższą przez Lidę, wzdłuż toru kolejowego, dalszą.

— Wiosna, błoto na drogach i mosty popusute. A bitej szosy do Wilna nie ma — dodaje Szeptycki.

— I daleko — dorzuca inny. — Ponad sto kilometrów od naszej linii frontu. To zbyt wiele jak na jeden skok.

Ale to nie przekonuje upartego Litwina Piłsudskiego.

— Miasto musi być moje na Wielkanoc! He, rozumiecie? Dlatego was wzięłem, a nie kogo innego. Macie mi dać prezent na Wielkanoc. Wiem, wiem, co mi powiecie. Wy, Belina, że wam brak owsa, że nie możecie bez niego ruszyć, że połowa waszych szwoleżerów nie wie, z której strony do konia się podchodzi. Wy, Smigły, że żołnierze są bez buł, bez menażki, że wasza piechota z miednicami pod pachą chodzi, że ma plecaki ze starego worka albo też z płachty mundury. Wiem, że jesteście nie bardzo co jest i bieda. Ale to historia przemalcy, nie starczy tam miejsca na głupstwa, a jedynie na opowieść o tym, że wzięliśmy Wilno. Naprawdę, moi najlepsi dowódcy!

Każdy z obecnych tu oficerów rozumie, że dyskusja skończona. Pozostało tylko wykonywanie rozkazów. Odmeldowując się wszyscy z trąbkami obcasów. Odchodzi też do swych żołnierzy Smigły i nie tyle o wyposażeniu myśli, co o łebzie. Batalionów miało być dziewięć, a jest sześć. Na dobrą sprawę nawet nie sześć, lecz cztery, bo dwa jeszcze nie nadciągnęły.

W Wielką Srodę, 16 kwietnia o piątej rano w Papierni Piłsudski dokonuje przegładu grupy Beliny, która wyrusza stąd na Wilno. Ma osiemset szabel i dwa działka. Jego zadanie to przetranszować drogę, rozpoznać teren i nieprzyjaciela. Komendant na moście żegna przechodzącą przed nim kawalerię. Wolno unosić się w siodłach szwoleżerowie i ulani kłusują przed Naczelnym Głównym klaszcząc kopyta końskie. Za chwilę nie ma po nich śladu.

Wkrótce po tym samym moście idzie Smigły ze swymi żołnierzami i całą dywizją legionów. Króć 2500 ludzi rytmicznie dudni po deskach. Wyruszają w ślad za kawalerzystami. Niewielkie to sily, a zadanie ciężkie. Opanować Wilno, a droga prowadzi obok Lidy. Tu walczyć inne oddziały polskie, aby ich ostróż z boku, zapewnić swobodne przejście. Z dala tylko dolać do nich pogłos bitwy.

Czerwonoarmistcy wyropili jednak pokrywając się na Lidę garstkę obdartego, przyodzianego w pstrokate mundury różnych armii wojska. Droga zalega im pociąg pancerny. Jego działka, broń maszynowa celują wprost w mało ostrzelanego żołnierza. Sytuacja staje się krytyczna. Oddziały poczynają się cofać. Jeszcze trochę, a marsz grupy Smigłego zostanie zagrożony. Nagle do uszu generała dobiega wybuch. Przeciąga się potężnym łoskotem nad polami. To pocisk uderzył w wagon amunicyjny rosyjskiego pociągu pancernego.

Smigły nie wie, co się stało. Ale powinien się trzymać rozkazu, więc kieruje się na Wilno. Dziwi go tylko, że nie nadchodzi dwa bataliony, które miały go wesprzeć. Nie orientuje się, że wobec trudnej sytuacji pod Lidą Piłsudski musiał je tam pchnąć do walki. To sprawiło, że miasto zostało w końcu otoczone z trzech

stron i choć nieprzyjacieli stawia opór, nie ma już mowy o skutecznym kontrataku.

Grupa wileńska tymczasem maszeruje dalej. Coraz cichsze stają się odgłosy palby bojowej. Wkrótce są tak daleko, że nawet huk dział ostrzeliwujących Lidę nie dochodzi do ich uszu. Zresztą mają własne zmartwienia. To, co oficerowie mówili na odprawie, sprawdza się. Droga prowadząca z Myta na Żyrmuny i Soleczniki ku Wilnu tonie w błocie. Grzęzną w nim głęboko stopy żołnierzy i końskie kopyta. Z wielkim mozołem, wspierane ramionami ludzi, toczą się koła wozów. Chwilami błoto zmienia się w bagno, przez które nawet kilkanaście koni z trudem przeciąga działka, a kuchnie polowe przenosić muszą prawie na rękach.

Tak przebyli ponad trzydzieści kilometrów. Smigły zarządza nocny odpoczynek. Wala się spać nie nie jedząc. Błoto zatrzymało wozy, a w nich zapasy. W Wielki Czwartek żołnierze wstają głodni. Nie wiadomo kiedy nadciągną tabory z żywnością i furazem. Ludzie to rozumieją, pójdą dalej — w to Smigły nie wątpi — ale konie? Decyduje więc czekać do następnego dnia. Tym bardziej, że nie ma rozkazu od komendanta.

Do Piłsudskiego nadchodzi wieczorem wiadomość od Smigłego — o złej drodze, o stanie jego piechoty, o ugrzęzłych taborach, o głodnych koniach i żołnierzach, o tym, że wstrzymuje swój marsz. Na szczęście Rosjanie sami opuszczają Lidę. Wieści o wzięciu miasta docierają do Smigłego wraz z żywnością dla ludzi i owsem dla koni. Wyrusza o świcie, przebywa trzydzieści pięć kilometrów. Ale Belina

Dzięki Ci, Matko, za Wilno

ze swymi kawalerzystami wyszorował się daleko naprzód. Chce 19 kwietnia, w Wielką Sobotę, uderzyć na Wilno. Lecz powinien zaczekać na piechotę Smigłego, bo tamten jest aż pięćdziesiąt kilometrów w tyle za nim.

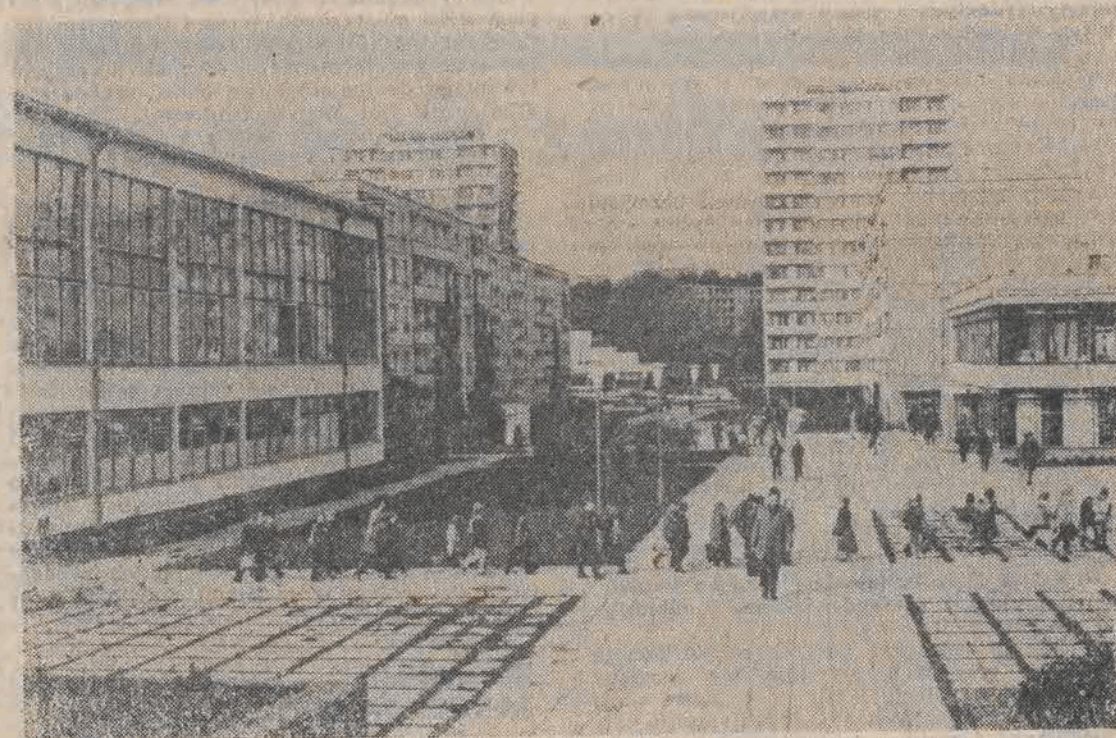
Każdy inny na miejscu Beliny tak by zrobił, nie chcąc ryzykować. Każdy inny, ale nie on — zadzierzysł, z fantazją, z ułańską determinacją. Decyduje się na atak.

Trzeba zaskoczyć nieprzyjaciela, wówczas mała siła urosnie do wielkiej.

W Wielką Sobotę przed świtem, jeszcze w ciemności wyruszają kawalerzyści polnymi drogami. W obejściach szcękają psy. Nad domami snują się dymy. Na ścieżkach widać odświeżone ubrane ludzi. Nie dowierzają własnym oczom.

— Na Boga! Toż to nasi. Nasi! — słychać poruszenie.

— Daleko do Wilna? — pytają beliniacy.



— Niedaleko. Ot zaraz, za górka.

Nikt z oficerów jeszcze w Wilnie nie był, a tylko niewielu ze szwoleżerów i ulanów je znało. Zatrzymują się za wzgórzem. Przed nimi dolina i miasto błyskające małymi punkcikami latarni. Podchodzą jeden za drugim szwadrony i patrzą przez chwilę na gród, zaciękanie. Nie trwa to długo. Padać słowa rozkazów. Powoli idą w dół. Rodowici wilmianie wskazują im koszarę zajęte przez czerwonoarmistów. Pograżonych we śnie zaskakuja hukami wystrzałów, tętentem rozpadających koni.

Miasto budzi się nagle. Z niedowierzaniem otwierają się okna.

— Polacy w mieście?!

W koszarach gra na alarm spóźniony trębacz. Belina prowadzi część swych oddziałów na dworzec kolejowy. To decydujący punkt strategiczny. Stąd można wysłać pociąg po piechotę Smigłego. Jednakże Belina przeliczył się w swych rachubach, za bardzo zaufał zaskoczeniu. Bój ze zmierzniem szczęściem trwa przez cały dzień. Czerwonoarmistcy, choć w pierwszej chwili rzeczywiście poczęli się cofać, szybko odzyskują kontęans. Orientują się, że zostali zaatakowani przez niewielkie sily kawalerii. Stawiają zdecydowany opór. Przychodzi im to tym łatwiej, że mają kilkakrotnie przewagę liczebną. Mimo pomocy kilkuset polskich ochotników, sytuacja staje się ciężka.

Pułkownik Belina jest w rozterce. Nie wytrzyma wóich dni w Wilnie, a Smigłego wcześniej trudno się spodziewać. Co będzie, jeśli on nie pomoże? Smigły tymczasem idzie naprzód. Powoli, bo marszem pieszym, jednak zbliża się do nich. Te chwile głęboko zapadną w pamięć generała Rydy, a tak głęboko, że chwyci za pióro i opíše:

„Jadę na czele maszerującej kolumny.

Na Wilno.

Nad nami błękitne, wiosenne niebo, po którym szybko przelatują białe okrągłe obłoki.

Szeroki trakt, obramiony z dwóch stron wysokimi brzoźami. Przebyliśmy już najgorszą część drogi, gdzie działał grzęzły, a tabory ut-

knęły na dobre. Teraz mamy piaszczysty, wilgotny na twardo ubity szlak. Brzozy rzucają nam na twarz błękitne cienie i u stóp odliczają drzącymi smugami metry przemierzonej drogi. To ostatni marsz, który doprowadzi nas do Wilna. Tam już się bije nasza kawaleria.

Nie czują nie przespanej nocy. Spędziłem ją równie we dworcu. Ale tym razem była to kwatera Naczelnego Wodza. Pod wieczór wysiadł z wagonu i mimo dość znacznej odległości nie chciał jechać. Wolął iść potykając się na korzeniach wśród wrzosowisk i jałowców. Chciał mieć bezpośredni kontakt z ziemią, za którą tak tęsknił. Właśnie chciał potrącić nogą szeleszczące wrzozy, zawadzać płaszczem o gałęzie jałowców.

Na kwaterze gwar, śmiechy, uroczyste miny gospodarzy, swojsko i nieswojsko, atmosfera wojny i atmosfery świętowania. Gospodarze nie wiedzą, czy mają zaimprovizować jakąś nieznaną im ceremonialną formę przebywania w obecności Naczelnika Państwa, czy mają witać jak kogoś ze swych bliźszych ziomków. Jakże wszystko ułożyło się samo przez się.

Ostatnie rozkazy zostały wydane pół godziny. Oficerowie Naczelnego Wodza i moi pokładli się pokotem na podłodze na kilka godzin snu. Naczelnik Wódz nie śpi. Patrzy w noc gwiaździstą, mówi o Litwie.

Zdaje mi się, że niedługo spalem. Wymarsz nastąpił o uczesnym świcie. Maszerujący długą kolumną wśród brzoź, do których przylatują dzono pod nacietymi otworami małe dzbanuszeki. Wpływa w nie sok brzożowy, sok wiosny. Jakiś żołnierz wybiega z kolumny, chwytając

dzbanuszek napelniony przezroczystym płynem i podaje mi go. Nie gromię piechurą za występki przeciw dyscyplinie marszu — młody rekut, wyrostek wiejski, a nie żołnierz, ale podarku nie przyjmuję.

W Wilnie się biją. A my? Wszyscy na północ. pędzimy niepojętą, instynktowną mocą. Na północ, do Wilna.

I chociaż wiatr dawno rozwiał proch zbit-walych koni żołnierzy, którzy wtedy szli w roku 1812, którzy grali barwami jak stada giliów, sie-wek i szpaków, stada jasnych kit i chorągiewek, to jednak my, żołnierze polscy w roku 1919 stąpając po tym trakcie, mamy wrażenie, że stopa nasza odnajduje w piasku odcisk stopy tamtych. Długość naszego kroku nie jest mniejsza. Byle raz trafić w ślad, to już póź-niej pójdzie dobrze. Te brzozy widziały ich, a teraz patrzą na nas. Wiem dobrze: dla tamtych

szczę Polska nie zginęła — po raz pierwszy w historii na tym dworcu. General Smigły składa raport. Mówi nie tylko o zwycięstwie, lecz także o prezencie, jaki na Wielkanoc wojsko darowuje Wodzowi Naczelnemu. Oto jego umiłowane Wilno z Ostrą Bramą, wzgórzem Gedymina, katedrą z figurami świętych na tympanonie. Niewiele słychać wśród podniecenia zebranych. Lamią się szyki kompanii honorowej. Tłum szczerze zapelnia peron.

Przed dworcem czekają osiodlane konie. Na czele jedzie komendant na swej kasztance, za nim generał Smigły, pułkownik Belina, szwoleżerowie, ulani. Na ulicach wiatujący mieszkańcy. Wolają, machają rękoma, śmieją się, płaczą, rzucają kwiaty jadącym. Następnego dnia, 22 kwietnia, Piłsudski wydał odezwę do ludności Ziemi Wileńskiej, tytułując ją do „Mieszkańców Wielkiego Księstwa Litewskiego”. Wywołało to wiele krytycznych uwag ludzi nie rozumiejących, że świadczy to o uszanowaniu odrębności i wyraża tendencje federacyjne. Jednakże sam tekst został przyjęty dobrze, gdyż mówił o tym, że od stu kilkudziesięciu lat kraj ten nie zna swobody, że stan ten narazie musi być zmieniony i „na tej ziemi, jakby przez Boga zapomnianej, musi zapanaować swoboda. Wojsko Polskie niesie wam wszystkim wolność i swobodę. Chce dać wam możność rozwiązania spraw wewnętrznych, narodowościowych i wyznaniowych tak, jak sami sobie tego życzyć będziecie...”. Dlatego Piłsudski nie ustanawia w Wilnie zarządu wojskowego, lecz cywilny. Dlatego wybory odbędą się na podstawie głosowania tajnego, powszechnego, bezpośredniego, bez różnicy pici.

W dniu 22 lub 23 kwietnia władze miejskie z Osmołowskim na czele wydają przyjęcie. Zabierając na nim głos Piłsudski powiedział:

„Kocham żołnierza i kocham wojnę ze wszystkimi jej okropnościami. Żołnierz jest potęgą, ale wszystkiego dać on nie może. Co zaczął żołnierz, tego dokończyć musi cywil”.

W dniu 23 kwietnia odbyło się uroczyste nabożeństwo dziękczynne w katedrze, a następnie na Prospekcie Świętojeńskim przemianowanym już na aleję Mickiewicza. Piłsudski przyjął deklację wojskową.

W dniu 27 kwietnia złożył hołd obrazowi Matki Boskiej w Ostrzej Bramie, gdzie z balkonu przemawiał książę Oleszczuk. Chwilę tę tak wspomina stojący wśród oficerów Tadeusz Święcki:

— Z dołu odpowiadał mi tylko wielki szloch tłumu kłęzącego na ulicy. Spojrzałem na komendanta. Stał twarzą zwrócony do obrazu, oparty na szablę, nasroszony, lecz spod ściągniętych brwi ciężka łza spływała mu na wąsy. Smigły znajdował się zaraz za nim. Twarz mu drgała, a łzy ciekły po niej strumieniem. Belina beczał po prostu jak smarkacz.

Jednak obowiązki wzywały Piłsudskiego do Warszawy. Mówi do Smigłego:

— Czas na mnie. Muszę wracać do stolicy. Zostawiam najdroższe moje miasto pod waszą opieką. Macie nad nim czuwać tak, jak bym to ja sam robił.

Zanim wyjedzie, wyda rozkaz do wojska:

— „Żołnierze! W niespełna dwa tygodnie męstwem swym i działalnością zmieniście stosunki na wschodzie Polski. W niespełna dwa tygodnie przetrzymaliśmy zagrażający nam front o dobrych kilkadziesiąt kilometrów zdobywając przy tym niezwykle ważne punkty wojskowe, jak: Lidę, Baranowicze i Mickiewiczowskie, Nowogródek, a przede wszystkim oswobodzając stolicę kraju — Wilno.

Wrog pobity pierzcha zdeorganizowany na wszystkie strony.

W imieniu Ojczyzny, która Was na obronę swych Kresów wysłała, dziękuję wam za waszą pracę, za wasze żołnierskie trudy. Kampania wileńska, przez was wygrana, pozostanie na zawsze jedną najpiękniejszych stronicej naszej historii i każdy z was może być dumny, że w niej brał udział. Szczególnie dziękuję generałowi Szeptyckiemu, który swą energią i uporczywą wolą doprowadził do zajęcia Baranowicz i Nowogródka. Generałowi Rydzowi-Smigłemu, który pomimo wielkich przeszkód technicznych doprowadził na czas dywizję do Wilna i ostatecznie wygnał wroga ze stolicy.

Przed wszystkim jednak podnieście muszę działanie oddziału jazdy pod dowództwem pułkownika Beliny-Prażmowskiego”.

P o odejściu Piłsudskiego przyjdzie Smigłemu walczyć o utrzymanie Wilna i okolicznych miast. Nieprzyjacieli wszak jest jeszcze o trzydzieści kilometrów od Ostrzej Bramy, w Podrozdziu, w Oszmianie, w Nowej Wilejce. Zagraża połączeniu z Lidą. Maszeruje od strony Mejszagoty na Wilno. Zajmuje niemal na rzut kamieniem leżące Fabjaniszki. Bije się zaciekle całą dywizją legionów. Jej bataliony Smigły przerzuca to tu, to tam. Wreszcie Podbrodzie przechodzi w ręce polskie. Dopiero gdy oczyszczają teren aż po Soly, Wilno jest bezpieczne.

General pisze list do Piłsudskiego: „Sądzę, że zrobiłem, co mogłem zrobić. Plan nieprzyjaciela był dobry, ale wykonanie zawiodło. Atak z północy spóźnił się o jeden dzień. Różnice w czasie pozwoliły mi rozbić po jednym z przeciwników. Szybko się uporałem z każdym i przerzuciłem sily na następny. To był mój ratunek.

Nie mogłem jednak dobrze wykorzystać zwycięstwa, nie starczyło czasu, musiałem zaraz swe sily wycofać, żeby walczyć gdzie indziej.

Żołnierze zmęczili się ogromnie marszami i bitwami...”

Wilno zostało obronione. Na pamiątkę tego zwycięstwa Smigły ustanowił krzyż prosty, jakby nawiązujący do kształtu Virtuti Militari, tylko nieco pogrubiony, bez charakterystycznego kółka pośrodku. Widnieje na nim orzeł w koronie. Po obu stronach monogram komendanta J.P. Pod spodem napis: Wilno-Wielkanoc, a na ramionach data 1919 rok. Piłsudski także zostawił pamiątkę po tym zwycięstwie. Jest nią votum w kształcie serca zawieszone obok obrazu Matki Boskiej Ostrobramskiej. A na nim wygrawerowany napis: „Dzięki Ci, Matko, za Wilno”.

CEZARY LEŻEŃSKI

Prezentowany tekst jest fragmentem książki pt. „Kwatera 139”. Jest to opowieść biograficzna o Edwardzie Rydzu-Smigłym, która ukaże się nakładem Wydawnictwa Lubelskiego.

Poznałem faceta, który miał szczęście mieszkać w dzielnicy Uccle, najbogatszej dzielnicy Brukseli. Był to Polak, nazwiskiem Dukacik, z zawodu inżynier. Na oko sądzić tak pod czterdziestkę, ale bardzo poważny. Poważny i dobry. Kultura, spokojny głos, delikatność obęścia, słowem — prawdziwy dżentelmen. Mało dziś takich, więc przysięgnąłem do Dukacika, ale nie tylko z tych powodów.

Miał wspaniały dom, z ogromnym placem, spadającym w dół, otoczonym srebrnymi świerkami. Postanowił zrobić tak, żeby były obramowane gładzi tarasy, schody, a niżej basen, ale nie był taki, tylko prawdziwy, na dwadzieścia pięć metrów. Słowem, należało wyrównać teren, zrobić murki z kamienia, a z boku, pod biegnącą stromo drogą, ustawić mur, mający w najwyższym miejscu około ośmiu metrów. Dukacik życzył sobie, żeby ten mur zrobiony był z potężnych, ozdobnych głazów, ułożonych na sobie w sposób „estetyczny”, jak pisał.

Roboty masa, a jak na razie pracował u niego tylko Muszkatulowicz. Mimo najszerszych chęci zarobienia wszystkich możliwych z tego źródła pieniędzy, Muszkatulowicz zdał sobie sprawę, że sam nie da rady wykonać całej pracy szybciej niż za trzy lata. Zgłosił się więc do mnie i poprosił o współpracę. Dosłownie zapytał:

— Czy nie zechciałbyś podjąć ze mną współpracę?

A chodziło o kopanie rowów i kręcenie betonu w mikserze. Oczywiście zgodziłem się na współpracę. Kopanie ziemi nie pierwszą dla mnie, bo odpekałem prawie dwa lata w kopalni „Wanda-Lech” i w kopalni „Wicorek”, na szybach „Wilson” i „Poniatowski”, jako ładowacz. Ale to było dawno, człek zdążył odwyknąć, więc nie byłam znowu tak za bardzo pewny siebie. Ale Dukacik płacił wspaniale, tysiąc franków belgijskich za dzień, na owe czasy była to suma pierwszorzędna.

Dukacik pracował w jakiejś znakomitej firmie chemicznej, gdzie zajmował kierownicze stanowisko. Firma ta miała ogromną zaletę: znajdowała się w mieście, odległym od Brukseli o prawie sto kilometrów, już nie pamiętam gdzie. Dość, że Dukacik wyjeżdżał do pracy wcześniej, i kiedy zjawialiśmy się o ósmej, już go dawno nie było. Zamiast o ósmej przyjeżdżaliśmy o dziewiątej, po tygodniu o dziesiątej, a potem o której nam się podobało.

Z początku myślałem, że dom zostaje pusty. Nie mieliśmy interesu, żeby wchodzić do środka. Jednak okazało się, że jest tam służąca, Francuzka przeżywająca klimatyzację, dziwna kobieta, która zaczęła nas zapraszać na drugie śniadanie. Od ogrodu było wejście do pakameru w której stały jakieś parzące, stół i rozpadająca się kanapa. Na stole czekały na nas dwa kubki mleka, dwie szynki chleba z szynką i dwa banany.

Muszkatulowicz porozumiewał się z kobietą bez problemów, jego francuski stawał się z dnia na dzień lepszy, w końcu przyznał, że w dzieciństwie mówił i czytał w tym języku, ale potem na wiele lat odszedł od niego i zapomniał. W każdym razie mogłem mu tylko zazdrościć.

Służąca, o imieniu Suzanne, była dziwna dlatego, że na czole miała dwie krwiste pręgi, rozdrapania głębokie, ze świeżo zaschniętą krwią. Kiedy ją zobaczyłem po raz pierwszy, nie dziwiło mnie to, każdy się może skaleczyć. Ale na drugi dzień krew wydawała się świeża. Na trzeci dzień już nie miałem wątpliwości, ona sobie co dzień rano rozdrapała to samo miejsce.

— Antek, po co ona to robi? — zapytałem kolegę.

— Nie mam pojęcia. Boję się zapytać. Może się obrazić, wpadnie we wściekłość, to wariatka. Myślę, że na te religijne.

Traktowała nas nieco wyniosło, ale bez ostentacji. Czasami żartowaliśmy, że podsypane nam truciźny do mleka. Ale godziłmi się na ryzyko, pal diabli.

Obsługiwałem betoniarke, wylewałem beton na żelazną tarczkę i podwoziłem do Antka, który jako plastyk, wziął na siebie „stronę estetyczną” układania kamieni w murze. Kamienie były już zwiezione, wielkie, o różnych kształtach, o kolorach od czerni po lśniącą czerwień. Trzeba było ostukać je młotem, wyrównać, żeby dobrze się wpasowały w te, które już leżały. Czasami Antek z Dukacikiem stali pod murem godzinę, zastanawiając się, czy ostatniego rzędu nie daloby się jeszcze przebudować, żeby efekt kolorystyczny był lepszy. I nierzadko trzeba było odukać parę głazów, już zaschniętych w murze, żeby w razie czego innych przestawić. Mur miał metr szerokości, więc łatwo sobie wyobrazić, jak wielkie były te głazy, skoro rzadko kiedy przypadły dla nas szerokości.

Czasami zabralo nam cały dzień, żeby doposażyć jeden głaz. A trzeba było jednocześnie kopać basen. Zrozumieliśmy, że trzeba dokopować kogoś do naszej spółki.

Oczywiście przyszedł mi do głowy Jasiu Duch. Pytam:

— Janek, potrzebujesz forsy?

— A co, masz za dużo?

— Robota jest.

Ucieszył się, ponieważ też chciał mieć swoje pieniądze, tak jak Georgia. Powiedziałem mu, co za robota, i ile płać. Zgodził się. Powiedziałem Dukacikowi, kiedy wrócił z pracy, że od jutra będzie z nami trzeci, poeta. Dukacik ucieszył się, jak dziecko.

— To wspaniale! Trés formidable! Prawdziwy?

— Jak to?

— No, taki, co drukuje?

— Oczywiście, panie Franciszku. Sporo książek wydał.

— Znakomicie. On z panem Antkiem zrobił z tego muru prawdziwe dzieło sztuki!

Następnego dnia spotkaliśmy się na rogu Chaussee de Waterloo i rue Verhaegen i w trójkę pojechaliśmy do pracy.

— Słuchajcie — powiedział Duch, kiedy obejrzał dom i posiadłość — jak się ten wasz Dukacik tego wszystkiego dorobił? Ile on już tu jest?

— Tutaj skończył studia — wyjaśnił Muszkatulowicz. — On jest bardziej Belgiem niż Polakiem.

— Na szczęście — mruknął Duch. — A żonę ma?

— Chyba ma, bo po co mu był taki duży dom. Ale dzieci nie widać.

— A na co mu ta służąca, kiedy jest sam?

— zapytał Duch podając drugiego śniadania, kiedy już zobaczył pokrąwione czoło Suzanne.

— Może ją używa — wzruszył ramionami Antek.

— Panowie, w tym jest coś podejrzanego — upierał się Duch. — Niech na ją tylko zobaczyć tego pracodawcę.

Ja robiłem beton, on dowodził do Antka, a ten układał mur. Dzień minął szybko. Wrócił z pracy Dukacik swoim białym „Peugeotem”. Przywitał się serdecznie z Duchem i polubił się obaj natychmiast. Było coś w twarzy i zachowaniu Dukacika, co człowieka wrażliwego natychmiast rozbrajało. Od pierwszej chwili wydawało się, że ten człowiek nie jest zdolny do wyrzucania nikomu krzywdy.

Nie zrobiliśmy wiele, a mimo to Dukacik spoglądał na dwa nowe kamienie z zachwytem.

— Ach, jak to wspaniale wygląda! Tylko mam jedną prośbę, panowie: między tymi dwoma kamieniami zaplanowałem sobie szparę, takcie wgłębienie... Zależy mi na tym, żeby kilka takich wgłębień rozmieścić strategicznie na tej wysokości wzduż całego muru.

— Staralem się, żeby mur był w miarę równy — tłumaczył się niepewnie Antek. — Zaczynałem przecieć fakturę...

— Ależ tak, panie Antku, nie mam panu nic do zarzucenia. Chodzi o to, żeby płaki miały gdzie mieścić. Jak im zostawimy wgłębienia, to sobie w nich zbudują gniazda.

— Gniazda — powiedział Antek bezmyślnie.

— Gniazda — powtórzył Dukacik z zapalem.

— Będzie to bardzo piękne i użyteczne za jednym razem — pisałczyna Dukacika w pewnych momentach ślalała.

Zanim przybędą ptaki

— Zarazem — powiedział Duch. — A jak duże mają być te otwory?

— Różne. Większe i mniejsze. Zostawmy ptakom wybór mieszkania. Już one się dopasują. Dlatego bardzo panów proszę: usunąć dwa górne rzędy kamieni i pokombinujcie, żeby udało się wygospodarować między nimi miejsce na gniazda. To tylko kwestia ułożenia, cynba że wolicie odukać, ale nie, tego nie radzę, bo można kamień uszkodzić, może pęknąć na pół...

— Pęknie... — mamrotał Antek bezmyślnie.

Patrzyliśmy na siebie tak, jak byśmy się nagłe we trzech znaleźli w fantastycznym śnie. Przysniliśmy się sobie, razem z Dukacikiem, głazami i szparkami dla ptaków.

— Ja rozumiem, jakie to uczucie, panowie, kiedy trzeba psuć, co się zrobiło — uśmiechnął się przepraszaюще Dukacik. Siegnął po portfel.

— Będę wam płacił w tym tygodniu podwójnie. To jest praca koncepcyjna, umysłowa teraz. Proszę...

Z pliku banknotów w portfelu wyjął nowe, sześćdziesiąt-miło tysiące i wręczył każdemu z nas po dwa.

— Ależ, panie inżynierze... — próbował protestować Muszkatulowicz, ale szybko schował forsy.

To rozumiem! Oto ideał pracodawcy. Robota ma być wykonana tak, jak należy, ale nie przywiązuje wagi do czasu ani pieniędzy. Powiedział wyraźnie:

— Bez pośpiechu, spokojnie, z zastanowieniem. Jeżeli koncepcja nie przyjdzie dziś, to przyjdzie jutro. Najważniejsze, że wiecie, o co chodzi.

Wiedzieliśmy. Na drugi dzień po zjedzeniu drugiego śniadania i omówieniu swiętych zadrażeń na czole Suzanne, poszliśmy do sklepu, odległego o kilometr. Kupiliśmy dwa litry „vin rouge ordinaire”, czyli, jak to tłumaczył Duch, ordynarnego czerwonego wina, francuskiego patyka. Do tego długie bagietki i sztangę salami. Z tym wszystkim usiedliśmy pod murem i poczuliliśmy się jak prawdziwi belgijscy robotnicy. Oni zawsze pili wino w przerwach, taki zwyczaj.

Po półgodzinie zaczęliśmy się dziwić belgijskim i francuskim robotnikom. Jak oni mogli to znieść, każdego dnia? Wino było okropne, cierpkie, po półlitrze byłam prawie pijany. Najlepsze ze wszystkiego było salami, ale po napełnieniu brzucha ani mi się śniło o powrocie do betoniarke. Chłopaکی gadał, a ja, oparty o mur, zamknąłem oczy. Byłbym zdrzemnął, gdyby nie nagle wrażenie, że ktoś mnie obserwuje. Byłem zwrócony twarzą do domu. Otworzyłem oczy i w szeroki, zacieniony markizą oknie na piętrze zobaczyłem sylwetkę kobiety. Nie była to sylwetka Suzanne.

Wydawało mi się, że kobieta siedzi w fotelu, że ma dużą, srebrną fryzurę, przypominającą perukę. Ale mogło to być tylko przywidzenie, cyprysy wysokie i smukłe rzuciły cień na szeroką, przezierną szybę...

— Chłopaکی — powiedziałem, nie ruszając się — ktoś na nas patrzy, lepiej weźmy się za robotę.

— Kto może patrzeć? — zlekceważył mnie Antek. — Tylko Suzanne jest w domu. A z nią nie potrzebujemy się liczyć.

I siedzieliśmy jeszcze kilka godzin. Dopiero przed samym powrotem Dukacika zaczęliśmy niemiarko grzebać się kolo kamieni.

Inżynier wrócił. Nie przyszedł do nas, jak to zwykle czynił, tylko wszedł do domu, jakby przez kogoś przywołany. Po kilkunastu minutach pojawił się w ogrodzie, bez uśmiechu, przygnębiony. Powitał nas grzecznie, bez słowa wyciągnął portfel i wypłacił po dwa tysiące.

— Mamy już pomysł, panie inżynierze — po-

wiedział Muszkatulowicz. — Dobraliśmy już kamienie, ustaliliśmy kolejność...

Ale Dukacik nie słuchał. Obojętnym spojrzeniem obrzucił mur, mruknął coś zdawkowego i odszedł.

— Nigdy taki nie był — zastanowił się Antek. — Może ma w pracy kłopoty.

— Znaczą, ta fucha może nam się skończyć — zmartwił się Duch.

Podobało mu się mieć dwa patole każdego dnia, a były to słoneczne, rzęskie dni, rzadko takie zdarzają się w Brukseli. Pogoda od dawna była już znakomita i wydawało się, że się nigdy nie zmieni.

Na drugi dzień przyjechałem do pracy sam, ponieważ nie mogłem wstać wcześniej. Było około południa. Chłopaکی pod murem pili ordynarną. Usiadłem, ale nie chciałem pić. Przymknąłem oczy i udawałem, że drzemię. Patrzyłem w okno, widziałem mierzchną sylwetkę siedzącej w fotelu kobiety.

Wstałem, wziąłem łopate — właściwie powinno się powiedzieć „szpader”, jakże mógłbym zapomnieć o tym ja, który przecież kopalem tożdzkie ulice w brzygadzie kopaczy z elektrowni: zgierska, Niska, Orla, Niciarniana, zrywałem piły i dokopywałem się do mufy wraz z pięcioma innymi strażnikami, było to bodaj w 1932 roku, aż któregoś dnia posłano nas na kopanie tuż przed domem dziewczyny, w której się bujałem, i zobaczyłem ją rano wychodzącą z garzkiem po mleko, wtedy jeszcze po mleko chodziło się z własnym garzkiem, a po wodkę z własną butelką na zamiane. W rowie było błoto, padłem i leżałem, dopóki nie przeszła, to samo gdy wracała ze spółdzielni, i nie mogłem dobrze pracować, bo za jakiś czas wyszła do szkoły, i nie wiedziałem, kiedy wróci, cały czas miałem się na baczności, żeby mnie nie zobaczyła, nie przeżyłbym tego wstydu. Brygadista obserwował mnie od dłuższego czasu, pytał co mi jest, czego tak kulę się w wykopie. Powiedziałem, że brzuch mnie boli, i wiedziałem, że nie mogę wykonywać tej pracy, bo nie

w pracy. Więc ta sylwetka za oknem to nie była zjawia. To dla niej budował ten mur, dla niej te ptaki...

— Panie inżynierze, mam wrażenie, że o wiele taniej by to wszystko wypadło, gdyby pan najął fachowców. Czas też się liczy, poza tym my nie pracujemy tak, jak specjaliści, pan rozumie, siłą rzeczy...

— Wiem, panie Andrzeju. Byli tu fachowcy, znam sumę, za którą miałbym wszystko zrobione w ciągu paru tygodni. Nie jest to suma, która przekracza moje możliwości, pan rozumie...

Domyslałem się, że ten człowiek nie musi martwić się o pieniądze, dom był rezydencją, której nie powstydziłby się dolarowy milioner. Ale dziwiło mnie, dlaczego Dukacik pracuje, skoro ma tyle pieniędzy. Od Antka wiedziałem, że fabryka, do której jeździ codziennie, nie jest jego własnością. Postanowiłem podrażnić go trochę.

— Można by z tej posiadłości zrobić absolutne чудо, ale jak pan wie, pańskie oko kopie tuczy, wymagałoby to pana obecności tutaj przez cały dzień.

Pokręcił w zatroskanu głową.

— Niestety, nie mogę przerwać pracy. Robimy coś, wie pan, według mojego projektu, muszę tam być, zresztą praca to moje życie. Daje mi poczucie własnej wartości.

— Rozumiem.

I na tym się skończyło, tego dnia przynajmniej.

Kopałem basen. Moje dlonie, oczywiście, reagowały tak samo, jak wtedy, kiedy miałem siedemnaście lat, i jak wtedy, kiedy miałem lat dziewiętnaście i dwadzieścia, w kopalni. Pęcherze, pękane, woda, piekący ból, stosowanie sprawdzonych metod leczenia, twarzenie skóry w ciągu dwóch tygodni, kompletne zaniknięcie bólu mięśni. Pracowałem tak, jak by to było coś, co powinienem robić zawsze, można powiedzieć: pisanie łopaty.

Wiem, że nie robiłbym tego, gdyby nie świadomość, że jestem obserwowany. Wciąż trwała znakomita pogoda, ale zdarzały się bardzo chłodne dni — dla mnie to nie miało znaczenia, zawsze mi było gorąco, rozbrałem się do pasa, albo do spodenek, tylko buty robocze ze stalowym czubem zostawały zawsze na swoim miejscu, na stopach — Dukacik kupił mi te buty i podarował, nie odtrącając wydatku od moich należności. Płacił bez zmian dwa tysiące dziennie.

Zjawia za sobą patrzyła na mnie godzinami, prawie bez przerwy. Nie patrzyła w stronę okna czulem jej wzrok na sobie i przenikała mnie energia, jakby elektryczność, ładująca mój akumulator bez użycia przewodów. Było to bardzo fizyczne doświadczenie, chwilami — a było to długie chwile — czulem, że moje ciało nie jest moim ciałem, tylko czymś, i ten obcy ktoś pracuje, a ja tylko dysponuję jego siłą, powoduję nią tak, jak operator wysokiego dźwigu, z dystansu, spokojnie, obojętnie.

Pewnego dnia ani Duch, ani Antek Muszkatulowicz nie zjawili się w pracy. Mżyło, szarost niskiego nieba, taka szarość wsiadła w Holandii i Belgii jesienią. Zaczęłem kopać punktualnie o ósmej rano, pracowałem wolniej niż zwykle, bo w dole było ślisko, ziemia cięższa — ale już miałem niezłą wprawę, mżawka nie przeszkadzała mi wcale.

Dukacik wrócił wcześniej niż zwykle, zrobił mi wymówkę, że pracuję podczas mżawki, rozszedł do pokoju, gdzie zwykle jedliśmy drugie śniadanie, by się przebrać. Kiedy już byłem nieco obmyty i w dzinsach, Dukacik wszedł i podał mi banknot.

— Do jutra — powiedział i szybko wyszedł.

Spojrzałem na banknot i stwierdziłem, że jest to pięć tysięcy. „Pomylił się”, pomyślałem, „a może chce sprawdzić moją uczciwość”. Wszedłem z nim do wnętrza domu, rozejrzałem się w korytarzu i ruszyłem po schodach na górę. Słyszałem głos Dukacika, mówił coś po francusku, odpowiedział mu głos kobiety, podobny do głosu Suzanne. Ośmielony pchnąłem drzwi na górę i znalazłem się w salonie z dużym oknem, które dla mnie przez wszystkie te dni patrzyło. Dukacik stał przy fotelu na kółkach, na którym siedziała kobieta o srebrnych włosach. Oboje spojrzeli na mnie, i zamilkli.

— Pardon — powiedziałem — przepraszam. Pan się pomylił, panie inżynierze...

Mówiąc to podchodziłem, trzymając banknot w wyciągniętej ręce.

— Nie, nie pomyliłem się — rzekł szybko.

— To dla pana, za dzisiejszy dzień. I jutro, jeśli będzie padało, też pan tyle dostanie.

— Ależ...

— Niech pan zrozumie — mówił szybko, jakby jak najszybciej chciał mieć to za sobą — pan powinien mieć bodziec, żeby tu przychodzić. W przeciwnym razie...

Kobieta powiedziała coś nagle po francusku, nie zrozumiałem ani słowa.

— Powiada — przetłumaczył Dukacik — że pan powinien tu być, dokąd nie przybędą ptaki. Jak najdłużej być. To piękne, że pan tak mocno pracuje, ale...

Spojrzał w dół na kobietę, która nie spuszczała ze mnie wzroku, jej oczy błyszczały czarno w szarości pokoju.

— To jej sprawia przyjemność... Rozumie pan? Jak pogodzić wyjądną pracę z jak najwolniejszą? Niech pan o tym pomyśli.

Kobieta znowu powiedziała coś, i Dukacik powtórzył:

— Dokąd nie przybędą ptaki, a potem zobaczmy.

C.D.N.



można wykonywać pracy, której człowiek się wstydił. Miałem siedemnaście lat i rozumiałem, że poszedłem w złą stronę, że kopie dla siebie grób. Wstydzilem się umierać w tak miodym wieku, przez własną głupotę — ale teraz, w Brukseli, w bogatej dzielnicy Uccle, zastydziłem się czegoś innego: tego mianowicie, że nie wykonuję pracy, za którą dostaję pieniądze, pracy, za którą ktoś płaci, licząc na moją uczciwość. Wziąłem więc szpader i poszedłem do miejsca, które oznaczało początek wykopy na basen — wszystko było już dokładnie wylądzone i oznakowane — i zacząłem kopać z energią bliską furii, jakbym miał znowu siedemnaście lat i chciał przed kimś popisać się. Kopalem i zrzuciłem z siebie ubranie, zostałem wkrótce w spodenkach, cały spocyny, ale szczęśliwy, że nie zapomniałem zasad kopania: na rozluźnionych mięśniach, bez napięcia, bez sztywności, lekko, miękko, jakby to było robienie uników na ringu, jakby to był jakiś szczególnie, kolyhełowy taniec.

Chłopaکی patrzyli na mnie w zdumieniu pełnym kontemplacji — ani w głowie im było stanąć obok mnie i iść szerszym frontem w wykop. To była moja robota.

Cały czas pamiętałem, że ktoś mnie obserwuje, ta zjawia za przyściennym oknem, ale wcale mi to nie przeszkadzało. Pracowałem do zachodu słońca, aż wrócił Dukacik. Nie wiem, co w tym czasie zrobili Duch i Muszkatulowicz, nie patrzyłem w ich stronę. Dukacik zbliżył się do mnie, uśmiechnął i wypłacił dwa tysiące, mimo iż według umowy miał płacić podwójną stawkę za pracę przy robieniu gniazd.

— Bardzo dobrze, że pan się tym zajął, panie Andrzeju — powiedział. — Chciałbym mieć ten fundament jak najszybciej, ale uważam, że panowie bardziej nadajecie się do artystycznej pracy, ten mur, wie pan, to dla mnie najważniejsza sprawa, chcę, żeby był piękny.

— Racja — powiedziałem — bo widać go z okien, to będzie bardzo romantyczny widok...

— Właśnie — przytaknął z przejęciem — właśnie o widok mi chodzi.

Wiadomo, że nie dla niego, spędzał całe dni

„Festiwal Filmów Społeczno-Politycznych w Łodzi, to okazja do spojrzenia na różnorodne zjawiska otaczające nas rzeczywistość okiem kamery, widzącej ostrze i rejestrującej fakty niedostrzegalne w natłoku codzienności. Właśnie krótki film ma ogromne możliwości śledzenia zachodzących przemian. Szybkość realizacji umożliwia zatrzymanie w kadrze wydarzeń, do analizy których potrzebny jest często dystans czasu. Bę-

do filmów, to co dopiero mówić o publiczności. Myślę, że sąd obiegowy jest niesłuszny. Do oceny Festiwalu — zarówno naszego przedstawiciela jak i twórców, których dzieła uczestniczyli w konkursie oraz dziennikarzy akredytowanych — powróćmy. Spośród 63 filmów konkursowych, Jury X Festiwalu Filmów Społeczno-Politycznych, pod przewodnictwem red. Jerzego Peliza Grand Prix Fe-

X FFSP ZA NAMI

Obrazy z życia Polaków

dac dokumentację dzisiejszego życia Polaków, film ten może służyć poszukiwaniu odpowiedzi, na wcale niełatwe pytania o dzień jutrzejszy... — powiedział przewodniczący Komitetu Organizacyjnego X Festiwalu Filmów Społeczno-Politycznych, Grzegorz Misiewicz.

Do Komisji Selekcyjnej Festiwalu zgłoszono 162 filmy reprezentujące wytwórnie: Filmów Oświatowych, Dokumentalnych Filmów „Czołówka”, Filmów Animowanych, Miniatur Filmowych, Studio Filmów im. K. Trzaskowskiego, Se-Ma-For, Interpress, Telewizję Polską, Państwową Wyższą Szkołę Filmową, Telewizyjną i Teatralną w Łodzi, Muzeum Kinematografii oraz indywidualnie zgłoszono film Konrada Szolajskiego.

Czy było co oglądać? Jak obejrzań i zakwalifikowane do konkursu filmy mają się do rozpoznawanych opinii o braku filmów, o tematyce współczesnej? Otóż zdaniem przewodniczącego Komisji Selekcyjnej Festiwalu Władysława Wasilewskiego — przedkłada Wydziału Reżyserii PWSFTiV, było co oglądać, a reprezentowany zestaw filmów był najbardziej interesujący. Czy narzekania są uzasadnione? — Znał krytycy filmowi narzekają na filmy — mówi Władysław Wasilewski — a obrazów tych tak naprawdę nie oglądają. Często piszą recenzje, tylko na podstawie krótkich notek, które są w katalogach filmowych. Jeśli profesjonalści mają taki stosunek

stiwali przyznało jednogłośnie „Wyznaniu klakiera” Waldemara Karwata (TV). I nagrodę przyznano filmowi pt. „Niepokonani” w reż. Marka Drazewskiego (Studio Filmowe im. K. Trzaskowskiego). II nagrodę filmowi pt. „Sybiracy” w reż. Józefa Gebkiego (WFD); dwie III nagrody dla filmów: „Bar przy placu” w reż. Beaty Postulko (TV) i „Mieć miedź” w reż. Lesława Czołnowskiego (WFO). Nagrodę specjalną jury zdobył film Grzegorza Królikiewicza (WFO) pt. „Prekursor”. Nagrodę Komitetu ds. Radia i Telewizji zdobyła I i II część filmu pt. „Ignacy Daszyński” w reż. Mikołaja Haremskiego (WFO), nagrodę Głównego Zarządu Politycznego WP zdobył film pt. „Był kiedyś nie tylko świadek” w reż. Leszka Skrzydły (WFO), nagrodę redakcji „Ideologii i Polityki” zdobył film pt. „Medale zbrodniarzy” w reż. Barbary Sokolenskiej, „Zieloną Łódź” — nagrodę redakcji „Głosu Robotniczego” przyznano filmowi „Śmierć w masie” w reż. Wojciecha Wiktorowskiego; Zarząd Łódzki ZSMP swoją nagrodę przyznał filmowi Marka Biszczaka (PWSFTiV) pt. „Płamy”; Wydział Kultury i Sztuki UMe nagrodził film pt. „Kamieńy świat” w reż. Jadwigi Zajączek, zaś Muzeum Kinematografii — film Grzegorza Królikiewicza pt. „Prekursor”. Gratulujemy.

M. Z.



— Zatem debiut teatralny okazał się zwykłą formalnością. Jaka to była rola?

— Rola Leonce'a w dramacie G. Büchnera pt. „Leonce i Lena”. Myli się pani, nie była to tylko formalność... Praktyka dowiodła, że postać mego bohatera była bardzo trudna do zagrania i zupełnie pozbawiona jakichkolwiek wzorów inspirujących. Przecież już sam romantyzm niemiecki i jego filozoficzne podłoże, mało zrozumiałe dla polskiego widza, nastrożało wiele trudności w trakcie przygotowania spektaklu, a co dopiero mówić o roli, którą musiałem zagrać, nie mając doświadczenia scenicznego. Właściwie później nie miałem okazji zagrania bardziej znaczących postaci w teatrze prowadzonym przez Tadeusza Łomnickiego, w którym stawiałem pierwsze kroki na scenie.

— Sześciuście Maciej Englert zaproponował panu współpracę w teatrze „Współczesny”. Czy zmianę teatru zaowocowała uzyskaniem poważniejszych zadań aktorskich?

— Tak... Choć nie mogę tego po-

kić aktorami, którzy niestety po małym odroczu. Nie poprzestając na podglądaniu ich warsztatu, lecz staram się także uruchomić własną wizję bohatera, którego mam grać.

— Czy obserwowanie innych ludzi dostarcza panu gotowych rozwiązań budowania postaci?

— Uwielbiam obserwować innych oraz przebywać w różnych dziwnych miejscach, tam właśnie spotykam ludzi niecodziennych. Podglądanie ich, w rozmaitych sytuacjach szalenie mnie wzbogaca zawodowo. Na ile potrafisz z tego skorzystać, to już inna sprawa.

— Jakich scen nie lubi pan grać?

— Małokonfliktowych. Są przecież kłopoty. Zaczynam żyć wtedy, gdy wzmagają się napięcia.

— Czy zagrał pan już taką postać, która dała panu poczucie dojrzałości zawodowej?

— Trudno mi odpowiedzieć na pani pytanie. Na razie zyskuje poczucie świadomości stosowania pewnych środków, które bronią mnie przed powielaniem się. Zależy mi na tym, aby widzowi proponować

„Zaczynam żyć, gdy wzmagają się napięcia”

— rozmowa z GRZEGORZEM WONSEM, aktorem teatru „Współczesny” w Warszawie.

— Coraz częściej gości pan na ekranie telewizyjnym i kinowym. Ostatnio dał się pan zapamiętać w roli „Boya” w filmie fabularnym Tomasza Żygadły „Śmierć Johna L.” oraz „Józia” marzacego o przybyszach z innej planety w telewizyjnym spektaklu „Dacza”, tegoż samego reżysera, czy też w filmie „Cesarskie cięcie” debiutującego Stanisława Moskusa. Jakie były pana początki zawodowe?

— Dość typowe. Wprawdzie ukończyłem Liceum Plastyczne w Poznaniu, to jednak od wczesnego dzieciństwa marzyłem o aktorstwie. Marzenia spełniłem. Do Szkoły Teatralnej w Warszawie dostałem się w „pierwszym podejściu” i ukończyłem ją z wyróżnieniem w 1976 r. W czasie studiów opiekowali się mną doskonałi pedagodzy: Tadeusz Łomnicki, Aleksandra Ślaska, Ignacy Gogolewski, Kazimierz Rudzki...

— Wiedzieć jednoznacznie. Minęło parę lat, nauczyłem poruszać się na scenie, a w ślad za tym przyszyły poważniejsze zadania.

— Czym jest dla pana aktorstwo?

— Częścią mego życia. Absorbuję mnie bez reszty. Brakuje mi czasu na moje plastyczne zainteresowania. Życie rodzinne jest bardzo zaniedbane, lecz nie chcę wypaść z rytmu, trzeba podejmować wiele zadań.

— Czy inni w zawodzie to konkurencja?

— Naturalnie. To jest taki zawód. Najlepsi nadają ton tej grze. Wygrywa. Ja także pragnę być pierwszy w lidze.

— Czy kreując jakąś postać, czerpie pan z siebie, czy podgląda innych?

— Uważam, że możliwość obserwowania mistrzów jest niezwykle cenna nauką zawodu. Miałem szczęście pracować z naprawdę wiel-

ciagle nowe rozwiązania kreowania bohatera, którego mam grać.

— W jakich filmach w najbliższym czasie będzie można pana zobaczyć?

— Janusz Łęski powierzył mi jedną z trzech głównych ról — Jakuba Bromskiego — w piętnasto-odcinkowym serialu telewizyjnym pt. „Janka”. Następnie w „Rzecz kłamstwa” reż. Jana Łomnickiego, w „Snach królewskich” reż. Grzegorza Warchoła, w „Kancelerzu” reż. Ryszarda Bera.

— Dziękuję za rozmowę.

IWONA NIEMIEC-ADAMSKA

A może do kina?



Proponujemy dziś film Wojciecha Wójcika pt. „Trójkąt Bermudzki”. Właśnie w miniony poniedziałek w kinie „Bałtyk” w Łodzi odbyła się konferencja prasowa z udziałem twórców i realizatorów filmu, poprzedzająca premierę tego obrazu inspirowanego powieścią pt. „Wieczór przy Oak Line” dwóch polskich autorów, ukrywających się pod pseudonimem Jonathan Trench. Głównym motywem powieści i filmu jest odwieczny w literaturze kryminalnej temat zbrodni doskonałej. Trójkąt przyjął ludzi o ugruntowanej pozycji staje się obiektem niesprawiedliwej losu. Upięty rok, rodzi się szatański plan zemsty na tych za sprawą których, córka krakowskiego lekarza, próbowała popełnić samobójstwo, gdański mechanik nie otrzymał upragnionego spadku, a łódzki adwokat trafił do więzienia. Kto i dlaczego, nie jest dla widza tajemnicą od początku filmu, obowiązkowy suspens kryje się w metodzie, jaką posłużyli się lekarz, mechanik i adwokat...

SKAD BIERZE SIĘ IRACKI SCEPTYCYZM?

Różnie określano trwającą osiem lat wojnę iracko-irańską: najdłuższa wojna po II wojnie światowej, najbardziej krwawa wojna lokalna, „Zapomniana wojna bez końca” („Odgłosy” nr 43, 1986). Rozejm między stronami obowiązujący od 20 sierpnia 1988 r. stał się okazją do wielu refleksji prasowych.

Jedną z ważkich kwestii spornych toczących się rozmów pokojowych będzie określenie odpowiedzialności za wybuch wojny. Wiadomo powszechnie, że Iran oskarża Irak o rozpoczęcie wojny 22 września 1980 r. Natomiast stanowisko Iraku nie jest szeroko znane — pomimo opublikowania przez ten kraj kilkudziesięciu pozycji książkowych oraz wystosowania setek not dyplomatycznych do władz irańskich i ONZ, w których oskarża się Iran — jeszcze przed wybuchem wojny — o interwencję w wewnętrzne sprawy Iraku, podburzanie ludności do buntu oraz organizowanie akcji sabotażowych. Punktem kulminacyjnym w poczynaniach Iranu było bombardowanie kilku przygranicznych miejscowości irańskich 4 września 1980 r.

Oto zaledwie garść przykładów wyjaśniających to stanowisko Iraku i poczucie zagrożenia ze strony ekspansjonizmu irańskiego, sięgającego — historycznie rzecz ujmując — aż do starożytności, i przybierającego obecnie szaty religijne. Podane tu przykłady mieszczą się — rzecz jasna — w kategorii przyczyn bezpośrednich:

— Po zwycięstwie rewolucji irańskiej w kwietniu 1979 r. ówczesny prezydent Iraku — Ahmed Hassan Al-Bakr — wystosował depeszę gratulacyjną do przywódców irańskich. Depesza była poprawna pod względem protokołarnodiplomatycznym i odzwierciedlała pragnienia i nadzieje Iraku w związku z obaleniem Szacha, który przez długie lata był wroga nastawiony do Iraku i — wykorzystując bunt kurdyjski — uzyskał dla Iranu połowę rzeki Szatt al-Arab, zgodnie z porozumieniem algierskim z 1975 roku. Wcześniej też anektował strategicznie ważne trzy arabskie wyspy zatoki: Abu Musa, Duży Tunb i Mały Tunb. Irak oczekiwał od rewolucji irańskiej przychylnego stanowiska w zasadniczych sprawach. Jednak już pouczający ton odpowiedzi irańskiej na wspomnianą depeszę gratulacyjną — rzecz niespotykana w praktyce dyplomatycznej, ze względu na czysto formalny charakter podobnych depesz — był sygnałem ostrzegawczym dla Iraku o nadchodzącej burzy w stosunkach bilateralnych.

— 19 czerwca 1979 r. irańska gazeta „Ittifaq” opublikowała rozmowę rzecznika rządu irańskiego, dr Sadika Tabataba'iego podczas której wypowiedział się na temat korzystnego przebiegu dla Iranu porozumienia algierskiego następująco:

„Zagadnienie to uległo zmianie, gdyż centralny rząd Iranu przestaje się stosować do jego postanowień”.

— 2 października 1979 r. dziennik irański „Kehan” opublikował wypowiedź dowódcy operacyjnego Strazników Rewolucji Islamskiej, Abu Sherifa, który stwierdził z naciskiem: „Strażnicy Rewolucji Islamskiej zobowiązują się do kontynuacji walki aż do całkowitego wyzwolenia Palestyny, Libanu, Afganistanu, Eretreji, Filipin, Iraku i wszystkich uciskanych narodów”.

— W drugiej połowie pierwszego roku rewolucji, tj. w 1979 r., minister spraw zagranicznych Iranu — Kuth Zada złożył kilka oświadczeń antyirackich, z których jedno brzmiało: „Zatoka jest perska, i Irak także jest perski”.

— 9 kwietnia 1980 r. minister Kuth Zada powiedział wręcz: „Mój rząd postanowił obalić rząd Iraku”.

— Dziennik „Dżamhuri Islami”, ukazujący się w Teheranie, opublikował 19 kwietnia 1980 r. oświadczenie Chomeiniego, w którym czytamy m.in. „Naród iracki powinien się wyzwolić. Naród i wojsko Iraku mają obowiązek przewzięcia tej niemożliwej misji” (tj. rządzącej w tym kraju partii Baas).

— 22 kwietnia 1980 r. Chomeini oświadczył: „Nie ma nadziei, jeśli chodzi o wysokich oficerów irackich, ale jestem pełen nadziei w wypadku oficerów i żołnierzy. Pragnę by zbuntowali się jako bohaterowie i zniszczyli podwaliny niesprawiedliwości, jak to miało miejsce w Iranie. Mają oni bowiem uciekać ze swoich koszar i obozów (...). Jestem dobrej myśli, jeśli chodzi o robotników, urzędników, urzędników władzy Baas. Mam nadzieję, że ten wstyd zostanie zmyty z oblicza Iraku”.

— Radio Monte Carlo podało 30 kwietnia 1980 r. co następuje: „Kuth Zada odrzucił prawo Arabów do zwrotu wysp Zatok — Duży Tunb, Mały Tunb i Abu Musa — i powiedział, że wszystkie państwa zatoki są historycznie częścią ziem irańskich”.

— Na konferencji prasowej zorganizowanej przez Kuth Zada 28 kwietnia 1980 r. w siedzibie Najwyższej Muzułmańskiej Rady Szyciej w dzielnicy Hazmja w Bejrucie, powiedział: „Sądzimy, że system władzy w Iraku jest systemem przestępczym w stosunku do narodu irackiego. My popieramy naród iracki w celu pozbycia się tego przestępczego systemu”. Podczas konferencji, na pytanie jednego z dziennikarzy — „Czy oba sąsiednie kraje kroczą ku wojnie?” — odpowiedział: „Nie jest to dotychczas wojna, ale być może wojna nastąpi”.

Innym poważnym problemem „iracko-irańskich rozmów pokojowych” będzie kwestia jeńców wojennych. Na pierwszy rzut oka rzecz wydaje się prosta. Normy zwyczajowe prawa międzynarodowego zostały skodyfikowane w postanowieniach Konwencji Genewskiej z 1949 roku. Myślą przewodnią jest teza, że niewola jest jedynie środkiem uniemożliwienia jeńcom powrotu do swoich jednostek oraz ponownego noszenia i użycia broni w czasie trwania wojny. Nie wchodzi tu w grę ani kara, ani zemsta, ani też realizacja zasady wzajemności. Humanitarne traktowanie jeńców jest należywym ich prawem, a nie żadną łaską.

Ważniejsze artykuły tej konwencji stanowią

o potrzebie troski o życie jeńców (art. 13), ich przebywania w obozach oddalonych od terenów działań wojennych (art. 19 i 23), zachowania godności jeńców (art. 14), poszanowania prawa jeńców do jednakowego traktowania przez państwo zatrzymujące bez względu na ich rasę, narodowość, przekonania religijne, poglądy polityczne lub podobne kryteria (art. 16), uznania prawa jeńców do zawiadomienia swojej rodziny w ciągu jednego tygodnia od zakwaterowania w obozie i do korespondencji ze swoją rodziną (art. 70 i 71). Wreszcie strony wojujące są zobowiązane do wymiany rejestrów jeńców oraz wydania zezwolenia na utworzenie biur informacyjnych drugiej strony (art. 122 i 20), i ponoszą one odpowiedzialność nie tylko w wypadkach poważnego łamania postanowień konwencji, lecz także wówczas, gdy następuje lekceważenie najprostszych praw jeńców (art. 131).

Tymczasem, od początku konfliktu, Iran odmawiał przedstawienia list zawierających personalia jeńców irackich. Do Iraku dochodziły wieści o mordowaniu dostających się do niewoli żołnierzy irackich, o ich mobilizacji w celu dokonywania akcji sabotażowych z polecenia Teheranu. Usilne starania irackiego rządu i ministra spraw zagranicznych na arenie międzynarodowej, w ONZ i u sekretarza generalnego tej organizacji zaowocowały jedynie tym, iż zezwolono w ciągu pierwszych pięciu lat wojny na przeprowadzenie zaledwie kilku inspekcji w irańskich obozach jeńceńskich. Na domiar złego, podczas jednej z tych inspekcji miało miejsce szokujące wydarzenie.

10 października 1984 r. irańskie siły porządkowe obozu wojskowego w Gorgan, przeznaczonego dla irackich jeńców wojennych, na oczach przedstawicieli Międzynarodowego Czerwonego Krzyża otworzyły ogień do zgromadzonych jeńców irackich; było sześciu zabitych i czterdziestu rannych.

W swoim raporcie na ten temat przewodniczący Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, Alexander High, napisał następująco:

„Z przykrością należy stwierdzić, że to co się wydarzyło w Gorgan nie jest odosobnionym przypadkiem. Międzynarodowy Komitet Czerwonego Krzyża dowiódł ponad wszelką wątpliwość (...) doświadczenia na terenie dalszych obozów o innych gwałtownych konfrontacjach, w wyniku których było wielu zabitych i rannych”.

Alexander High dodał: „Wielokrotnie informowaliśmy władze irańskie, że gwałt ten jest nieodłącznym rezultatem polityki prowadzonej przez Iran w przeciągu całego okresu ostatnich trzech lat. Jest to polityka, którą już wcześniej opisał i potępił Międzynarodowy Komitet Czerwonego Krzyża”.

Tenże Komitet skierował 10 lutego 1984 r. memorandum do rządu irańskiego, w którym pisał m.in.: Ideologiczny i polityczny nacisk, zastraszanie, zorganizowana reedukacja oraz akcja naruszania godności osobistej pozostają siłą cechą charakteryzującą życie w obozach i wydają się posiadać charakter narastający w wyniku działania określonych osób nie mających związku z formalną administracją obozów. Przedstawiciele Zarządu Edukacji Politycznej oraz członkowie grup opozycji irackiej — uciekinierów do Republiki Islamskiej Iranu próbują wszyscy agitować jeńców przeciwko swojemu rządowi. Z kolei inny dokument Międzynarodowego Czerwonego Krzyża głosi: „W niebezpieczeństwie znajduje się egzystencja fizyczna i moralna tysięcy ludzi oraz przysięga poszanowania konwencji genewskich. Ponadto polityka ta zmusza jeńców w rzeczywistości do wyboru między zdradą a śmiercią”.

W dodatku do tych faktów, irańskie komunikaty wojenne — szczególnie pierwszego okresu wojny — informowały o dostaniu się do niewoli przesłanie dużych liczb jeńców irackich. Był to element określonej propagandy. Teraz idzie o to, czy liczby te zechcą się zgadzać ze stanem faktycznym.

Na zakończenie warto wspomnieć o dość istotnej sprawie. Przyjęcie przez Iran pod koniec osiemnastego roku wojny rezolucji Rady Bezpieczeństwa nr 598 oraz publiczne poparcie udzielone temu posunięciu przez Chomeiniego było — w świetle dotychczasowego uporczywego odrzucania idei rozmów pokojowych — zaskoczeniem dla znawców irańskiej odmiany doktryny politycznej szycizmu — ściślej poglądów samego Chomeiniego. Jego nowa filozofia władzy jest oparta o centralną ideę „wylajet alfakih” (namiestnictwo duchowego). Głosi, że w nieobecności dwunastego imama szycitów Mahdiego (zagał na w tajemniczych okolicznościach w 878 r., a szyci wierzą w jego ponowne pojawienie się; jest on więc Ocze-kiwanym Mesjaszem — tj. al-Mahdi al-Muntathar), najwyższemu duchowieństwu szycickiemu przysługuje prawo do decydowania o sprawach współczesności w formie werdyktu religijnego zwanego „fetwa”. Rzecz w tym, że rzadko podejmowana „fetwa”, ma jednak charakter nieodwołalny i obowiązuje wszystkich wiernych.

Problem ze strony irańskiej polegał na tym, by Chomeini — za życia oczywiście — odszedł od swoich poglądów nawołujących do walki z władzami i prezydentem Iraku; do „wojny aż do zwycięstwa” — jak to ujął sam w czasie jednej z modłów piątkowych. Stąd też wypowiedź Chomeiniego w sprawie przyjęcia wspomnianej rezolucji Rady Bezpieczeństwa brzmiała, iż łatwiej mu zażyć trucizny niż podjąć taką decyzję.

Tu tkwi kolejne źródło obaw Iraku, czy przypadkiem raz łamany dogmat nie będzie dalej łamany pod byle pretekstem.

HASAN JAMSHEER

• polemiki • listy • opinie • polemiki • listy • opinie •

„ZAGROŻONE DZIEDZICTWO”

W nawiązaniu do artykułu pt. „Zagrożone dziedzictwo” autorstwa Andrzeja Kempy (Nr 36 z 03-09-88) i zamieszczonej tam informacji:

„Plan powinien, moim zdaniem, skutecznie udaremnić podejmowanie tak głębokich i ważkich „decyzji”, jaką było rozwiązanie, bodaj w 1955 r. istniejącej przy Pracowni Konserwacji Zabytków Pracowni Konserwacji Grafiki i Książki Zabytkowej...”

Zarząd PP PKZ uprzejmie wyjaśnia, że działalność tej pracowni nigdy nie została zawieszona, a jedynie zmieniona ona swój adres w związku z przeniesieniem do nowych pomieszczeń.

Równocześnie Zarząd PP PKZ informuje, że dysponuje również innymi tego typu pracowniami przy swych oddziałach w Kielcach, Rzeszowie i Szczecinie, ale w wyjątkowych wypadkach otrzymują one zlecenia z bibliotek bazując w głównej mierze na pracach dla dyrekcji muzeów w zakresie konserwacji grafiki i drobnych druków ulotnych.

Licząc na podawanie w przyszłości rzetelniejszych informacji pozostajemy z szacunkiem.

mgr JÓZEF PILCH

CMENTARZ ŁYCZAKOWSKI

To był ważny i potrzebny artykuł. Mam na myśli reportaż Grzegorza Matuszaka w nr 40 „Odgłosów” z 01.10.1988 r. Nadchodzi najwyższy czas, byśmy zajęli się naszymi grobami na Cmentarzu Łyczakowskim. Tam bowiem jest dwadzieścia lat naszej historii i kultury.

Polacy mieszkający we Lwowie w miarę swoich możliwości starają się utrzymywać w jakimś porządku przynajmniej groby zasłużonych. Ale możliwości ich są ograniczone, choćby z braku funduszy na konieczne restauracje. Nie mogą także zapobiegać zajmowaniu grobów przez obcych, co jest niestety bardzo rozpowszechnione, a wynika z tego, iż ziemia na cmentarzach w ZSRR jest darmowa. Należy tylko zapłacić grabarzowi, a ten za odpowiedzialną sumę dokona pochówku wedle życzenia rodziny zmarłego.

I tak na początku roku 1983 rozpoczęto niszczenie jednej, zwartej kwatery (ponad siedemdziesiąt grobów) powstańców listopadowych, tzw. Żelaznej Kompanii z 1830 r. Drugiej tak licznej nie ma w Polsce. To samo dzieje się i na drugim cmentarzu, Janowskim, gdzie w roku 1979 zniwelowano pod nowe grobowce kwatery strzelców ścigowych i naszych żołnierzy poległych w obronie Lwowa i Kresów Wschodnich.

Pozwólę sobie wspomnieć kilka nieścisłości, które wkrały się do przewodnika oraz dodać garść informacji, moim zdaniem dość istotnych.

1. Istnienie Cmentarza Łyczakowskiego datuje się właściwie od roku 1786. Od połowy w. XVI na Łyczakowie chowano jedynie zmarłych na dżumę i inne choroby morowe. Jak podaje Stanisław Niciejew w wydanej właśnie pracy „Cmentarz Łyczakowski” (ZNO 1988) „pierwsza zachowana do naszych czasów płyta nagrobna nosi datę 1787 r.”

2. Grób Juliana Konstantego Ordona nie jest symboliczny. Prochy, zmarłego w 1887 r. we Florencji Ordona, sprowadzono zgodnie z jego życzeniem do Lwowa w r. 1891.

3. Tablice na grobie Benedykta Dybrowskiego postawiono w roku 1971, do tego czasu istniała tablica z napisem po polsku.

4. Pomnik Chwały — piękna kolumnada z kamienia polskiego z napisem u góry „Polegli, byśmy wolni żyli”, zburzono 25 sierpnia 1971 r. Zanim to nastąpiło byli obrońcy Lwowa z listopada 1918 r., generałowie: Roman Abraham i Mieczysław Boruta-Spiechowicz, wraz ze swymi żołnierzami, zwrócili się do odpowiednich władz w Polsce o podjęcie opieki nad Cmentarzem Orląt. Niestety nasze władze, mimo ustawy zobowiązującej państwo do opieki nad grobami wojennymi, nie podjęły żadnych kroków, by zaprzęgnięciu sąsiad umożliwić zachowanie naszego drogiego Campo Santo, gdzie spoczywało ok. 2000 żołnierzy i 57 cywilów poległych w czasie walk oraz licznie amerykańscy i żołnierze francuscy, walczący w naszych szeregach. Ich pomniki, stojące po obu stronach katakumb uległy także zagładzie.

Z dawnych katakumb, gdzie pochowano kilkudziesięciu obrońców, a wśród nich Jurka Bitschana, 14-letniego ucznia, o którym śpiewano w piosence, zrobiono zakład kamieniarski, gdzie przeobraża się polskie płyty na obecne groby.

Na zakończenie warto jeszcze przypomnieć, że to właśnie z Cmentarza Orląt w roku 1925 przewieziono zwłoki Nieznanego Żołnierza do Warszawy. Droga losowania bowiem wybrano pochówkowi lwowskiemu. Grób ten, oznaczony nr 414 w polu VI, posiadał wykonaną dwa lata przed wojną piękną płytę z czarnego granitu ze stosownym napisem. Obecnie zdarta z niej jakiś nowy grób... Podobny los spotkał pomniki z grobów: żołnierzy spod Rarańczy, gen. Iwaszkiewicza, kpt. Starca, obrońców Zadzwoża i innych. Jedynym śladem Cmentarza Orląt Lwowskich jest wydrapano na murze ślizgaczka i krzyż?

DANUTA B. ŁOMACZEWSKA
(Warszawa)

JESZCZE O MORDECHAJU CHAIMIE RUMKOWSKIM

W drukowanych w „Odgłosach” fragmentach książki A. Mostowicza wspominam się też o Mordechaju Chaimie Rumkowskim, Najstarszym Żydów, lub jak to tłumaczy inni „Przełożonym Starzeństwa Żydów” w Łodzi. Autor zapewne słusznie wykazuje dwuznaczność i beznadziejność pełnienia tej funkcji oraz olbrzymie obciążenie psychiczne M. Ch. Rumkowskiego czy Adama Czerniakowa. Trudno się w tej materii wypowiadać tym, którzy gehenny tej nie przeżyli.

Przy tej okazji nie sposób nie wspomnieć o „Pamiętniku z Getta Łódzkiego” Jakuba Poznańskiego, wydanym przez Wydawnictwo Łódzkie w 1960 r. w opracowaniu Horacego Safrina, który jak sądzę jest również autorem przypisów. Jakub Poznański o Mordechaju Rumkowskim pisze bardzo często. Powołuje się jednak na takie fakty, których chyba nie usprawiedliwia nawet ta specjalna pozycja i funkcja „Najstarszego Żyda”.

Ala najpierw o samym Mordechaju Chaimie Rumkowskim i początkach ustanowienia „władzy” gminy żydowskiej przez okupanta Jakub Poznański potwierdza że Rumkowski „wpadł w oko” zewolowi Zarządu Cywilnego Miasta w czasie pertraktacji na temat wielkości „kontyngentu” robotników żydowskich, którzy mieli być codziennie do dyspozycji władz niemieckich. „Kontyngent” ten miał rzekomo srać, żeby zaniechano łapanek ulicznych Żydów, co zresztą się nie sprawdziło.

Jeszcze w 1939 r. w miastach „Warthegau” („Kraju Warty”) władze niemieckie na mocy zarządzenia gubernatora Hansa Franka mianowały „przełożonych starzeństwa Żydów”. W Łodzi właśnie M. Ch. Rumkowski jako „Aeltester der Juden der Stadt Lodsch” Oprócz tego powołano „Radę Starszych” w składzie 31 osób. Nie wiadomo, czy pierwszy skład Rady dobierał sobie sam Rumkowski, ale w każdym razie przyjęcie „nominacji” było obowiązkowe. Rada ta zresztą została aresztowana 11 listopada 1939 r.

W lutym 1940 r. M. Ch. Rumkowski powiadamia władze niemieckie o utworzeniu nowej rady (21 osób). Tym razem o jej składzie na pewno decydował sam Rumkowski.

Jaki był ten bliżej nieznany kierownik czy dyrektor Domu

Sierot w Helenówku (nb. ciekawi mnie, czy był to obiekt przy ówczesnej alei Kościuszki — teraz Łozowa, czy też przy ówczesnej Racławickiej — teraz Sianokosy, w budynku opatrzonym wielkim napisem „Betelhaus”?), co sobą prezentował? Oto kilka cytatów i innych stwierdzeń.

„Rok 1940. (przed 3 maja, kiedy to getto zamknięto — W. A.) W getcie wre gorączkowa praca organizacyjna. Prezes biega jak oszalały. Krzyczy, bije po twarzy, wyrzuca...”
M. Ch. Rumkowskiego nazywano „Prezesem”. O nim traktowała parodia „Lokomotywy” Juliana Tuwima, znaleziona po wojnie:

„Stoi na rynku stary mężczyzna, bije od niego dźwięk tętna, każdy to przyszedł! Stoi! przeklina, prycha i sapie. Pot z rozgrzanego czoła mu kapie. Uff, jak gorąco! Och, jak męcząco. Obiecuje ci! Głodości dużo temu nadali. I władzy wiele, by wszyscy się bali. Został Cesarzem, władcą Dwukroci: już mu korona w marzeniach się złości. Rozdaje funkcje, posady, etaty! Sprawuje sądy, usadza za kraty, udziela ślubów, godzi, rozwodzi. Na razie wszystkich nas tutaj głodzi... Nagle — buch! Poszedł w ruch! Zamiast powoli, jak starcom przystoi, o latach nie pomań, w największy tłum wpada, wali po twarzy i kopie i bije...”

A co sądzić o wydarzeniu, które potwierdziło szereg świadków — m.in. Felicja Poznańska, żona Jakuba, po wojnie wieloletnia kierowniczka Urzędu Stanu Cywilnego na Bałutach... Mordechaj Chaim Rumkowski nad grobem swojej żony woła: „...Twój Chaim jest cesarzem...”. Zaś młodzież zrzeszona w Hach-szarze (rodzaj przysposobienia rolniczego) w czasie deflady jęczała na początku istnienia getta wznosiła ku radości Prezesa okrzyki: „Niech żyje książę!...”. Oczywiście — ktoś musiał tym kierować. Ale ktoś, kto znał upodobania Prezesa.

Jak się wydaje — Rumkowski bez skrupułów wykorzystywał skrawki pozostawionej mu przez Niemców władzy. Kosztem ogółu.

„14.02.1943 r. ...Przed dwoma laty Rumkowski urządził na Marysinie dom wypoczynkowy dla wyższych dygnitarzy. Czas pobytu ustalono na siedem dni. Na początku zamieszkali tam ludzie najbliżsi sercu pana prezesa. Karmiono ich obficie i smacznie...”

„31.07.1944 r. ...Prezes, nie licząc się zupełnie z opinią ogółu w dalszym ciągu hojną ręką rozdaje swoje klucze normalne i „nadzwyczajne” talony żywnościowe. Kiedy mu delegacja robotników zwróciła uwagę na tę samowolę, odpowiedział: „Nie bałem się was dotychczas, nie boję się i teraz!”

W kilku miejscach Jakub Poznański pisze o szafowaniu przez M. Ch. Rumkowskiego żywnością na urządzanych w swoim domu przyjęciach (np. z okazji... 3-lecia utworzenia getta) lub przydzielaniu jej bezpłatnie dla „swoich” ludzi. A w tym czasie inni marli już z głodu!

Jawi się więc M. Ch. Rumkowski jako osobnik bezwzględny, wykorzystujący swoje przywileje i stanowisko. Choć i tak nie nie zabezpieczyło go przed smutnym końcem.

„17.06.1944 r. ...Dzień wczorajszy obfitował w różne sensacje. Hans Biebow szalał na Bałuckim Rynku. Poturbował Prezesa tak dotkliwie, że tamten dostał krwotoku...”

I następnie: „...Prezes udał się do Gettoverwaltung z prośbą, by zaniechał deportacji jego najbliższej rodziny (było to 4 września 1944 r. — W. A.). Biebow odmówił, dodał jednakże: „Jeśli pan sobie tego życzy, to może pan im towarzyszyć...”

Na propozycję tę M. Ch. Rumkowski podobno przystał. Dalej Jakub Poznański pisze:

„...Biebow odwiedził go osobiście na dworcu (przystanek kolejowy Łódź-Radogoszcz, obecnie praktycznie nieczynny — W. A.), wynajmował mu oddzielny wagon i umieścił w nim jedynie dwa naczynie osób spośród najbliższego otoczenia Prezesa. Pożegnał się z nim nawet serdecznie. Ale ledwo się odwrócił — policjanci „Schupo” zaczęli kierować do tego właśnie wagonu przesiedleńców, tak że ostatecznie znalazło się tam przeszło osiemdziesiąt osób...”

Jak widać — J. Poznański ocenia M. Ch. Rumkowskiego znacznie surowiej, nie wdając się, jak A. Mostowicz, w uwarunkowania psychologiczne. I właściwie chyba racja, bo najistotniejszą są rzeczywiste efekty. Czy obejmując tę dwuznaczną funkcję M. Ch. Rumkowski myślał o sobie, czy o swoich współtowarzyszach niedoli? Chyba się nigdy tego nie dowiemy.

I jeszcze dwie uwagi. Nie bardzo wiem, na jakiej podstawie A. Mostowicz pisze, że „z getta Łódzkiego pozostało przecież przy życiu kilkanaście tysięcy Żydów” skoro liczba ukrywających się do wyzwolenia Łodzi J. Poznański podaje na nieco ponad 800? Czyżby chodziło o jakieś grupy wywiezione z getta, których los się jednak nie dokonał, a jeśli tak, to jakie grupy i dokąd wywiezione?

Po wtóre: 28 lat od I wydania „Pamiętników” J. Poznańskiego to chyba wystarczający czas, by rzecz wznówić. Bo o ile pamiętam — nie dokonano tego i stąd „Pamiętnik” staje się powoli białym krukiem. Czy słusznie?

W. AFELT

P.S. Hans Biebow był szefem „Gettoverwaltung” czyli Zarządu (niemieckiego) Getta. Stracony z wyroku sądu polskiego w 1946 roku.

ZAPRASZAM DO MNIE!

„Odgłosy” otrzymuję sporadycznie, zależy to przede wszystkim od socjalnej, gdyż przebywam w Państwowym Domu Opieki Społecznej w Łodzi, przy ul. Przybyszewskiego 253/267 przy ul. Łódzkiej. Otóż przebywam tu już 1,5 roku i niejednemu mogłem zauważyć w pracy ludzi tu pracujących.

Nie mogę tego zrozumieć, że zamykają szpitale z braku personelu. A tu jest go nadmiar. Nieraz naliczyłem 6 sprzątaczek i 6 pielęgniarek oraz sekretarkę, na naszym oddziale. Jest na tym oddziale 60 pensjonariuszy, dużo leżących, mniej chodzących. Teraz w czasie urlopowym przychodzi 2—3 pielęgniarki i sprzątaczkę i dają sobie radę. Gdy ich jest tylko do tego dowarzystwa tym, co pracują a praca zaczyna się o godz. 7 rano. Tak przychodzi. Najpierw herbatka no i ploteczki, a o 7.45 idą do pracy. Po wypiciu herbaty i wypaleniu iluś tam papierosów, a prawie każda pali i to w kuchence i w gabinecie (a la pakamera). O wpół do dziewiątej śniadanie, niektóre sprzątaczkę, gdy roznośzą jedzenie, mają w zębach papierosa, niby wielka pani, co jej wszystko wolno. Po śniadaniu, gdy się obrząda, siedzą i gadają, popijają herbatę i te papierosy palą. Nas wszystkich mają za głupich, tylko one są mądre.

Raz jedna tamtego roku przyszła do mojej sali i od progu powiedziała: — a co tu za bóżnica. Następnym razem — a co tu za burdel.

Obiad jest 13.30; 13.45. Gdy jest coś dobrego — to lepsze kąski oddzielają do małego garnka i do piecyka, albo obskubują i takie obskubane nam dają. W 1987 roku talerze myła pensjonariuszka z chora nogą (napuchnięta). Widziałem jak w kuchence przewijała tę nogę.

Za piętnaście trzecia wszystkie panie wychodzą po ciężkiej pracy. Koszyki lub reklamówki mają wyladowane.

Gazety dostajemy jak kiedyś. W sobotę nie dają, aż dopiero w poniedziałek. W sobotę i niedzielę muszę sam kupować gazetę z programem TV. Dużo jest u nas chorych umysłowo. Nie mogę wyjść z pokoju, gdyż taki chory wyrzuci wszystko do góry nogami. I to ma być dom spokojnej starości.

Byłem dwa razy w dyrekcji z pretensją. Ale oni zwlekają. Mówią, że niby ja mam jechać do Warszawy i śmieją się z tego. Gdyby tak redaktor przybył do mnie jako znajomy w odwiedziny, tak o godz. 7 rano, to by miał artykuł na 2 strony „Odgłosów”. I przekonałby się, jak tu jest w takim Państwowym Domu Opieki Społecznej — po naszymu wykańczalni. Wszystko by się wydalo. Zapraszam serdecznie. Dopóki tu jestem.

L.D.

PILKA NOŻNA, KWIATY I GOŁEBIE

W nawiązaniu do notatki zamieszczonej w „Odgłosach” nr 38 z 17 września 1988 roku, uprzejmie wyjaśniamy co następuje:

Tematyka sygnalizowana przez Bolesława Lipnickiego — szefa produkcji odlewni „Wifama”, mieszkańca Widzewa-Wschodu była już w latach ubiegłych poruszana na łamach prasy i omawiana na zebraniach środowiskowych z lokatorami. Dlatego też pozwolimy sobie krótko przedstawić sprawy związane z powstawaniem terenów rekreacyjno-sportowych i informację na temat gołębi na osiedlach Widzewa-Wschodu.

Kompleksowy projekt budowy osiedli na Widzewie-Wschodzie (min. terenów rekreacyjno-sportowych dla dzieci i młodzieży) był wyłożony do konsultacji społecznej przyszłym mieszkańcom osiedla (członkom oczekującym) oraz dyskutowany i opiniowany w wielu komisjach (w tym Komisji Inwestycyjnej Rady Spółdzielni reprezentującej interesy przyszłych lokatorów) i zespołach rzeczoznawców. A zatem — naszym zdaniem — ustalenia zatwierdzone w projekcie budowy nie były bezzasadnymi decyzjami. W zależności od przeznaczenia terenów zostały one zgodnie z wymogami w tym zakresie odpowiednio dostosowane do spełniania określonych potrzeb. Teren — plac przed blokami nr 321, 327 i 326 został pokryty dywanikiem asfaltowym i przeznaczony ze względu na jego położenie (blisko budynków) jako plac zabaw dla najmłodszych dzieci. Niestety, życie nie potwierdziło słusności tych założeń. Na placu tym młodzież grała w piłkę nożną. Zdarzały się również przypadki wybijania szyb w oknach lokatorów.

Na wniosek mieszkańców organa samorządowe spółdzielni w 1984 roku podjęły decyzję o ustawieniu na tym placu gazonów, które uniemożliwiłyby jedynie grę w piłkę. Jako szczególnie uciążliwą nie tylko dla seniorów zamieszkających w budynku nr 321 (najbliższy położony obok omawianego placu). Przyjęto założenie, że plac ten (po ustawieniu na nim gazonów) może spełniać rolę terenu zabawowego (do gier cichych; np. malowanie na rękawce, gra w klasy, skakanki itp.) ale nie uciążliwego dla mieszkańców. I takie przeznaczenie placu jest do dnia dzisiejszego, zaś mieszkańcy nie wyrażają zgody na zmianę jego obecnej funkcji, gdyż zakładają, iż wróciłoby wszystko do stanu poprzedniego.

Po ustawieniu gazonów w 1984 r. kolejno w ciągu trzech lat, sadzone w nich były kwiaty. Niestety, nieznani osobnicy wyrwali kwiaty i wybierali ziemię próchniczą z gazonów. Dlatego też zaprzestano dokonywania w nich nasadzeń kwiatów wychodząc z założenia, że będzie to sztywna praca, zaś koszty eksploatacji (ponoszą je lokatorzy), w pozycji utrzymanie czystości i zieleni, będą wzrastały nie dając mieszkańcom stosownej rekompensaty. A zatem gazony będą sukcesywnie wypełniane ziemią i zostanie posiana w nich trawa.

Nawiązując do drugiej z przedstawionych w notatce spraw wyjaśniamy, że pionowe ciągi wentylacyjne są przeznaczane przez kominiarzy. Dotychczas lokatorzy budynków nr 325, 326 i 327 nie informowali w administracji osiedla im. B. Chrobrego o braku drożności ciągów wentylacyjnych. A zatem za każdym pośrednictwem prosimy Czytelnika o telefoniczne skontaktowanie z kierownikiem administracji osiedla: tel. nr 48-01-14 lub osobiście pawilon 130, ul. Cwiklińskiej 22, piętro I, pokój 7 — celem bliźszego określenia, w którym budynku (klatce schodowej) są nieczynne kominy wentylacyjne. Z rozeznania poczynionego przez pracowników administracji osiedlowych wynika, że dzikie gołębie jakkolwiek są spotykane, to jednak nie są zbyt liczne. Ograniczanie populacji tego gatunku na osiedlach Widzewa-Wschodu nie zmieniłoby sytuacji, gdyż inne ptaki tego gatunku przeniosłyby się na to miejsce z innych rejonów Łodzi. Zastanawialiśmy się również nad koniecznością podejmowania działań w zakresie likwidacji tych ptaków, dlatego też nawiązaliśmy w przedmiotowej sprawie kontakt z Katedrą Ornitologii Wydziału Biologii i Nauk o Ziemi Uniwersytetu Łódzkiego i Towarzystwem Opieki nad Zwierzętami. Z informacji przedstawianych nam przez specjalistów wynika, że jakkolwiek ingerencja ze strony ludzi w liczebność tej populacji jest, z uwagi na przepisy obowiązujące w tym zakresie, niemożliwa.

mgr WIESŁAW CZYŻOWSKI
RSM „Bawelna”

REDAKCJA — CZYTELNICY

AUTOR PRACY „Trzeci, pierwszy, drugi” nagrodzonej przed laty przez „Politykę”, Łódź. Autor, który proponuje redakcji publikację swojej pracy, która wcześniej nie została zamówiona przez redakcję, czyni to na własne ryzyko. Żadna redakcja nie będzie zainteresowana szukaniem pracy, której treści nie zna. Musi pan sam podjąć się tego trud. To sprawa pierwsza. Druga — organizatorzy konkursu na ogół zastrzegają sobie prawo do druku prac nagrodzonych. Sprawy te musi pan znów sam rozstrzygnąć z organizatorami konkursu. Jak widzi pan z tego, cała sprawa nie jest taka prosta, a my nie wiemy, czy jakiegokolwiek starania przyniosą jakiegokolwiek korzyści naszym Czytelnikom. Proponujemy — po prostu zasiać do pisania, jeśli ma pan coś do powiedzenia. I na przyszłość — zawsze zachować kopię. Pozdrawiamy i dziękujemy za pozdrowienia.

JAN NOWAK, Łódź. Nie możemy spełnić pana prośby. Nie zajmujemy się oceną pracy telewizyjnych prezydentów. Proszę się z tym zwrócić do telewizji. Istnieje tam specjalna komórka, która się tymi sprawami zajmuje. Telefon dostanie pan niewątpliwie w Łódzkim Ośrodku Telewizji Polskiej.

JAN KSIĘŻNIAK, Łódź. Dziękujemy za przesyłkę. Temat, o którym pan pisze interesuje nas również. Przy jego opracowaniu skorzystamy z pana listów. Trzeba jednak poczekać.

AURELIA JEZIÓRNA, Łódź. Autor dziękuje za list. Jest zachwycony, że udało się pani wszystko zmieścić na półtorę kartce. Ogromny postęp. Tylko tak dalej. Zyczymy powodzenia. Jeśli chodzi o meritum sprawy — pozostaje przy swoich poglądach. Pozdrowienia.

REDAKTOR DYŻURNY



Masz temat dla reportera?
Coś Cię drażni, niepokoi?
szlag cię trafia – podnieś
słuchawkę i wykręć numer: 36-77-70

Na Twój telefon czekają redaktorzy:

27 października — DARIUSZ DOROŻYŃSKI —
godzina 10—15.

3 listopada — ANDRZEJ GĘBAROWSKI —
godzina 10—15.

Relacja z dyżuru przy telefonie z dnia 20 października 1988 roku.

Pierwszy zadzwonił pan Czesław Kaszubski. Jego sprzeciw budzi jesienny zwyczaj palenia liści. Właśnie takie ognisko pło-
nego tego dnia w odległości 15 m od bloku i w mieszkaniach
śmierdziało spalenizną. Próbował sprawdzić, czy jest to zgodne
z przepisami, ale specjalista od ochrony środowiska nie potra-
fił na takie pytanie odpowiedzieć. Zdanem Czesława Kaszub-
skiego łatwiej jest spalić niż zakopać. Może wątpliwości nasze-
go Czytelnika rozstrzygnęliby strażacy?

Czesław Kaszubski wyraził też niezadowolenie, że w „Od-
głosach” pojawia się cała strona, a niekiedy i więcej, ogłosze-
niom. Jego uwagi przekazałam kierownictwu redakcji i zosta-
łam upoważniona do wyjaśnienia, że to jest maksimum, na jak-
ie „Odgłosy” mogą sobie pozwolić w publikacji ogłoszeń. Dzie-
ki nim możemy podać rosnącym kosztem druku i papieru, a
jednocześnie czujemy się w obowiązku dawania Czytelnikom
ciekawszych materiałów do czytania. W tym numerze dajemy
nawet 4 strony ogłoszeń, ale w tej samej cenie pisma i poza
jego 16-stronicową objętością. Chcemy dalej iść taką właśnie
drogą. Czytelnicy i Klienci powinni być z tego zadowoleni.

Tadeusz Walczak w imieniu podróżnych korzystających z
dworca Łódź-Kaliska zwraca uwagę na niebezpieczeństwo w
ruchu, jaki tam panuje. A przy ruchu, jaki będzie panował w
Święto Zmarłych niebezpieczeństwo to wzrośnie. Potrzeba tam
wyróżnioną oznakowania przejść, aby i piesi, i kierowcy widzieli
jak się w tym trudnym miejscu poruszają.

Witold Sokół przedstawił kilka spraw. Zaczął od tego, że już
wielokrotnie zwracano uwagę na praktykę klubów wojskowych,
takich jak warszawska Legia czy wrocławski Śląsk, które upa-
trzonego piłkarza biorą po prostu do służby wojskowej. Prak-
tyka taka musi budzić sprzeciw, gdyż stawia te kluby w u-
przywilejowanej sytuacji. Witold Sokół proponuje, aby zwolnić
piłkarzy od służby wojskowej albo żeby odbywali tę służbę w
takich klubach, jak choćby Łódzki Orzeł.

Następnie Witold Sokół poskarżył się, że choć ma w pobliżu

domu 7 kiosków Ruch, to nie może trafić na „Przegląd Tygod-
nowy” i „Wprost”. Słabość w pracy kółportera prasy Witold
Sokół widzi w monopolistycznej sytuacji tego przedsiębiorstwa.
Pyta, czy nie byłby czas na konkurencję? Chyba tak, tylko chę-
tnych nie widać. Oczywiście propozycja, aby „Odgłosy” wzięły
Ruch w agencję traktujemy jako sympatyczny dowcip!

Witold Sokół proponuje też, aby pocztą zgadzała się na przy-
mowanie prenumeraty miesięcznej. Pisma droższe. Gdy ktoś
dużo czyta, to opłaty wnoszone nawet co pół roku stanowią
spory wydatek. Nie każdego na to stać. Jest w tym sporo racji,
ale pocztą i tak niechętnie zajmuje się prenumeratą, więc
nie wiem, czy zainteresuje się tą propozycją. Istnieje możli-
wość założenia sobie teczki w kiosku Ruch. Wtedy nie trzeba
płacić prenumeraty za cały rok lub pół roku.

Nasz Czytelnik korzysta z opieki lekarskiej profesora WAM.
Co jakiś czas dostaje skierowanie na zabiegi do poradni reha-
bilitacyjnej przy ul. Krawieckiej. Tam musi go przyjąć lekarz,
aby potwierdzić zasadność skierowania. Na to Witold Sokół
musi czekać nieraz i cały miesiąc. Dziwi go taka praktyka, bo
wygląda to tak, jakby opinia profesora medycyny nie wystar-
czała być może absolwentowi tej uczelni. Czy nie za dużo buro-
kracji?

— Gdzie jest tom II i III historii Łodzi pt. „Łódź. Dzie-
je miasta” — pytał **Leonard Dorabala**. Zastępcą informacji
u Barbary Matuszek z łódzkiego oddziału PWN. Otóż w grud-
niu 1988 roku ukaże się drugie wydanie tomu I. W roku 1990
— tom III, a tom II prawdopodobnie w 1991. Pisałmy już
zresztą o tym w nr 30 „Odgłosów” z 23 lipca 1988 r.

Pani A.B. prosiła, aby nie podawać jej nazwiska. Jej zda-
niem potrafimy wiele narzekać na rząd i władze, a nie potrafi-
my dobrze robić tego, co do nas należy. Oto przykłady. Na
Widzewie jest cmentarz komunalny Zarzew. Ludzie przechodzą
przez jezdnię w miejscu najbardziej dla siebie dogodnym, ale
pasy — bez sensu — wymalowano dużo dalej. Czy nie można
tego skorygować? Kierowcy nie przestrzegają linii ciągłej na
jezdniach, jeżdżą jak piraci. Co na to milicja drogowa? Może
odderwałaby się od radarów i popatrzyła uważniej po ulicach?
Był kiedyś maszynki do krojenia wedlin. Komuś przeska-
dzały, bo zniknęły. Dlaczego? Pani A.B. jechała z Warszawy do
Łodzi. Wsiadła do pociągu, który był brudny, brakowało wody
w ubikacjach. Kto zwinął, bo przecież nie pasażerowie? W
Łodzi jechała brudną taksówką nr boczny 4268. Zwróciła uwagę
kierowcy, który na to odpowiedział: — Dla hołoty nie bę-
dzie sprzątali! Co na to powie Zrzeszenie Prywatnego Handlu i
Usług? Też jesteśmy ciekaw!

— Czekam na przyznanie mi telefonu od 1975 roku — po-
wiedziała **Marek Ciszewski**. Nasz Czytelnik mieszka przy ul.
22 Lipca 53/57. Wydawałoby się, że w śródmieściu, chociaż for-
malnie to już Polesie, nie ma takich kłopotów jak na peryfe-
riach Łodzi. Sądząc z przykładu Marka Ciszewskiego i tu są
kłopoty. Urząd Telekomunikacji przysłał już kilka pism w tej
sprawie, ale telefonu nie ma nadal. Podobno będzie w 1990
roku, gdy pan Ciszewski będzie obchodził 15-lecie złożenia po-
dania.

Pan S. z Pabianic prosił o dyskrecję, gdyż i sprawa jest
niezbyt jasna. W Pabianicach wybudowano osiedle im. Piotra
Skorzyńskiego. Przy okazji powstały magazyny, które pobudowano z
myślą, że można je będzie przekształcić w 13 garaży. Do tej

pory tego nie zrobiono. Dlaczego? Teraz chodzą słuchy, że są
to garaże dla zasłużonych mieszkańców Pabianic. Jak się takich
będzie szukać? Zdaniem pana S. — to nie jest najlepsze roz-
wiązanie. Co na to władze miasta Pabianic?

Przy okazji druga sprawa z Pabianic, więc i ta sama prośba
do władz miasta o wyjaśnienie. Przekazał ją pan A.M. Na osie-
dliu im. Mikołaja Kopernika w 4 blokach jest zimno. Dla ich
ogrzania trzeba pospawać rury, ale nie ma... gazu. Spawacze
czekają na gaz, a ludzie marzną. Zbliżają się chłody. Czyńkiego
to nie obchodzi?

Anna Dobrowolska powróciła do sprawy, o której pisałyśmy
już w „Odgłosach”. Chodzi o wiadukt przy al. Włókniarzy. Kie-
dyś można było przechodzić przez torę w rejonie ulicy Sre-
brzyńskiej. Teraz trzeba wiaduktem nad torami. Ale stan wia-
duktu jest taki, że ani ludzie starsi, ani matki z dziećmi poko-
nać go bez obawy o zdrowie nie mogą. Nadchodzi zima, a z
nią ślizgawice. Czy ktoś zainteresuje się sprawą wiaduktu? Tyle
mówi się o trosce o człowieka. Stan wiaduktu przy al. Włók-
niarzy temu przeczy.

Miron S. — prosił o niepodawanie nazwiska — zwraca nam
uwagę, że w nazwach niemieckich w publikowanych artykułach
były błędy. Przepraszamy! Możemy jedynie na usora-
wiedliwienie napisać, że cykl produkcyjny w Prasowych Zakła-
dach Graficznych jest taki, że w poniedziałek i wtorek spływa
większość materiałów, co powoduje, że korekta nie zawsze jest
w stanie wyłapać wszystkie błędy. Kierownictwo redakcji za-
pewnia, że w porozumieniu z PZG podejmie starania, aby stan
ten poprawić.

Pani A.K. — nauczycielka z zawodu — skarży się na prze-
ładowane programy i podręczniki. Jej wnuk chodzi do 6 kla-
szy szkoły podstawowej i nie jest w stanie opanować tego, co
się od niego wymaga. Jej zdaniem: — po pierwsze — trzeba
uczyć korzystania z encyklopedii. Po drugie — encyklopedie
muszą być dostępne dla każdego. Po trzecie — pora zmienić
programy. Popieramy, choć zdajemy sobie sprawę z trudności
zrealizowania tak prostego programu.

Panu C.D. który jest też stałym czytelnikiem wileńskiego
„Czerwonego Sztandaru” wyjaśniamy, że w piśmie tym o pi-
sowni litewskiej polskich nazwisk pisał Jan Ciechanowicz, a
„Odgłosy” informowały o tym w nr 43.

Pełne kosze i śmietniki też nas denerwują. Ale nie MPO.
Nasz stały Czytelnik, pan R.D. poskarżył się na ROM nr 6 na
Bałutach. Pan R.D. mieszka przy ul. Zachodniej 25. W pod-
wórku zasadzono krzewy i drzewka, postawiono ławeczki. ROM
nr 6 wszystko to zniszczył i kładzie płyty. Na miejscu ogródka
będzie... parking. Ponoć zrodził się na to Komitet Osiedlowy,
ale ten miesiąc się przy ul. Rybnej, a mieszkańców z Zachod-
niej 25 nikt nie pytał o zdanie. Czy tak można postępować?

Jerzy Radowski i inni mieszkańcy ulicy Zielonej między uli-
cami Hutora a Żeligowskiego pytają, po co wymieniały płyty
chodnikowe, które były dobrze położone, a teraz są położone
fatalnie. Już się parę osób przewróciło. Miałoby to wielu mie-
skańców rozkojarzyć i tak zostawia. Widać takie są plany.

Jeden z Czytelników zapytał, dlaczego od dawna nie było
felietonu sportowego. Odpowiadam: z powodu wyciepu felieto-
nistki. Już będzie! Już po urlopie.

BOGDA MADEJ

Poddalam się po czterdziestu latach

Rozmowa z **MARIĄ MIKOSZ**, osobą, której formalnie nie ma.

— Według biura ewidencji
ludności, obywatelka **Maria**
Mikosz nie istnieje. Według
ZUS-u, osoba taka, mimo u-
dokumentowania dwudziestu
siedmiu lat uczeźnicy pracy, nie
ma prawa do emerytury.
Maria Mikosz nie otrzymywa-
ła kartek na mięso, cukier,
makę, masło, itd. Proszę więc
udowodnić, że **Pani żyje?**

— Tego nie potrafię dowieść
od co najmniej czterdziestu lat,
ponieważ od wyzdolenia nie
mam dowodu osobistego. For-
malnie — czego wielokrotnie
doświadczyłam — nie ma mnie
na tym świecie, chociaż żyję
już sześćdziesiąt pięć lat i cie-
szę się dobrym zdrowiem.
Można mi tylko wierzyć na
słowo.

— Jestem skłonny dać wia-
rę, ale obawiam się, że urzę-
dników tak łatwo **Pani** nie
przekona.

— Dla urzędnika państwo-
wego człowiek bez papierka
jest nieważny. Mam na to
wiele przykładów.

— I co wtedy?

— Zawsze pozostaje krzepią-
ca myśl, że jeśli umrę, to na-
wet bez tych bardzo ważnych
dokumentów muszę mieć za-
kopać.

— Nigdy nie starała się **Pani**
o wydanie dowodu osobis-
tego. Dlaczego?

— Po wojnie pracowałam w
Urzędzie Bezpieczeństwa Pub-
licznego na Rzeszowszczyźnie.
Moim zadaniem było tropienie
leśnych oddziałów i zakonspi-
rowanych w mieście agentów
Ukraińskiej Powstańczej Ar-
mii. Często chodziłam do lasu
przebrana za Ukrainkę. Kiedy
zaczęły mi się palić nogi pod
nogami, wyjechałam do Łodzi.
Miałam wtedy kenkartę wy-
stawioną na moje prawdziwe
nazwisko, ale obawiając się
poszukiwań i zemsty UPA,
przybrałam zmyślone nazwisko
— **Mikosz**. Odmówiłam się o
rok, zmieniłam też imiona ro-
dziców i miejsce urodzenia.
Panowałam powojenny chaos,
bez specjalnych przeszkód wysta-
rałam się więc o tymczasowe
świadectwo tożsamości wydane
na nowe nazwisko. Nieco póź-
niej, kiedy ustanowiono obo-
wiązek posiadania dowodu oso-

bistego, a ja ciągle bałam się
zemsty, nie chciałam okazać au-
tentycznej metryki urodzenia,
ominałam ten obywatelski obo-
wiązek.

— Skutecznie omijała **Pani**
przez dalsze czterdzieści lat,
nawet kiedy minęło potencjal-
ne zagrożenie.

— Najpierw postępowałam
tak z konieczności, a później
z leką przed podejrzeniami.
Wkrótce nastąpił przecież cza-
sy chorobliwej nieufności, kie-
dy wystarczył cień podejrze-
nia, żeby nie wrócić do domu.
Zresztą, nauczyłam się żyć bez
dowodu osobistego.

— Jak to się robi?

— Trzeba żyć cicho, nie u-
pominać się o swoje prawa,
unikać urzędników, wieczorami
nie wychodzić na ulicę. Od
pewnego wieku, przepustką są
swe włosy. Na przykład pod-
czas stanu wojennego, nie wy-
legitymowałam mnie żaden pa-
troł, chociaż zdarzało się cho-
dzić do pracy w czasie ulicz-
nych zamieszek.

— Mimo braku dowodu oso-
bistego, bez problemów przy-
mowano **Panią** do pracy?

— Zupełnie wystarczała le-
gitymacja ubezpieczeniowa.
Tylko w jednym przedsiębior-
stwie, gdzie zasiadywałam na
opinię bardzo dobrej pracow-
nicy, dosięgnął mnie obowiązek
wpisania w dowód adnotacji o
zatrudnieniu. Wprawdzie dy-
rektor i kadrowa robili wszy-
stko, żeby mnie zatrzymać w
zakładzie, ale przepisów nie
przeskoczyli. Musiałam się
zwolnić.

— I bez wstretów zatrudnić
się w innym zakładzie, który
cierpi na brak rąk do pra-
cy.

— Oczywiście. Dopóki czło-
wiek jest silny i może ciężko
pracować, jego dokumenty są
mniej ważne. Ja pracowałam
znacznie dłużej niż przewidu-
je ustawa. Ale kiedy przycho-
dzi starość i człowiek przesta-
je być potrzebny, wtedy nagle
okazuje się, że bez jednego
papierka łatwo umrzeć z głó-
du. Od chwili przejścia na
emeryturę, a minęło już osiem
miesięcy, nie dostałam z ZUS
ani grosza.

— Z czego **Pani** żyje?

— Z ludzkiej dobroci. Na
szczęście są jeszcze ludzie, któ-
rzy podają rękę takiemu ko-
muś, kto nie ma ani emerytu-
ry, ani kartek na mięso.

— Czy utrzymuje **Pani** kon-
taktu z rodziną?

— Przed laty korespondowa-
łam z siostrą, ale nasz kon-
takt urwał się. Później, kiedy
zmieniłam mieszkanie, siostra
poszukiwała mnie przez biuro
meldunkowe i Czerwony Krzyż.
Dostała odpowiedź, że **Maria**
Mikosz nie żyje.

— Od trzydziestu lat mies-
ka **Pani** w kamienicy na Wi-
dzewie. **Pani** nazwisko figuru-
je w spisie lokatorów. Domy-
ślam się, że były perypetie z
zameldowaniem.

— Wcale nie jestem tutaj
zameldowana, nawet nie stara-
łam się o to. Wystarczy, że ter-
minowo płacę czynsz, dobrze
obchodzę się z sąsiadami, kła-
niam się dzielnicowemu.

— Kiedy trudniej było się
bez dowodu osobistego —
dawniej czy dziś?

— Teraz w urzędach jest
taki gąszcz przepisów, że zu-
pełnie nie widać w nim czło-
wieka. Złożyłam w ZUS-ie ca-
ły plik świadectw pracy i in-
nych wymaganych dokumen-
tów, ale nie wypłacał mi eme-
rytury, póki nie zobaczył mo-
jego dowodu osobistego.

— Też przeszkody już **Pani**
nie pokonała?

— Musiałam poddać się po
czterdziestu latach. I wtedy do-
piero zaczęły się korowody, bo
żeby uzyskać rozmaite za-
świadczenia potrzebne do wy-
stawienia dowodu osobistego,
często trzeba wylegitymować
się... dowodem osobistym. By-
łam załamana. W beznadziej-
nej sytuacji pomógł mi do-
piero Prokurator Wojewódzka
w Łodzi, a szczególnie proku-
rator **Jacek Rządowski**, któ-
ry ogromnymi staraniami u-
dowodnił wreszcie istnienie
Marii Mikosz.

Rozmawiał:
ROMAN KUBIAK

Lata sześćdziesiąte naszego
stulecia były okresem, kiedy obywatele
państw zachodnich, a zwłaszcza Stan-
ów Zjednoczonych zdali sobie spr-
awę, że komercjalizacja życia nieu-
chronnie prowadzi do zwyrodnienia
jednostki ludzkiej i utraty człowie-
czeństwa. Na fali pacyfizmu zaczęły powstawać
różne grupy i organizacje młodzieżowe wyraża-
jące bunt przeciwko instytucji państwa, jego pra-
wom i ówczesnemu systemowi wartości. Wśród
wielu związków zawiązywały się grupy o cha-
akterze okultystycznym, magicznym, parareligij-
nym.

Anton Szandor Lavey, były żołnierz USA zało-
żył w 1966 roku w San Francisco najbardziej
znaną organizację satanistyczną — „Kościół Sa-
tana”. Lavey jest autorem trzech książek: „Bi-
blia satanistyczna”, „Kompletna czarownica”,
„Rytuały satanistów”. Transponował w nich tre-
ści religijnych tekstów żydowskich, zastępując op-
słowo „Bóg” słowem „satan”. Głównym założe-
niem satanizmu jest kult zła i zęchu, jako je-
dynczej możliwości przetrwania we współczesnym

świecie, który został stworzony przez szatana dla
ludzi agresywnych, brutalnych i przestępczych.
Kwintesencją stosunku satanizmu do Kościoła są
czarne msze — bezczeszczenie obrzędu mszy
chrześcijańskiej.

DZIAŁALNOŚĆ

Jeżeli nie liczyć chuligaństwa, wandalizmu i
narkomanii, jako przejawu działalności, to jed-
ynym obrzędem rytualnym satanistów jest czarna
msza. Odprawiana jest w „kaplicy”, którą może

Uwaga! O tym warto wiedzieć, aby móc ustrzec dzieci przed wynaturzeniem.

Co to jest satanizm i kim są sataniści?

świecie, który został stworzony przez szatana dla
ludzi agresywnych, brutalnych i przestępczych.
Kwintesencją stosunku satanizmu do Kościoła są
czarne msze — bezczeszczenie obrzędu mszy
chrześcijańskiej.

SKĄD SATANIZM W POLSCE.

Potrzeba identyfikowania się z idolami, poła-
czona z chęcią wyodrębnienia się z tłumu, powo-
duje, że polska młodzież wzorem zagranicznych
równieśników tworzy podkulturę typu punk, skin-
head, białe sznurówki czy wreszcie sataniści.
Ci ostatni rekrutują się najczęściej spośród fa-
nów krajowej i zagranicznej muzyki rockowej,
zwłaszcza heavy metal i jej odmian: satanic me-
tal i black metal. Ta muzyka, jej specyficzny
rodzaj, może powodować u słuchaczy prezen-
towanie skrajnych postaw i zachowań. Także at-
mosfera koncertów, sztuczne ognie, świece dymne,
charakterystyczna wykonawców wywołuje u mło-
dych słuchaczy potrzebę utożsamiania się z auto-
rami widowisk.

Wzorcowe zachowań, ubioru, symboliki, sataniści
w Polsce zaczerpnęli z zachodnich czasopism mu-
zycznych, okładek płyt. Wzorów dostarczała
coraz częściej swobodnie docierająca do naszego
kraju publikacje satanistyczne, w tym filmy wi-
deo. Także prasa polska zdaje się „nadrabiać
opóźnienia” w tej dziedzinie.

SATANISTA — KTO TO TAKI?

Pochodzenie społeczne polskich satanistów sta-
nowi przekrój wszystkich środowisk miejskich.
Wśród tej grupy są dzieci z rodzin inteligencji
naukowo-technicznej, nauczycielskich, robotni-
czych, kadry zawodowej Wojska Polskiego, a
także osób przebywających za granicą. Wiek sa-
tanistów waha się od 15 do 20 lat. Jest to naj-
częściej młodzież uczęszczająca do szkół średnich.
W sporadycznych przypadkach należą uczniowie
szkół podstawowych lub osoby nigdzie nie pra-
cujące i nie uczące się. Co charakterystyczne,
wśród satanistów nie ma mieszkańców wsi i stu-
dentów.

Na razie nie trudno mówić o strukturze demo-
nistów, bo taką nazwę też można spotkać, acz-
kolwiek mają pewną hierarchię. Najważniejszy
w grupie jest przeor, kapłan lub kardynał. Wszy-
stkie te określenia są tożsame. Przeor wyróżnia
się noszeniem stopy z umieszczonym symbolem
odwróconego krzyża i jedynie on ma prawo od-
prawiać czarną mszę. O stopień niżej jest wta-
jemniczony — osoba „ochrzczona” przez kardyna-
ła diabelskim imieniem. Najniżej w tej hierarchii
jest sługa czyli osoba „terminująca”, która musi

być ementarz, grobowiec, piwnica, ruiny — czy
nawet miejsce na otwartym terenie. Podczas mszy
widnieją elementy symbolizujące śmierć, np. trum-
na, czaszka, szkielet. Na ołtarzu składane są
krwawe ofiary z psa, kota lub ptaka. Niedodac-
ną częścią obrzędu jest deptanie krzyża i odda-
wanie modły na symbole religijne. Kończą mszę
orgie seksualne na ołtarzu. Osoby biorące udział
z reguły są pod wpływem środków odurzają-
cych.

Wprawdzie morderstwa na dzieciach w woje-
wództwie piotrkowskim i wydarzenia po zabój-
stwach („Odgłosy” nr 39) mogą sugerować m-
derstwa rytualne, ale na szczęście są to tylko
pogłoski.

GŁÓWNE SKUPISKA

Trudno ustalić nawet w przybliżeniu liczbę
wyznawców tej wiary. Wiadomo jednak, że naj-
większe skupiska satanistów występują w Szcz-
ecinie, Trójmieście, Toruniu, Bydgoszczy, Warsza-
wie, Wrocławiu, Lublinie, Krakowie, Katowicach
i Zabrzu.

Z opinii teologów protestanckich zrzeczonych w
Polskiej Radzie Ewangelicznej:

„Starając się zdefiniować satanizm, w żadnym
wypadku nie można określić go jako religię, po-
nieważ w założeniu swym jest antytezą religii,
zjawiskiem wypaczonym, któremu dorabia się na
siłę ideologiczną. Religia ma za zadanie sublimować
najlepsze cechy człowieka w kierunku dobra,
czynić go coraz lepszym, przydatnym społeczeń-
stwu w każdej sytuacji. Satanizm natomiast ad-
duje wszelkie zło, utożsamia się ze złem, prze-
mocą, gwałtem. Odwołujemy się do zła, zła
jest z punktu widzenia człowieka wierzącego wy-
naturzeniem, ponieważ ludzie zawsze stonili od
zła, zła, zaczęli się w grupy, powstawały
kościóły, a cel był zawsze ten sam — odżegnanie
się od zła i dążenie ku dobremu. Przyjąć moż-
na z całą stanowczością, iż ruch satanistów
jest ruchem antyreligijnym, mającym za zwa-
żać. Pomijając już aspekt religijny, stwierdzić
należy także, że jest to ruch bardzo destrukcyjny
społecznie, gdyż jego ideologia, o ile o czymś
takim można mówić, to propagowanie siły, bru-
talności, przemocy, niecierpliwości z zasadami
współżycia, z porządkiem prawnym, co dla mło-
dych wychodzących w życie ludzi może być bar-
dzo atrakcyjne”.

BOGUMIL A. MAKOWSKI

W mroźny poranek 25 stycznia 1831 r. zdumieni mieszkańcy Warszawy dostrzegli formację się na dziedzińcu przed Uniwersyteckim dworem pochód. Na czele kolumny stał młody oficer 9 pułku piechoty Józef Meyzner, trzymający na żółtym wstęgu trójkolorową szarfę — symbol wolności ludów. Za nim posępował żołnierz z korpusu wolnych strzelców pod komendą ppłk. Karola Geritza oraz gwardziści narodowi z bronią pochyłą na kołach. Księża bazylianie porzuciwszy spoczywającą na skrzyżowanych karabinach czarną trumnę. Na spowitym krepą wieku leżał wieniec laurowy i trójkolorowa kokarda. Po bokach trumny widać było pięć tarcz nagrobnych z wypisanymi na nich imionami Rylejewa, Bestużewa, Pestla, Murawiewa i Kachowskiego — dekabrystów rosyjskich, skazanych przez cara Mikołaja I za udział w przygotowaniu zbrojnego powstania w grudniu 1825 r. na haniebną meceniasz śmierć przez powieszenie.

Za trumną stali członkowie Towarzystwa Patriotycznego i młodzież akademicka w mundurach gwardzystów honorowych. Młodzie gwardziści trzymali w rękach tajemnicze chorągwie, których białą płaszczyznę wypełniał czerwony krzyż oraz napis „Za naszą i waszą wolność”. Po drugiej stronie płała chorągiew widniała także sam napis w języku rosyjskim. Tu i ówdzie szumiały błękitne sztandary uniwersyteckie, symboliczne chorągwie rosyjskie oraz chorągwie bojowe z hasłem: „Tym, którzy w boju przegrali, słońce, dwie drogi — zwyciężyć lub zginąć”.

Przed rozpoczęciem patriotycznej manifestacji przemówił komendant gwardii akademickiej, profesor filozofii UW Krystyn Lach Szymra, po czym pochód ruszył w stronę placu Zamkowego. Przed kolumną Zygmunta wygłosił plomienne przemówienie inicjator manifestacji, sekretarz Towarzystwa Patriotycznego Adam Gurowski, ubrany w mundur rosyjski i czerwoną konfederatkę z białym piórem.

Z różnych szuflad

Rodowód hasła: „Za naszą i waszą wolność”

W swoim wystąpieniu wyjaśnił cel manifestacji i znaczenie wianuszkowego na chorągwiach hasła „Za naszą i waszą wolność”. W tym czasie o kilkadziesiąt zaledwie kroków oddalony obradował sejm powstańczy nad przyjęciem aktu detronizacji cara Mikołaja I jako króla polskiego. Następnie orszak udał się do pobliskiej cerkwi, skąd po wysłuchaniu mowy Tadeusza Krępowieckiego ruszono pod Arsenał, a potem ulicami Świętojańską, Grodzką, Długą i Przejazd do kościoła karmelitów na Lesznie, w którym do niedawna mieściło się więzienie, a już zaczynała krążyć piosenka kompozytora Rajmolda Suchodolskiego:

Kto powiedział, że Moskale
Są to oraciu nas, Lechitów,
Temu pierwszy w łeb wypalę
Przed kościołem karmelitów.

Tu pochód zatrzymał się ponownie, zaś stosowne przemówienie o cnotach meceniasz wolności wygłosił Józef Meyzner. Po powrocie i przemówieniach Franciszka Grzymały i Ignacego Adria-na Doroskiego podjęto uchwałę o usypaniu w ogrodach Belwederu pięciu kopców na pamiątkę tych „co śmiercią opłacił chęć za prowadzenia wolności w Rosji”. Po kilku dniach batalion uczestniczący w manifestacji wolnych strzelców, popularnie zwany „piekielnikami” postanowił czarną szarfę, w którą przybrał, obrzucić na religijny obłęd, nie przedzielił, tak jak i orszak złożył, dopóki Rosjanie, również pragnący wolności konstytucyjnej, cieszyć się nią nie będą.

Co do autorstwa hasła zdania publiczności warszawskiej były podzielone. Jedni przypisywali jego autorstwo członkowi Rządu Narodowego głośnemu historykowi Joachimowi Lelewelowi, inni skłonni byli przyznać je Adamowi Gurowskiemu. Adam Mickiewicz w „Pieśniach Polskich” z 5 kwietnia 1833 r. nie ujawnił nazwiska autora hasła, pisząc enigmatycznie: „Miał w sobie ducha polskiego ten człowiek, który w rewolucji napisał na chorągwiach polskich „Za naszą i waszą wolność” i wyraz „waszą” położył przed wyrazem „naszą” wbrew całej dawnej logice dyplomatycznej”. Nikt jednak dnia tego nie przypuszczał, że to dożalanie użyte lasło zrobi tak zawrotną karierę w kształtowaniu świadomości narodowej Polaków.

Już 13 lutego 1831 r. „Gazeta Warszawska” (nr 42) doniosła, że „chorągwie, które robia dla wojska naszego, mają mieć napis z jednej strony polski, z drugiej rosyjski, „Za naszą i waszą wolność”. Po dziesięciu dniach toż same pismo informowało, że wykonano już mnóstwo takich chorągwi z przeznaczeniem masowego oddawania ich w ręce nieprzyjaciela. Michał Chodźko w 1841 r. wspominał: „Wojska polskiego przednie straża pod Grochowem wywieszały chorągiewki z takim napisem. Kilka z nich dostało się do obozu cara i zwierzchność nie bez trudności zdolała je wydrzeć niższym stopniom”. Podobne zdarzenia opisał również inni pamiętnikarze biorący udział w bojach powstańczych. Oczywiście chorągiewki te były porzucane dla wywołania doraźnego efektu psychologicznego i propagandowego. Sztabowcy polscy nie przewidzieli jednak, że prosty żołnierz i podoficer rosyjski był zwykłym niepiśmiennym, zaś kadra oficerska odnosiła się wrogo do insurgenów. Zamiast propagandy idei powstania chorągwie stały się łatwym do zdobycia łupem wojennym. Teofil Lenartowicz w wierszu „Sowiński” (1859) sugestywnie przedstawił znane nam już tylko z opowieści zdarzenie:

Biedne chłopcy od Moskwy, od fińskiej zatoki,
Zawracając opilstwem obłąkane wzroki,
Zgroza knuta służąc za narzędzie carom,
Kłękali na zagubie tym polskim sztandarom,
Które dziś już pogniły jeszcze carów straszą:
„Za wolność wszechświatową, za naszą i waszą”.

I chociaż formalnie nie będąc sztandarem wojskowym propagandowa chorągiew powstańcza stała się dla zwycięzcy istotnym trofeum wojennym i zawiła u stropu cerkwi kremlowskiej. Pisał w 1857 r. Mieczysław Romanowski w pięknym wierszu „Sztandary polskie w Kremlu”:

Grzmiały hucne dawony na Kremlu szczytach,
Car święte słucha ofiary,
A na wyniosłych cerkwi sufitach
Polskie się chwileją sztandary.
„Stawa, o! stawa! — zagrzemiali chóry —
W pęta car zakutę naszą!”
I zasumiała odpowiedź z góry:
„Za naszą wolność i naszą!”
„O! buntowczyki po carskim słowu
Przysięgli na zgnębie naszą!”
I zasumiała u góry znów:
„Za naszą wolność i naszą!”
Umilkły śpiewy, zgasty ofiary,
Car słucha, szepły go straszą...
Spojrzał — nad głową szumią sztandary:
„Za naszą wolność i naszą!”

Nie dziwnego, że wśród pamiątek narodowych, odzyskanych na mocy art. XI traktatu ryskiego wróciły do kraju również tamte relikwie — sztandary polskie z wiersza Romanowskiego.

Przy okazji warto sprostować rozpowszechniony we współczesnej historiografii błąd polegający na utożsamianiu tzw. chorągwi manifestacyjnych z okresu powstania styczniowego z napisem dwujęzycznym „W imię Boga za naszą i waszą wolność” z chorągwi z hasłem „Za naszą i waszą wolność”, używanymi w celach propagandowych w powstaniu 1831 roku.

ANDRZEJ KEMPA

NR 44 (1596), 29 PAŹDZIERNIKA 1988 R.

1

Pod prąd

Pod psem

W Berlinie Zachodnim żyje ponad 2 200 tysięcy ludzi i — jak obliczono — 80 tysięcy psów. Obliczono również, że zwierzęta te, wyprowadzane na spacer, pozostawiają po sobie na berlińskich placach i ulicach, a także zapewne w parkach około 17 ton ekskrementów. Nie rocznie, nie miesięcznie, ale dziennie, proszę Państwa. Siedemnaście ton dziennie! A to, nawet w tak dużym mieście, jak Berlin, dużo, bardzo dużo. Stąd też problem wcale niebłaży, bo przecież coś z tym jednak trzeba zrobić. Ale co? Pomysłowi i lubiący porządek berlińczycy postanowili rozwiązać ów problem także radykalnie, co prosto, i od niedawna wprowadzono kary w wysokości 200 marek dla tych właścicieli czworonogów, którzy po swoich pupilikach nie posprzątają. Na razie brak jeszcze informacji, jak posunięcie to wpłynęło na poprawę czystości w miejscach publicznych, ale znając Niemców, którzy stanowią większość społeczności zachodniobermberskiej, można się spodziewać, iż teraz biegają oni po ulicach ze szczenkami i szufelkami, lub czymś w tym rodzaju, w obawie przed narażeniem się władzy, jak również, a może przede wszystkim — przed utratą całkiem niemałej sumy pieniędzy.

W Łodzi żyje 850 tysięcy ludzi oraz — przyjmując, że stopień „upsienia” Polaków i Niemców jest dziś mniej więcej taki sam — prawdopodobnie około 35 tysięcy psów. Z prostego rachunku zatem wynika, iż łódzkie psy każdego dnia „odrabiają” miasto ponad 8 tonami swoich odchodów, których, rzecz jasna, jak to u nas nikt nie chce dobrowolnie sprzątać, a już najmniej — właściciele psiaków jednolitego wielorodowu, choć to właśnie oni powinni.

Jak my rozwiążemy ten brudny i — przepraszam — za słowo — śmierdzący problem? Czy pójdziemy może śladem berlińczyków?

Niestety, obawiam się, że nie pójdziemy. I to nie tylko tym śladem, ale jakimkolwiek innym, gdyż nie zauważyłem do tej pory (a mieszkam już w Łodzi „parę” lat), abyśmy w ogóle chcieli ruszyć się z miejsca. Zdaje się, że łódzkie władze nie widzą po prostu takiej potrzeby, a jeśli może nawet widzą, to najpewniej uważają, że nie godzi zniżać się im do poziomu — znów proszę o wybaczenie — zasnętego chodnika. Ona mają dużo ważniejsze sprawy na głowie niż psie ekskrementy, cuchnące pojemnikami na śmieci przed domami, czy też na przykład systematyczną dewastację łódzkich parków i zieleńców, które obecnie są zaledwie cieniem swej dawnej świetności, co starsi łódzianie doskonale jeszcze pamiętają. Ona są ponad to, a w każdym razie takie sprawy sprawiają wrażenie, choć moim skromnym zdaniem, dawno już powinny skutecznie zająć się poprawą czystości w mieście, które — nawiasem mówiąc — uchodzi za jedno z najbrudniejszych w kraju.

Ala załóżmy w przypływie niepoprawnego optymizmu, że łódzkie władze wzięły przykład z Zachodniego Berlina i jednak wprowadziły od dzisiaj kary w wysokości, powiedzmy, 20 tysięcy złotych dla tych, którzy po swoim Reksiu, Burku bądź Azorze nie posprzątają na ulicy. Czy myślicie, że coś by to dało? Niestety, znów przypuszczam, że nie, gdyż najpewniej okazałoby się, że nie ma po prostu tych kar kto... nakładać i ścigać. Teoretycznie bowiem powinni robić to milicjanci, ale przecież oni, jak uczy doświadczenie, też są stworzeni do wyższych celów, czego najlepszym przykładem, że prawie żaden mundurowy nie zareaguje, kiedy rzuciś papierkę na trawnik, podepczesz rosnące na nim kwiaty lub też ułamiesz gałąź z drzewa. Obserwowałem to już dzie-

lątki, może setki razy. Na niszczzenie zieleni nasza milicja od bardzo dawna jest ślepa jak stary kot, któremu byle mysz może zagrać na nosie. I o to mam do niej największe pretensje.

Słowem, tak, czy tak — czarno widzę. Ewentualnych polemistów proszę zaś z góry, aby nie przekonywali mnie, że to społeczeństwo powinno, że gdyby każdy zaczął od siebie, że trzeba apelować... Bzdura, moi kochani! Bo przecież gdyby tak właśnie było, każdy Polak pracowałby dziś jak Japończyk albo Koreańczyk i nie skarżył się, że tak kiepsko mu się żyje. Alboż to mało razy apelowaliśmy już o lepszą pracę?

A swoją drogą, to dziwny naród ci Koreańczycy. No bo, że wydajnie pracują, bogacą się, zalewają rynki najnowocześniejszą elektroniką i nie tylko, zgoda. Ale że jedzą też swoje psy, to już chyba lekka przesada, czyż nie?

JÓZEF RETMAN

2

Gdyby wszystko było normalnie...

W czasie wakacji postanowiłem nie czytać żadnych czasopism. Odpocząć chciałem, odetchnąć powietrzem, nasycić wzrok zielenią słowem kontemplować przyrodę. Szkoda tylko, że powietrze u nas nie należy do najświeższych. Z „Tygodnika Powszechnego” (czytanego już po powrocie) dowiedziałem się, że według japońskiej sondy kosmicznej, tu gdzie leży Polska nie powinno istnieć życie. No proszę, nie powinno, a istnieje, wygląda więc na to, że jesteśmy przyrodniczo ciekawostką.

Ciekawostkę w tym kraju zresztą wiele, szczególnie gospodarczych, boć czy nie jest rzeczą interesującą, że Port Północny stoi pusty, nie ma w nim statków. Albo, że Polacy rokrocznie „otrzymują w postaci przesyłek, darów, spadków bądź transferu zarobkowych za granicą pieniędzy około miliarda czterystu milionów dolarów (...) czyli licząc po wolnorynkowym kursie, około dwóch bilionów stu miliardów złotych”. Bez tych pieniędzy dopiero byłby kryzys! Ale omyli ciekawostkami niech się zajmą ekonomiści, ja na szczęście na gospodarce nie znam się zupełnie. Na studiach ekonomię zdawałem trzy razy i do tej pory nie mogę zrozumieć praw, które rządzą gospodarką socjalistyczną. Z przykładów ekonomicznych najlepiej przyswajam te, które prowadzi Kisiel w swoich felietonach, u niego przynajmniej wszystko jest klarowne.

Teraz, po powrocie z urlopu, muszę powiedzieć, że szczerze żałuję mojej decyzji, by nie czytać żadnych czasopism. Nazbierało się tego ro niemiara i czasu trzeba temu zajęciu poświęcić nazbyt dużo, ale to nie byłoby jeszcze takie straszne. Otóż rzecz o wiele gorszą jest fakt, że kiedy do chwili obecnej, to znaczy do momentu gdy piszę ten tekst, przejrzałem zaledwie numery „Życia Literackiego”, „Polityki”, „Tygodnika Powszechnego” (nie wspomnę już o „Odgłosach”, które oczywiście czytałem w pierwszej kolejności) to tylko zawroty głowy się nabawiłem. Bo co to też się nie wyprawia! Pisać można prawie o wszystkim, pisze prawie o wszystkim, pisze prawie o wszystkim to jeszcze nie ma, ale nie z tego nie wynika i to, że nie wynika też już zauważono i też nie. Kolo się więc zamyka.

„Polityka” w jednym z artykułów pyta „Czy możemy się

wybić na normalność?” i słusznie pyta, bo to przecież jedyna szansa, by z państwa nienormalnego stać się normalnym. Na razie jednak droga do normalności daleka, a najgorsze, że w ogóle nie bardzo wiadomo jak ją znaleźć. Odkreślić ten galimatias to zadanie chyba dla jakiegoś czarownika, a na owoch panów w dobre racjonalnego myślenia posucha straszna.

Przed paru laty, gdy często podróżowałem pociągami, przyszedł mi do głowy taki pomysł: co by było, gdyby nagle pociągi zaczęły jeździć punktualnie, tak by zegarki można było według nich regulować? Podejrzewam, że wtedy wszystko, dokładnie wszystko by się zawalilo, w tej całej nienormalności nagle coś stało się normalne, koniec świata!

Rozwiniemy jeszcze naszą wyobraźnię, to wolno nam zawsze. Dalej więc: oto cała nasza żywność jest dobra i zupełnie zdrowa. Mleko jest z czystych wymion i świeże, ser żółty zawsze tak samo smakuje, śmietana jest śmietana i tak dalej. Ciekawe tylko, czy ziołotyby to nasze żołnaki, które przecież przyzwyczaili się do tych „smakotytków”.

Nie zatrzymujemy się, jak fantazja to fantazja, oto urzędów jest o połowę mniej, a w nich miłe panie urzędniczki i sympatyczni urzędnicy. W restauracjach usmiechnięci kelnerzy, w autobusach komunikacji miejskiej nie ma tłoku, rzeki, jeziora, morze i powietrze czyste...

Rozpedziłem się chyba za nadto. Wyobraźnia to rzecz piękna i często w życiu pomaga, ale kiedy jest jej za dużo, to może nie wytrzymać układ nerwowy człowieka i wtedy dramat! Przerwywam więc, jak sądzę w odpowiednim miejscu, by siebie i innych nie denerwować i zostawiam świat fantazji, bo żyjemy tu gdzie żyjemy i to nienormalność jest naszą specjalnością.

A ksiądz Chmielowski w swojej encyklopedii pisanej w XVIII wieku (bardzo rozrywkowa to lektura) na pytanie: „Co w Polsce jest złego?” odpowiadał: „Złe są Rządy, złe drogi w Polsce, złe mosty, złych ludzi bez liczby, że nie mają chłosty”.

TOMASZ A.
WŁODKOWSKI

3

Sport

Chęć do gry

Sprawozdawca meczu między drużynami Polski i Albanii powiedział w pewnym momencie, że Andrzej Rudy przejawia chęć do gry. A zaraz potem okazało się, że Ryszard Komornicki był bardzo zdziwiony, że powołano go do reprezentacji. Ogłędając to nie najlepsze widowisko też byłem zdziwiony. Jeśli coś się naszym piłkarzom udawało w środku boiska, to pod albańską bramką była całkowita klapa. W końcu jakoś udało się wepchnąć tę nieszczęsną piłkę do albańskiej bramki i polski zespół zajął 2 punkty. Ale o cenie stanu naszej drużyny zmienić to w żaden sposób nie może, jest on nadal nie najlepszy. Sama chęć do gry nie wystarczy, trzeba jeszcze umieć grać. A tego właśnie naszym piłkarzom brakuje jakby najbardziej.

Sięgam do gazet sportowych i czytam tytuły sprawozdań ze spotkań piłkarskiej I ligi. Oto one: „Zakalec” — to o spotkaniu Widzewa z chorzowskim Ruchem. „Poziom podwórko” — to o spotkaniu wai-brzyskiego Górnika z Jastrzębiem. „Bez kręgosłupa” — to tytuł relacji remisowego meczu między wrocławskim Śląskiem a krakowską Wisłą. „Nierówne połowy” tak zatytułowano sprawozdanie z meczu Górnika Zabrze — Pogoń Szczecin. I wreszcie „Ryby w sieci” — tytuł relacji z meczu GKS Katowice — Jagiellonia Białystok. Wystarczy! Tytuły te

wiernie oddają poziom ligowej piłki nożnej w Polsce. Można je jeszcze uzupełnić tytułami sprawozdań z meczów II ligi i mamy pełny obraz. Oto niektóre: „Mniej niż zero”, „Od-bijanie od dna”, „Głowa w mur”, „Szaro”, „Sto mil od... ligi”.

Oglądając mecze ligowe i czytając sprawozdania z tych meczów można wyrobić sobie monotonna smutny obraz naszej piłki nożnej. Ale czytałem też reportaże z przygotowań do meczu z Albanią w Kamieniu. I tu niektórzy byli optymistami. Widzieli nie tylko wysoką wygraną w Chorzowie, ale już siebie i polski zespół na boiskach Włoch. A przecież droga jeszcze długa, możliwa i wcale nie ma pewności, czy na końcu coś tam błysnie w piłkarskim tunelu.

Reportery katowickiego „Sportu” zapytali niepoprawnych optymistów o końcowy wynik meczu na chorzowskim stadionie. Na 13 zapytanych nie wytypowało wyniku czterech. Pozostali widzieli wysokie zwycięstwo polskiego zespołu. Jedyny Jan Furtok zakładał, że Albańczycy strzelą nam gola, a my im 4. Robert Warycha oczyma wyobraźni widział już 4:0. Józef Wandzik był ostrożniejszy i typował 2:0. W praktyce okazało się, że lepiej mi idzie przewidywanie, które się nie sprawdza, niż łapanie piłki. Ze trzy razy kibice na stadionie i przed telewizorami truchleli po nieudanych paradach polskiego bramkarza. To cud, że Albańczycy z tych okazji nie skorzystali. Raz przed golem uchronila nas interwencja obrońcy. Stanowczo Józef Wandzik nie był w dobrej formie.

Andrzej Rudy, który na boisku wykazywał chęć do gry, co tak zastanawiało naszego telewizyjnego sprawozdawcę, był ostrożny w typowaniu wyniku. Powiedział: — w najgorszym wypadku 1:0 — i zgadł. Tyle tylko, że był to w najlepszym wypadku, bo parę razy mogło być gorzej. Widać Andrzej Rudy obok chęci do gry przejawia od czasu do czasu realizm i potrafi naszą drużynę właściwie ocenić.

Albańczycy, jak przewidywano, dobrzy są technicznie, ale brak im kondycji i taktyki. Zespół to amatorski, ale uparty i ambitny, może jeszcze niejedną sprawić niespodziankę. Nasi są niby zawodowcami, ale — jak się okazało — nie potrafili sobie poradzić z dobrymi amatorami. Co będzie, gdy na boisku stanie przeciw nim doświadczone i przygotowane jędrastka prawdziwych zawodowców? Lepiej tego sobie nie wyobrażać. Przyjdzie to przecież.

Krakowskie „Tempo” sztychło przed meczem: „Wielka mobilizacja przed małą Albanią. Z armatą na mące?”. Może to stwierdzenie niezbyt eleganczkie, ale — niestety — okazało się słuszne. Tyle tylko, że nasza armata była rozkalibrowana, stara i mało przydatna do strzału. Ale trener kadry — Wojciech Łazarek może być zadowolony. Pierwszą połowę Polacy wprawdzie zremisowali, za to drugą — wygrali. Dzięki temu wygrali cały mecz, dzięki temu remisowi w pierwszej połowie. Można powiedzieć, że była to napoleońska taktyka.

Eliminacje rozpoczęto, ale czas wracać na ligowe boiska. Znowu będzie ligowa, szara kopanina. W tej szarej kopaninie fatalnie wypadają oba łódzkie zespoły. Można bez większego ryzyka powiedzieć, że łódzkie drużyny piłki nożnej weszły w okres ostrego kryzysu. Czy z niego wyjdą? I kiedy to się może stać?

I na zakończenie pragnę donieść Czytelnikom, że kolejna próba transferu naszej fałszywej gwiazdy piłkarskiej — Dariusza Dziekanowskiego nie udała się. Powrócił do Legii i czeka następnej okazji. Wspominam o tym bez satysfakcji, gdyż żał mi tego młodego człowieka, któremu wyznaczono krzywdę wciągając mu to, czym nie jest. A on — niestety — uwierzył. Sprawdziany w zagranicznych klubach przywracają prawdziwy obraz. Bolesna to operacja. Może jednak pomoże?

BOGDA MADEJ

ODGŁOSY 15

Zdumiał się graf Fulko nad przebiegłością wodzów Piastu-
na i pożałował, że to nie on
wymyślił owe koczaste kule,
przez co w ciągłych walkach
ze Skrzydlatymi stracił wielu
swoich żołnierzy. Nie zastraszo-
no go na naradę wojenną do
Gnieźda, że jednak się dy-
widział, że najpierw do bitwy
za Skrzydlatymi ruszą tar-
czownicy, a potem dopiero kon-
nica. Dopiero teraz pojął dla-
czego tak być miało. Poczuł
podziw dla przemysłowości Pia-
stuna, lecz nienawisć dla nie-
go było w nim więcej.

Lecz Piastuna nie zadowala-
ły koczaste kule wykute przez
kowalów Awdanów. Wciąż go
gnębiła myśl, że istnieje jakas
tajemnica niezwykłości
Ludzi Skrzydlatych.

— Zastanawiające — zastana-
wiał się głośno Piastun — kraj
Ludzi Skrzydlatych, gdy mi go
na pergaminie wyrzucił He-
rim, jest tak mały, że mogłem
go nakryć połową swej dłoni.
A jednak nikt go dotąd nie
pokonał. Opowiadają, że kiedyś
próbował to uczynić Karak i
poniósł klęskę. Zyskał tylko
tyle, że corocznie danię od
nich otrzymuje. Wojna omija
ten kraj, ale ja muszę przez
niego przejść, aby się kiedyś
zmierzyć z Karakiem. Nie czas
na małe państewka. Trwa wy-
ciąg, kto przylączy do siebie
więcej i więcej. Potem duże
państwa zastygną w swej po-
tędzie i zaczną się wielkie woj-
ny, po każdej zaś stronie sta-
nie niezmierzona siła. Łabędziu
Rudy, ty jesteś z rodu ptasie-
go, musisz więc znać tajemni-
cę Ludzi Skrzydlatych.

Łabędź Rudy był ostatnim z
potężnego ongiś rodu Łabe-
dów. Wygubił ich Piastun,
podobnie zresztą jak innych
możnych, choćby Duniów. Ale
jego ocalał i pozwolił się roz-
mnażać. Nagle wezwwał Łabe-
dza przed swoje oblicze i teraz
o Łabędź Rudy jechał strze-
mię w strzemię z najpotężniej-
szymi ludźmi Kraju Polan —
z kowalem Awdanem, ze znie-
nawionym grafem Fulką, a
przede wszystkim, z samym
Piastunem — przedziwnym i
groźnym.

— Masz panie rację, sądząc,
że pochodzimy od Ludzi
Skrzydlatych — rzekł ostrożnie
Łabędź Rudy. — Ale to roz-
dzielenie nastąpiło już dawno,
gdy żyli jeszcze starodawni
Spalowie, twoja krew, panie.
Naszym ptakiem jest dostojny
Łabędź, oni zaś, Ludzie Skrzy-
dlati, czczą bociany. I konie.
Tak naprawdę jednak to róż-
nym ptakom cześć oddają i
wyrzucają im pióra, a potem
budują z nich skrzydła, aby się
do ptaków upodobnić. Latać
nie potrafią, czcząc jednak ko-
nie stali się najlepszymi jeźdź-
cami. Mając pod sobą konie, a
na plecach skrzydła ptasie, są
niezwykłości. Kiedy nadjeżd-
żają, to jest tak, panie, jak
gdyby straszliwy wichur się
zbił. I nie znam konia, któ-
ry by się nie spłoszył, słysząc
ten okropny szum.

— Nie ma więc w ich sztuce
wojennej żadnych czarów?

— Nie, Piastunie. Po prostu
nie wolno z nimi walczyć jaz-
dą, lecz piechurami.

Łabędź Rudy powtórzył to, o
czym Dago wiedział od ludzi
znających kraj Skrzydlatych i
od zwiadowców. Ale nie ufali
nikomu i dlatego wybrał się na
kraniec swego państwa, aby na-
ocznie i na miejscu przekonać
się, jakie pułapki i jakie nie-
bezpieczeństwa mogą im zagra-
żać. Nie dziwiło to nikogo z
otoczenia Piastuna, gdyż praw-
dą było, że ich władca nie
tylko stawiał na czele swych
armii, ale lubił walczyć samo-
trzęd, narażając się na naj-
większe niebezpieczeństwa. Tył-
ko graf Fulko był tym zdziwo-
ny i jadąc strzemię w strzemię
z Piastunem, co chwila obrzu-
cał go baczny spojrzeniem,
zastanawiając się, co by się
stało, gdyby nagle wyciąg-
nął miecz z pochwy, dając nim
niczego nie spodziewającego się
Piastuna, zabił go, a potem
uciekł do Ludzi Skrzydlatych
lub do Karaka. Czy ostatek się
wówczas Kraj Polan, jeśli-
by na niego napadli Skrzydlati
albo nadszedł Karak z He-
gundą?

I tylko jedno powstrzyma-
ło Fulkę: myśl, że Piastun po-
siada moc czynienia czarów, a
więc wyciągnięty z pochwy
miecz Fulki mógłby nagle za-
mienić się w węże lub zwio-
nać jak gracie po wyjściu z
kobiety. Czarów Dagona do-
świadczył już Fulko podczas
pierwszego z nim spotkania, a
potem, gdy poznał Kraj Polan,
nikt już nie był w stanie po-
zbawić go przekonania, że bez
pomocy czarów w tak krótkim
czasie potrafił ów Dago swo-
rzyć niemal z niczego sil-
ne państwo.

Nienawidził Fulko owego Da-

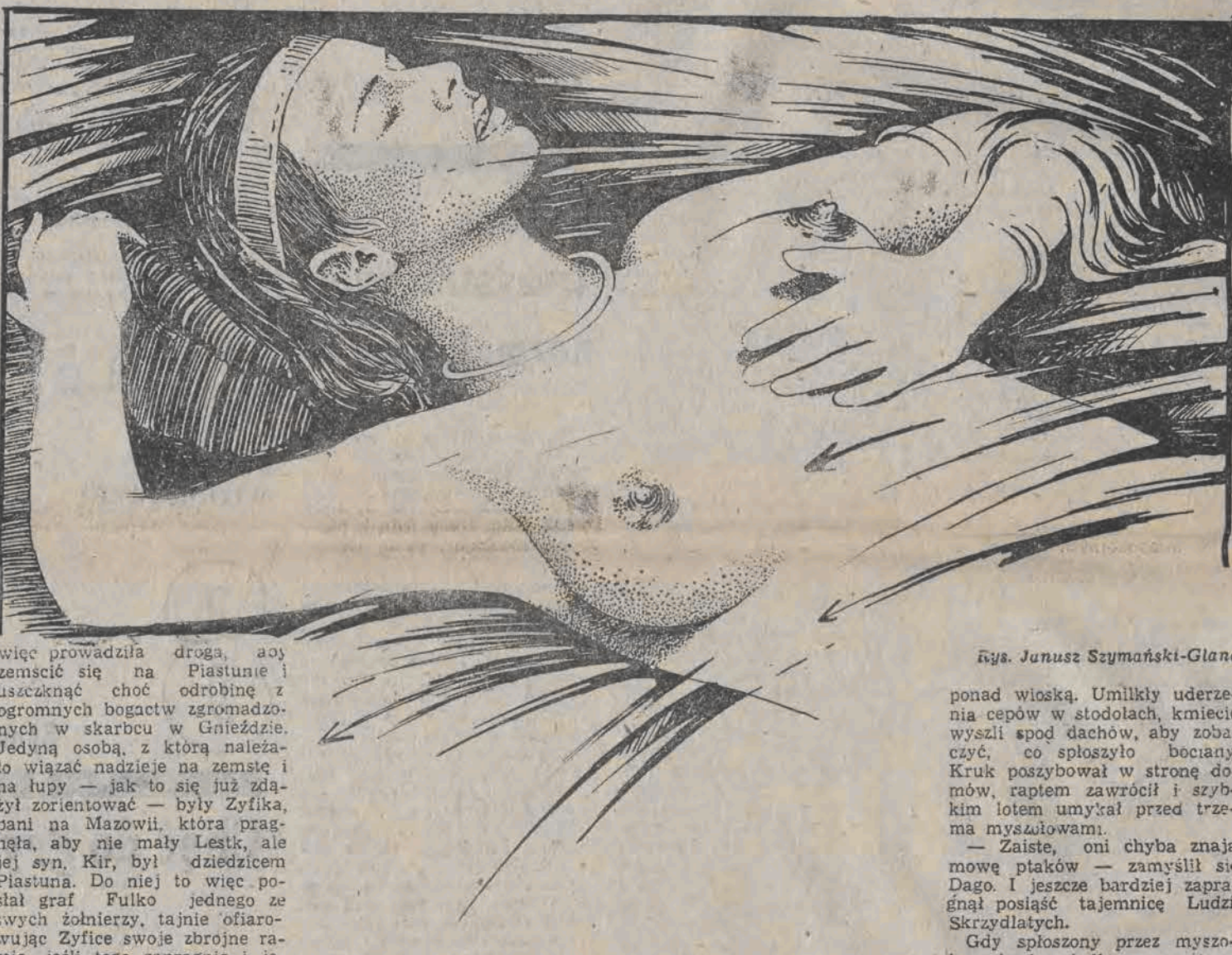
gona. Nienawidził go całą du-
szą i całym swoim umysłem.
Nigdy nie zapominał upokorze-
nia, jakiego doznał podczas ich
spotkania nad Notecą, gdy na-
gi i bezbronny Piastun odebrał
mu Arne i władzę nad wojow-
nikami z Jumna, a potem las-
kawie ową władzę zwrócił i
pozwolił zbudować obóz nad
Nerem. Po co to uczynił? Do
jakich celów tajemnych chciał
użyć grafa Fulko i jego żoł-
nierzy? Dlaczego — choć obie-
cał im podwójny zółd — da-
wał tak mało żywności i pie-
niędzy, że żołnierze musieli ra-
bować sąsiednie wioski i bu-
dzili u ludu coraz większą nie-
nawisć?

Mógł oczywiście graf Fulko
zebrać swoich żołnierzy i spró-
bować przedrzeć się przez kraj
Ludzi Skrzydlatych, aż do Ka-
raka i Hegundy, jak to obie-
cał księciu Hokowi. Ale pom-
ny na czary Piastuna i po-
znawszy potęgę jego armii, nie
wierzył już, aby Hegunda kie-
dykolwiek mogła powrócić na
tron w Gnieździe. Nie tędy

szedł.

ZBIGNIEW NIENACKI

Dagome iudex



więc prowadziła droga, aby
zemścić się na Piastunie i
uszczknąć choć odrobinę z
ogromnych bogactw zgromadzo-
nych w skarbcu w Gnieździe.
Jedyną osobą, z którą należa-
ło wiązać nadzieje na zemstę i
na lupy — jak to się już zda-
rzyło zorientować — byli Zyfi-
ka, pani na Mazowii, która pra-
gnęła, aby nie mały Lestek, ale
jej syn, Kir, był dziedzicem
Piastuna. Do niej to więc po-
słał graf Fulko jednego ze
swych żołnierzy, tajnie ofiaro-
wując Zyficie swoje zbrojne ra-
mie, jeśli tego zapagnie i je-
śli nadejdzie ku temu odpowie-
dnia chwila. Odpowiedzi od
Zyfiyki jeszcze nie otrzymał —
i aż wzdrygał się z lekku, co
z nim będzie, jeśli ludzie Spi-
cimira albo Herima chwycą po
drodce, posłańca z wieściami od
Zyfiyki. Czy nie widział, w jaki
sposób Piastun pokarał zdracę
Czesława z Czestramią?

— Panie i Piastunie — ode-
zwał się, przełamując w sobie
lęk. — Czemu nie płacisz nam
złodu, ale zmuszasz, abymy
rabowali po wioskach, budząc
tym ludzką nienawisć?

Odpowiedź otrzymał natych-
miast.

— Mówiłem ci już, grafie
Fulko. Nie płaci się żołdu żoł-
nierzom, których miecze rde-
wieją. Pierwszy uderzysz na
Ludzi Skrzydlatych. I ciebie
pierwszego, choć zobaczyć u
bram grodu Sieradza.

— Dobrze, panie — skinął
głową Fulko, gdyż nie bał się
wojny i był człowiekiem walki.

Niewiele zresztą znaczyły te
słowa Piastuna, skoro na na-
radzie wojennej w Gnieździe
ustalono, że najpierw ruszy do
boju sześciuset tarczowników
Awdanów, a dopiero potem do
walki włączy się jazda: konni-
ka Olta Powalę i Lestkowie
Piastuna. Główne uderzenie na
Skrzydlatych zaplanowano od
strony Kalisii, drugie — znacz-
nie słabsze — miało nastąpić
od strony Ziemi Łęczyców i rze-
ki Ner. Dowództwo nad naj-
większą armią powierzył Dago
wojewodzie Awdanów. Onie-
waż składała się głównie z je-
go, uzbrojonych w kule tarczow-

ników. Drugą armię poprowa-
dził kazano Oltowi Powale i
temu to młodzieńszkowski pod-
porządkować się miał Fulko
wraz ze swymi najmitami z
Jumna, co u Fulki wzbudziło
jeszcze większą nienawisć do
Piastuna. Czy to nie on bo-
wiem, prawdziwy człowiek wal-
ki, który piętnaście lat życia
strawił na nieustannych bojach,
powinien poprowadzić armię
Powalę — trzystu tarczow-
ników i dwustu Lestków?

— Bądź panie, pewny, że
pierwszy stanę u bram Siera-
dza — chętnie oświadczył
graf Fulko. — Nie wiem jed-
nak, co ty będziesz robił, Pia-
stunie, kim będziesz dowodził?

— Zobaczysz — niechętnie
odparł Dago i wysorował się
do przodu, jak gdyby nie mia-
ło mu być jechać strzemię w
strzemię z Fulką i innymi.

Zacisnął usta graf Fulko.

Nie zaproszono go na naradę
wojenną, jaka odbyła się w
Gnieździe, ale tego też się do-
wiedział, że Piastun zamyslił
przeprowadzić jakąś tajną wy-

Ale nawet tak myśląc, nie po-
trafił Fulko powstrzymać w
sobie podziwu dla owego prze-
biegłości Piastuna. Na północ-
nej granicy pozostawił wojewo-
dę Patukę i jego wojska, a
przeciw Estom kazał pilnować
granic Sauratomat Zyfiyki. Do-
brze wyposażone w żywność i
zbrojnych były wszystkie wa-
rownie i co większe grody w
kraju. Spicimirowi kazał pozo-
stać w Gnieździe i na czas
wojny uczynił go odpowiedzial-
nym za małego Lestka i za
sprawy państwa. Nawet do
oboju najmitów z Jumna do-
chodziły wieści, że Herim po-
padł w niełaskę z powodu
którego się tylko domyślano:
wstał się ponoć u Piastuna
za Zyfiikę i jej synem, Kirem.

Teraz zaś został, jak mówiono,
zesłany do Poznania, aby nie
wiedzieć czemu budować aż
trzydzieści szybkich łodzi wi-
słowych.

„Muszę mu bardzo zależeć na
tych łodziach, skoro aż Herima
wysłał do Poznania!” — rozmy-
ślał Fulko. — „Ale kto odga-

Na polach pasto się bydło, do-
jrzał jednak także dużo stado
młodych koni, które nie mogły
należeć do zwykłych kmieci.
Gdzieś dalej więc musiał być
gród lub dwór warowny.

Na ścierniskach zbierały się
już gromady szyszkujących się
do odlotu bocianów, niemal na
każdej wysokiej szopie czy ro-
sochatym drzewie znajdowało
się bocianie gniazdo. I wszę-
dzie, z każdego ogrodzenia, z
pali bram wjazdowych —
czarnymi oczodolami patrzyły
w dal konskie czaszki. Ludzi
widzieli niewiele, natomiast ze
stodół dochodziło walenie ce-
pów, zapewne kmiecie zajęci
byli młocką prosa lub żyta.

— Wyślij na zwiady swojego
kruka — Piastun polecił Aw-
danowi.

Kowal wykonał szybki gest
prawą ręką i kruk poleciał w
stronę wioski. Szybował nis-
kim lotem, ale dojrzał go set-
ki bocianów. I chyba rozpozna-
ły, że ów kruk jest obcy, za-
klekotały bowiem głośno i z
szumem skrzydeł wzniósł się

(25)

Do Ludzi Skrzydlatych po białych
plaszczach rozpoznali Lestków.
Konie przeszły w galop, szum
wzmógł się. Gdyby Piastun i
jego towarzysze pozostali na
swoich koniach, już dawno po-
niosłoby ich one w las, prze-
rażone nieznanym dźwiękiem.
Zamiast walczyć z wrogiem,
musieliby siłować się z własny-
mi koniami, próbować zatrzymać
je w miejscu.

Skrzydlati już byli o cztery
kroki, już tylko o trzy kroki...
Dago poczuł jak po jego tarczy
na plecach zesługuje się grot
oszczepu. Wtedy zanachnął się
koczasta kulą i złamał przed-
nie nogi konia, który był naj-
bliżej. Zwierzę zarżało przera-
źliwie i zwało się na głowę, a
wraz z nim spadł człowiek
Skrzydlaty. Dago dopadł go
jednym skokiem i Tyrflingiem
uciął głowę w kopolastym hel-
mie. Teraz zaatakował go dru-
gi jeździec i Dago znowu za-
machnął się koczastą kulą na
łańcuchu. Tym razem uderzył
konia w pierś. Zwierzę stanę-
ło dęba, a kiedy wojownik ze-
skakiwał z konia, Dago ciął go
mieczem. Tamten osłonił się
tarczą, która roztrzęskała się
od ostrza Tyrflinga. Wtedy
drugim uderzeniem wytrącił
mu Dago miecz z dłoni i ciął
w brzuch, odskoczył i wówczas
oderwał mu głowę od tułowia.
Rzeczywiście ranne konie, wo-
łali coś do siebie Ludzie Skrzy-
dlati, Lestkowie walczyli w
milczeniu. Awdanec ani razu
nie wyjął z pochwy swego
miecza, jego koczasta kulą
miażdżyła na swej drodze koń-
skie karki, gołonie, ludzkie
klatki piersiowe. Z ośmiu Lu-
dzi Skrzydlatych tylko jeden
próbował ocalić życie i zaczął
uchodzić z pola walki. Zgubił
go jednak szumek dla pta-
ków. Kruk Awdanec, który
podczas walki unosił się nad
wojownikami, nagle natrął na
niego i chciał mu wykluć oczy.
Wówczas Skrzydlaty, zamiast
się obronić przed ptakiem,
przeszedł go oszczepem lub
ciął mieczem, osłonił twarz
dłonią. Wykorzystał to Awda-
nec i rozkołysaną na łańcuchu
koczastą kulę rzucił mu w ple-
cy, obalił z konia, podbiegł ku
niemu i przeszył mieczem.

Z ośmiu wojowników, pięciu
było martwych, trzech rannych
dobił Łabędź Rudy. Uciął też
głowy rannym koniom, aby się
nie męczyły konając.

— To nie było takie trudne
— ocenił Dago. — Ale prawda
jest, że tylko tarczownicy z
koczastymi kulami mogą ich
pokonać.

Graf Fulko zrywał sakiewki
zawieszone u pasa zabitych
Ludzi Skrzydlatych. A kiedy
już je wszystkie pozbił, Dago,
który obserwował go z
odrobiną pogardy, wyjął ze
swej sakiewki najmniejszą i
najtańszą monetę jaką posia-
dał, jedną saige wartą jedną
dwunastą część złotego solidu,
i rzucił ją pod nogi Fulki.

— Zabierz i to, grafie.

— Czy źle czynię łupiąc po-
konanych? — zdumiał się Ful-
ko. — Taki jest przecież wo-
jenny obyczaj.

— Będziesz zawsze tylko
wojownikiem — powiedział Da-
go. — Ty weźmiesz jedną
saige, a ja całe państwo.

I rozkazał zostawiać w głąb
lasu do pozostawionych koni.

— A może też wiesz puścić
z ogniem — zaproponował Ła-
bedź Rudy.

Piastun popatrzył na rozległe
rzęsy, stada bydła, strzechy
stodół i domów z wielkimi
gniazdami bocianów. Piękny
mu się wydał ten widok i dla-
tego rzekł do Łabędzia:

— To wszystko będzie wkrót-
ce moje albo twoje, Łabędziu.
Czy warto niszczyć swoją włas-
ność?

C.D.N

Przy koniach pozostawili
oszczepy. Każdy miał tylko
swoją koczastą kulę na
łańcuchu i tarczę na plecach.
Ukryli się za paniami drzew
na skraj lasu i czekali na
wroga.

Za wałów wyskoczyło ośmiu
jeźdźców i skierowało się trak-
tem w kierunku lasu. Z po-
czątku jechali stępą, potem
przeszli w klus i wtedy usły-
szali Dago i jego ludźmi na-
stający szum skrzydeł. Jeźdźcy
nosili na plecach pałki z
uczeponymi do nich piórami
dzikich i domowych ptaków.
Pęd powietrza uderzał w pióra
i powodował ów dziwny prze-

Ziechali więc w las, lecz ten
po około trzydziestu parasan-
gów — jak tę odległość okre-
ślali Rhomajowie — nagle za-
kończył się. Ukazała się rozle-
gła przestrzeń pól i łąk oraz
zabudowania, postawione na
brzegu niewielkiego strumienia.

I znowu popędził Piastun
swojego konia, oddalając się od
Fulki. A ten pomyślał: „Zgi-
nieś wkrótce od mojego mie-
cza i będziesz żył nie sto lat,
a tylko ponad dwadzieścia”.

CERAMET
SPÓŁKA Z O.O.



PRZYJMUJE ZAMÓWIENIA NA USŁUGI REKLAMOWE

plansze informacyjne

znaki graficzne projektowanie
i wykonanie

szkice i plansze reklamowe

projektowanie wystaw i pomie-
szczeń handlowych

ZAMÓWIENIA PROSIMY KIEROWAĆ POD ADRESEM:
90-050 Łódź, skr. pocztowa 290 lub telefonicznie 36-60-11 wewn. 293

2959/K

Pewex

TAŃSZY ZAKUP!

od 5 października do 15 listopada br.

* ŁÓDŹ,
* ŁÓDŹ,
* PIOTRKÓW TRYBUNALSKI,
* SKIERNIEWICE,

w sklepach:

Marynarska 4
Piotrkowska 143
Rynek Trybunalski 7
Mszczonowska 30/32

* KASET VIDEO
* TELEWIZORÓW
* MAGNETOWIDÓW
* KOLUMN GŁOSNIKOWYCH
* RADIOMAGNETOFONÓW

Szczegóły w sklepie.

ZAPRASZAMY!
2853 K

Centrum Usług Turystycznych



Plac Wolności 10/11

tel. 36-87-45 36-10-46 32-68-34
telexy 884424 886758

O F E R U J E

ATRAKCYJNY WYPOCZYNEK W KRAJU I ZA GRANICĄ
po cenach konkurencyjnych.

Proponujemy!

— BALE SYLWESTRÓWE
— WCZASY RODZINNE I INDYWIDUALNE
— WYCIEZKI TURYSTYCZNE
— IMPREZY GWIAZDKOWE DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

Prowadzimy również REZERWACJE I SPRZEDAŻ BILETÓW LOT na liniach krajowych i zagranicznych.

2963/K

BIURO REZERWACJI I SPRZEDAŻY
Łódź, ul. Piotrkowska 122

INFORMACJA, REZERWACJA — tel. 33-48-15
33-99-98
AIR TOURS — tel. 33-48-59
TLX 886155 LOT PL

ZAPRASZA

codziennie w godz. 9—17, w soboty w godz. 10—14,
AIR TOURS w godz. 12—16.

Polecamy nasze usługi:

- Informacje na temat lotów krajowych i zagranicznych.
- Rezerwacje miejsc w samolotach polskich i zagranicznych liniach lotniczych.
- Bilety lotnicze na wszystkie trasy świata.
- Udział w atrakcyjnych imprezach turystycznych, organizowanych przez LOTNICZE BIURO TURYSTYKI AIR TOURS.

2926/K

UWAGA FOTOAMATORZY!



OTRZYMASZ BEZPŁATNIE FILM KOLOROWY.

jeżeli

z Twojego negatywu wywołanego u nas wykonamy co najmniej 20 dobrych zdjęć!

- Wywoływanie filmów ORWO, AGFA, KODAK i innych w urządzeniach najlepszych firm światowych.
- Odbitki barwne robione wyłącznie w automatach AGFA i GRETAG na papierach polskich i zagranicznych.
- Odbitki ze slajdów wykonywane techniką specjalną na papierze odwracalnym.

STUDIO FOTOGRAFICZNE AFP
ZAPRASZA!

adres: 03-318 Warszawa, ul. Ogińskiego 5a, tel. 11-50-95.
00-545 Warszawa, ul. Marszałkowska 72,
tel. 28-32-29.

Prace można również nadsyłać pocztą.

2506/K

UBEZPIECZA
NOWOCZESNYCH



Szanowni Państwo

Polisa „WESTY” na ubezpieczenie następstw zakażenia AIDS:

- legitymacją zdrowia wobec społeczeństwa,
- gwarancją w razie nieszczęścia.

Wśród wąskiej grupy dawców krwi wykryto nosicieli AIDS. Twoi znajomi i współpracownicy mogą być nosicielami tej groźnej, dla Ciebie i Twoich najbliższych, choroby.

Twoja skóra często jest uszkodzona, zaś w jamie ustnej zdarzają się rany. Jeśli nie nosisz okularów jesteś również narażony na zakażenie wirusem. Wirusa AIDS stwierdza się już u zwierząt.

POLISA „WESTY” TO LEGITYMACJA!!

Polisa „WESTY” to gwarancja źródła utrzymania, gdy przytrafi się Tobie nieszczęście zakażenia tą groźną chorobą — otrzymasz jednorazowo całą sumę ubezpieczenia albo rentę miesięczną w wysokości 1/90 sumy ubezpieczenia.

**NIKT W ŚWIECIE NIE DAJE TAKIEJ SZANSY
POMYŚL! SKALKULUJ!**

N O W O S C I

Ubezpieczenie od następstw błędów leczenia.

- Czy chcecie spać spokojnie, nie bać się ryzyka i powikłań związanych z operacją i leczeniem?
- Czy chcecie otrzymać pomocną dłoń, gdy zostanie postawiona błędna diagnoza, źle przeprowadzony zabieg lub operacja, nastąpi pomyłka w sporządzeniu leku?

Jeśli tak — to nie zwlekajcie! Proponujemy nowoczesną formę ubezpieczenia od następstw błędów w leczeniu.

Jeśli lekarz na skutek niedbalstwa, lekkomyślności lub braku należytej wiedzy spowoduje uszkodzenie ciała, nieuleczalną lub długotrwałą chorobę, rozstrój zdrowia — będziemy z Wami w ciężkich chwilach. Otrzymacie odszkodowanie i satysfakcję moralną.

- Dla niesamodzielnego dziecka, małżonka lub konkubenta ubezpieczonego — w przypadku śmierci — wypłacamy rentę i pokrywamy koszty pogrzebu.
- Ubezpieczenie obejmuje błędy popełnione w lecnictwie państwowym, spółdzielczym i prywatnym przez lekarzy, pielęgniarki, administrację placówek medycznych, a także powikłania będące skutkiem złych warunków sanitarno-higienicznych!

- Bezkonkurencyjne warunki finansowe ubezpieczenia.
- Ubezpieczając pojedynczy zabieg lub operację na sumę np. 100 tys. zł płacimy jednorazowo tylko 2 tys. zł!

NASZA POLISA — TO ZDROWY SEN I POGODNY DZIEŃ

Szczegółowych informacji udzielają pośrednicy ubezpieczeniowi i Przedstawicielstwo „WESTY”, Łódź, ul. Nowotki 8, tel. 32-56-61. 2799/K

TEATRY ŁÓDZKIE PROPONUJĄ

W roku 100-lecia sceny polskiej w Łodzi, chcemy szerzej i inaczej informować o życiu teatralnym naszego miasta. Pełni ufności w możliwości przeciwdziałania rozbiciu środowiska teatralnego, chcemy umożliwić działanie tym wszystkim, którym konsolidacja, rozumiana jako polemiczne współdziałanie i twórcza prowokacja leży głęboko na sercu. Proponujemy dyskursywną reklamę wydarzeń artystycznych, uznanych przez ich twórców za ważne i godne popularyzacji, zwłaszcza że Łódź ma w tym względzie dobre tradycje.

Różnorodność formy, prezentowanych niżej a nadesłanych przez teatry informacji świadczy niewątpliwie o swoistej indywidualności każdego z zespołów i pozostawia nadzieję, że sukcesywne zderzanie tak różnych oblicz łódzkiej Melpomeny stanie się zaczynem konstruktywnej i jakże ważnej dla środowiska nie tylko artystycznego, wymiany doświadczeń teatralnych. Ewentualne uwagi Czytelników chętnie przełożymy zainteresowanym

MARIOLA WIKTOR i ANDRZEJ BARTOSIEWICZ

2957/K

TEATR - STUDYJNY '83

KRWIOPIJCY WSZYSTKICH KRAJÓW ŁĄCZCIE SIĘ

OBYWATELU!!! — jeżeli czujesz się osowiały, niezdolny do wielkich czynów, nie widzisz sensu życia, bo Ci oczy czerwienieją i na bierają dziwnego blasku, brakuje Ci pieniędzy w połowie miesiąca, na Twych paznokciach, które zmieniają się w szpony, pojawiają się białe punkciaki. Twe wargi pękają, a kąciki ust wychylają się ku dołowi. Wypadają Ci włosy i żeby trzonowe, a siekacze ulegają wydłużeniu zastępczemu i wyostreniu. Stajesz się przezroczysty i z trudem rozpoznajesz się w lustrze, z utęsknieniem wyczekujesz zachodu słońca, odczuwasz niechęć do dostojnych i wielkich osobistości i wielkich indywidualności naszych czasów, nie mówiąc już o najbliższych, a praca na nocnej zmianie sprawia Ci wielką przyjemność — to wiedz! że ktoś Cię ssie! Ciebie, Twoje dziecko, Twoja rodzinę!!! To nieprawda, że Twoje potomstwo jest skazane, nie słuchaj plotek, poznaj fakty. NOSFERATU SIMPLEX wcześniej wykryty jest uleczalny. Nie stosuj środków domowych, nie trać głowy bez konsultacji z chirurgiem.



W naszej placówce przy ulicy Kopernika 8, tel. 36-41-66 zostaniesz skutecznie wyleczony metodą Profesora Van Helsinga. Przyjęcia w dniach: 27, 28, 29, 30 października i 3, 4, 5, 8, 9 listopada o godzinie 19.

TEATR STUDYJNY Łódź, ul. Kopernika 8, tel. 36-78-88

„DRACULA”

wg BRAMA STOCKERA

widowisko z udziałem zespołu IMPERATOR

Widmo wampiryzmu krąży po Europie.

2958/K

TWÓRZ WOKÓŁ SIEBIE ŁAD MORALNY

„JAJA JAK BERETY” * „CZEGO NIE WIDĄĆ” * „BONJOUR MARCEL D” * „JAJA JAK BERETY” * „CZEGO NIE WIDĄĆ”

Teatr NOWY w Łodzi

WALKA TEATRU I JEGO MAGII Z OKRUCIEŃSTWEM I PRZEMOCĄ W IMIĘ RADOŚCI ŻYCIA I WOLNOŚCI CZŁOWIEKA!

CO GROZI AKTOROM PRZYBYŁYM DO MAŁEGO MIASTECZKA, GDZIE RZĄDZI TERROR?

Wędrowny teatr Sopalovicia

LJUBOMIRA SIMOVICIA, reżyseria zespołowa, scenografia: JAN BANUCHA, muzyka: EWA KORNECKA.

Premiera: 17 września 1988 roku w Dużej Sali

TEATRU NOWEGO

2957/K

TEATR POWSZECHNY

Dyrektor Naczelny i Artystyczny
BOGDAN PAWŁOWSKI

Bez wątpienia, najbardziej wojującym w październiku teatrem łódzkim jest Teatr Powszechny. Smutna to zapewne wiadomość dla jego sympatyków, którym donosimy, iż w dniach 14. X. — 21. X. 88, zespół dyr. Pawłowskiego bawi w Wilnie, prezentując tamtejszej publiczności „Cyda” Morsztyna oraz „Panienki Madame Tiny” Pierre’a Chesnoty. W kilka dni później Teatr Powszechny spodziewany jest we Frunze, jako jeden z zagranicznych zespołów na festiwalu poświęconym twórczości wybitnego pisarza radzieckiego narodowości kirgiskiej — Czingiza Ajtmatowa. I nie bez powodu, bowiem, sztuka oparta na motywach powieści tego autora zajmuje ważne miejsce w repertuarze Teatru Powszechnego.

Dzień dłuższy niż stulecie

CZINGIZ AJTMATOW

adaptacja: ALEKSANDR WILKIN
przekład: ALEKSANDER BUGDAŃSKI

DZIEŃ DŁUŻSZY NIŻ STULECIE to wspaniała opowieść sceniczna zawierająca w sobie zarówno historię jak i wizję przyszłości jednostki poddanej działaniu sił i systemów zmierzających do unicestwienia indywidualnej ludzkiej osobowości i metodami oświeczonej oraz fizycznej siły zmuszających ją do utraty pamięci, zdolności uczuć i umiejętności własnego, samodzielnego myślenia. Opowieść ta jest opisem jednego długiego dnia wyprawy grona żalobników przez step na pradawną, uśpioną tradycję cmentarzysko. W uczestnikach żalobnego konduktu moment rozstania z przyjacielem budzi nie tylko wzruszenia, lecz także głębokie refleksje. Odżywiają w nich odległe legendy i obrazy z całkiem jeszcze niedługiej a często jolennej historii. Ich własne doświadczenia budzą w żalobnikach nie uświadamianą sobie nawet troskę o los człowieka i świata przyszłości.

Rzeczywistość, mity i legendy, historia oraz fantastyka kosmiczna posłużyły Czingizowi Ajtmatowowi do poruszenia wielu spraw o znaczeniu uniwersalnym i wyrażenia niepokoju o losy świata poszerzającego się o kosmos, jednak duchowo pustoszącego.

Realizatorami spektaklu są wybitni twórcy zaproszeni przez Teatr Powszechny ze Związku Radzieckiego: Aleksandr Wilkin — czołowy reżyser wspaniałego moskiewskiego Teatru na Tagance, Jurij Dolomanow — wybitny scenograf oraz Nikita Szirkow — znakomity kompozytor młodego pokolenia. Konsultantem do spraw kosmonautycznych jest w tym spektaklu radziecki lotnik-kosmonauta Georgij Greczko. Fascynujący układ choreograficzny skomponowała Janina Niesobka.

Teatr Powszechny serdecznie zaprasza do obejrzenia tego znakomitego spektaklu, polecając jednocześnie uwagę swoich sympatyków „Sen nocy letniej” — jedną z najświetniejszych komedii szekspirowskich.

Sen nocy letniej

WILLIAM SZEKSPIER

(A Midsummer Night's Dream)
przekład: KRYSZYNA BERWINSKA
muzyka: CZESŁAW NIEMEN

Jest „Sen nocy letniej” ze wszystkich sztuk swego autora utworem najbardziej erotycznym, a erotyka, którą dzieło to zdaje się być przesycone jest tu równie bogata w odcienie jak wszystkie wielkie i silne uczucia, o których mówi w swych sztukach Szekspir — największy dramaturg doby nowożytnej.

Zarówno prawda i siła tych głębokich uczuć, jak i szekspirowski humor, w którym delikatny dowcip w naturalny sposób przenika się z rubasznym żartem, czyni z tej komedii dzieło wiecznie młode i w każdej epoce współczesne. Przedstawienie zrealizowane przez Teatr Powszechny przekona o tym niezbicie i sugestywnie. A uczyni to tak, jak potrafi zrobić to scena mistrzowsko posługująca się wszystkimi środkami artystycznego wyrazu inscenizacyjnego.

Zaskakująca arcyceiekawymi rozwiązaniami reżyseria Daniela Bargielowskiego, frapująca scenografia i kostiumy zaprojektowane przez Iwonę Zaborowską, bogata w rysunku choreografia będąca dziełem Janiny Niesobskiej i fascynująca muzyka... Czesława Niemena złożyły się na wspaniałą wizję inscenizacyjną. Twórczy zamysł tak doskonałego grona twórców wspaniale realizuje występujący w tym przedstawieniu niemal cały zespół aktorski Teatru Powszechnego w Łodzi.

Zapraszając do obejrzenia „Snu nocy letniej” Teatr Powszechny przypomina, iż w repertuarze tej sceny pozostają wartościowe i cieszące się dużym powodzeniem inscenizacje „Trzech sióstr” A. Czechowa, „Cyda” J. A. Morsztyna.

Oprócz spektakli dla dorosłych scena przy Obrońców Stalingradu serwuje przedstawienia dla publiczności dziecięcej. W tym sezonie Teatr Powszechny zaprasza na spektakle: „Niedźwiedź króla Gniewobora”, piosenki I. Sikirycy i „Pierścień i Róża” W. Thackeraya.

KIEROWNIK LITERACKI: EWA PANKIEWICZ

2958/K



Foto: Romuald Sakowicz

TEATRY ŁÓDZKIE PROPONUJĄ



Teatr im. Stefana Jaracza w Łodzi



"CZARNA DZIURA"
Gorana Stefanovskiego
najnowszą premierą!
Reżyseruje gościnnie
LJUBIŠA GEORGIEVSKI !!
Już 19 października!

ZAPRASZAMY !!!

2956/K



teatr 77

Teatr 77 wkroczył w dziewiętnasty rok działalności. Jest to sezon, w którym tę niewielką, lecz mocno już wrosniętą w łódzki pejzaż kulturalny placówkę, czekają duże zmiany. Właśnie się to ze zmianą statusu teatru. Powstało **STOWARZYSZENIE TEATRALNE „TEATR 77”**. W działalności Teatru pojawiają się nowe możliwości, wynikające z uprawnień i szans, jakie stwarza stowarzyszenie. I chociaż za wcześnie jeszcze mówić o szczegółach, można powiedzieć, że powstanie Stowarzyszenia będzie miało wpływ na profil i działalność teatru, a obok dotychczasowych, znanych już form pojawiają się w niej nowe.

Kierownictwo i zespół Teatru 77 spodziewają się przede wszystkim powiększenia skromnych dotąd możliwości finansowych. Krepowały one i utrudniały nawet normalną działalność Teatru, polegającą na przygotowywaniu nowych premier. Ich liczbę i częstotliwość znacznie ograniczał niewielki budżet. Powstanie Stowarzyszenia stwarza nadzieję na poprawę tej sytuacji, bez czego trudno sobie w tej chwili wyobrazić rozwój.

Nie czekając na spodziewane zasadnicze zmiany, Teatr 77 podjął, jak co roku, swoją działalność na dotychczasowych zasadach. W październiku będzie on co prawda jeszcze nieobecny w kalendarzu repertuarowym łódzkich scen. Przygotowuje się bowiem do podróży artystycznej – do Czechosłowacji i na Węgry.

W trakcie dwutygodniowego tournée – poczynając od 16 października – zespół Teatru przedstawi **„CLOWNÓW”** Andrzeja Strzeleckiego w reżyserii autora (9 razy – w trzech miastach: Pradze, Budapeszcie i Szekesfeherwarze). W tej chwili trwają prace nad wznowieniem tej sztuki, której premiera w Teatrze 77 odbyła się w 1983 r. i która miała na tej scenie rekordową liczbę przedstawień (100!), ciesząc się niezmiennym powodzeniem.

Oprócz „Clownów” Teatr 77 pokaże w Pradze adaptację znanego opowiadania Janusza Głowackiego **„CORAZ TRUDNIEJ KOCHAĆ”** w reż. Zdzisława Hejduka (spektakl – podobnie jak „Clowni” – nagrodzony na Ogólnopolskim Przeglądzie Teatrów Małych Form w Szczecinie) a w Budapeszcie – najnowszy spektakl – **„MARI”** György Schwajdy, węgierskiego dramaturga (jest to polska prapremiera tej sztuki) w tej samej reżyserii.

Warto dodać, że prezentacja tej ostatniej sztuki stanie się okazją do współpracy aktorów występujących w „Mari” z aktorami węgierskiej grupy **„SZKENE”** z Budapesztu, który jest stroną zapraszającą i gospodarzem łódzkich „Siódemek”. Na rewizytę teatru **„SZKENE”** w Teatrze 77 spodziewana jest – ze sztuką **„SEN NOCY LETNIEJ”** Williama Szekspira – w listopadzie br.

Zapowiada się więc nowy, interesujący etap we współpracy Teatru 77 z teatrami zagranicznymi, współpracy mającej już długą i ciekawą tradycję. Początki tej współpracy sięgają lat 70., a rozmachu i tempa współpracy ta nabrała z chwilą utworzenia – w 1976 r. – Międzynarodowej Federacji Teatru Niezależnego w Sztokholmie (IFIT). Do najbardziej znaczących faktów w tej współpracy należą wspólne wypowiedzi społeczno-teatralne Teatru 77 z innymi zespołami: **„SKRZYŻOWANIE”** (1978, z Teatr 9 ze Sztokholmu), **„WIOSNA LUDÓW”** (1978, z Divadlo na Provazku z Brna) i **MIĘDZYNARODOWY PROJEKT TEATRALNY „RAZEM”** – LABIRYNT ŚWIATA I RAJ SERCA (z 4 innymi grupami, Kopenhaga 1983).

W tej chwili Teatr 77 – wraz z grupą zaprzyjaźnionych teatrów z różnych krajów (m.in. z Czechosłowacji, Węgier, Jugosławii, Włoch, RFN) – przygotowuje się do realizacji na dużą skalę zakrojonego międzynarodowego projektu **„DROGA DO DELE”**. Gotowe są założenia programowe, powstał komitet koordynujący działalność teatrów, trwają starania o uzyskanie funduszy, powstaje zarys koncepcji całości tej niezwykle w zamierzeniu drogi, jaką przebędą teatry ze swoich krajów do Grecji ażeby tam, u stóp Świątyni Apollina w Delfach, spytać o przyszłość Europy i świata.

PROJEKT „DROGA DO DELE” skupi największą uwagę zespołu Teatru 77 w ciągu najbliższych dwóch lat, zarówno w sez. 1988/89 jak i w jubileuszowym, dwudziestym roku działalności. Tak szeroka, z rozmachem pomyślana inicjatywa społeczno-artystyczna wymaga wielu starań i dużej koncentracji – zaangażowania wszystkich członków Teatru, nakładu poważnych sił i środków, których zdobycie jest – jak się wydaje – największym problemem.

Niezależnie od tego zdarzenia jakim będzie DROGA DO DELE, Teatr 77 prowadzić będzie w sezonie 1988/89 działalność repertuarową we własnej siedzibie. Oprócz spektakli znajdujących się w repertuarze („Coraz trudniej kochać”, „Nawrócony” wg Marka Hłaski, „Mari” baśka dla dzieci, „Wzywam was wszystkie krasnoludki – królowna!”), rozpoczęto przygotowania adaptacji teatralnej powieści W. Jerofiejewa **„MOSKWA – PIETUSZKI”** zatytułowanej – dla potrzeb tego wystawienia – **„... DLACZEGO?”**. Z początku będzie to warsztat dla aktorów, kierownictwo Teatru ma jednak nadzieję, że uda się uzyskać zgodę na realizację spektaklu, który dzięki swojemu tematowi, tyleż ważnemu, co wywołującemu kontrowersje w ZSRR, a także dzięki gościnniej reżyserii znanego, reżysera Jacka Zembrzuskiego, ma szansę stać się teatralnym wydarzeniem.

(T. S.)
2954/K



**teatr muzyczny
w łodzi**

zaprasza

na premiere

operetki

FREDA RAYMONDA

Błękitna maska

libretto — HEINZ HENTSCHKE

teksty piosenek — GÜNTHER SCHWENN

tłumaczenie — KRYSZYNA CHUDOWOLSKA

i JÓZEF TALARCZYK

SZANOWNI PAŃSTWO!

Chętnie zaprezentować Wam jeden z najpopularniejszych utworów przełomu lat trzydziestych i czterdziestych naszego stulecia. „Błękitna Mask” powstała w r. 1937 w wyniku współpracy Freda Raymonda (właśc. Friedricha Vesely) z Heinzem Hentschke, dyrektorem znanego berlińskiego teatru muzycznego Metropol-Theater. Operetka ta jest wielką rewia przebojów, o jej melodie zyskały ogromne powodzenie u publiczności. Do najbardziej znanych zaliczyć trzeba: O JULISZKA, O JULISZKA! TEMPERAMENT MAM, CZA-CZA, ZWODNICZY BYWA BLASK OCZU PIĘKNEJ KOBIETY, WIOSNA W SAN REMO.

Miłosne perwpetie, artystyczna bohema, piękne krajobrazy – wszystko to sprawia, że „Błękitną Maskę” ogląda się z prawdziwą przyjemnością.

Reżyseria — ZBIGNIEW MAREK HASS

Kierownictwo muzyczne — TADEUSZ BŁASZCZYK

Kierownictwo chóru — ROMAN PANIUTA

Scenografia — ANNA BOBROWSKA-EKIERT

Choreografia — WŁODZIMIERZ TRACZEWSKI

**PREMIERA 29 PAŹDZIERNIKA 1988 ROKU
SERDECZNIE ZAPRASZAMY!**

2955 k



Piotr Krukowski w sztuce „Coraz trudniej kochać”

Foto: Romuald Sakowicz

Atrakcyjne ubezpieczenia w PZU

NOWE, BARDZIEJ ATRAKCYJNE ZASADY UBEZPIECZEŃ I USTALENIA ODSZKODOWAŃ
PROPONUJE P.T. KLIENTOM

Państwowy Zakład Ubezpieczeń

nowe zasady dotyczą m. in.:

* W UBEZPIECZENIU MIESZKAŃ i DOMÓW LETNISKOWYCH oraz BAGAŻY, WARSZTATÓW, SKLEPÓW

- możliwości ubezpieczenia biżuterii, dzieł sztuki i innych cennych przedmiotów do wysokości rzeczywistej ich wartości; dotyczy to również stałych elementów wyposażenia mieszkania,
- ustalania odszkodowań za szkody powstałe w wyniku zalania mieszkania — według aktualnych cen usług budowlanych,
- możliwości zawarcia umowy ubezpieczenia przedmiotów pochodzenia zagranicznego, gwarantującej odszkodowania ustalone wg cen komisowych lub tzw. przelicznika dewizowego stosowanego przez przedsiębiorstwo „PEWEX”,
- rozszerzenia odpowiedzialności PZU na wszystkie szkody zaistniałe w bagażu klienta w czasie jego przebywania poza stałym miejscem zamieszkania,
- możliwości stosowania dogodnej, ratałnej opłaty składek za ubezpieczenia.

Ponadto można w PZU zawierać ubezpieczenia majątkowe na indywidualnie ustalonych z klientem warunkach i kwotą składki wg tzw. zasady „polis sztych na miarę”, tj. wg rzeczywistych potrzeb klienta.

Uprawnienia w tym zakresie mają wszystkie inspektoraty PZU.

* W UBEZPIECZENIU OD SKUTKÓW NIESZCZĘŚLIWYCH WYPADKÓW

- rozszerzenia począwszy od 1 stycznia 1989 r. — zakresu świadczeń za wypadek lub obniżenia taryfy składek przeciętnie od 10 proc. do 20 proc. — stosownie do uzyskiwanych wyników w tej grupie ubezpieczeń; w ra-

UWAGA!

W związku z przypadkami wprowadzania naszych ubezpieczonych w błąd przez różne osoby podające się za pośredników PZU, informujemy, że pośrednicy PZU będą (również bez żądania) legitymować się upoważnieniem zaopatrzone w pieczęć okrągłą z godłem państwowym.

Osoby nie posiadające takiego dokumentu nie są przedstawicielami PZU i nie są upoważnione do powoływania się na nazwę państwowego zakładu ubezpieczeń.

Łódź, 1988.10.18.

mach tego ubezpieczenia PZU zwraca także koszty leczenia nie pokryte z ubezpieczenia społecznego.

* W UBEZPIECZENIU ODPOWIEDZIALNOŚCI CYWILNEJ

- możliwości rozszerzenia zakresu ubezpieczenia także na zobowiązania wynikające z odpowiedzialności kontraktowej.

* W UBEZPIECZENIU NA ŻYCIE

- skrócenie czasu oczekiwania na wypłatę świadczenia; wypłata z tytułu grupowego ubezpieczenia rodzinnego na życie następuje w dniu zgłoszenia zdarzenia (w wielu przypadkach oznacza to wypłatę „od ręki”),
- możliwości przystąpienia do indywidualnego kontynuowania ubezpieczenia na życie osób w wieku do 75 lat (poprzednio do 65 lat).

W ramach wszystkich rodzajów ubezpieczeń na życie oraz nieszczęśliwych wypadków PZU wypłaca świadczenia również w przypadku utraty życia ubezpieczonego (współubezpieczonego) z powodu choroby AIDS.

* ZAPOBIEGANIE WYPADKOM

W 1989 roku PZU zwiększa środki finansowe na działalność mającą na celu zapobieganie zdarzeniom losowym; ze środków tych mogą skorzystać m. in. szkoły, które zawarły z PZU umowę ubezpieczenia młodzieży, komitety osiedlowe i inne instytucje organizujące miejsca bezpiecznych zabaw dla dzieci oraz instalujące urządzenia zabezpieczające przed wypadkami.

POŚREDNICY UBEZPIECZENIOWI PZU

udzielają wyjaśnień odnośnie wszelkich spraw związanych z ubezpieczeniami oraz czynnościami dotyczącymi zgłoszenia szkody.

Baltona

PHU „OTEX”
w Łodzi

PHZ „BALTONA” SA
w Gdyni

Z A P R A S Z A J A

do swoich sklepów, polecając:

— ul. ZGIERSKA 22

- * sprzęt RTV i audiowizualny
- * kasety video
- * art. kosmetyczne
- * zegary i zegarki
- * zabawki i kalkulatory

sklep czynny w godz. 10—18
w soboty, w godz. 10—15

— ul. ZGIERSKA 11

- * art. spożywcze
- * napoje

sklep czynny w godz. 10—18
w soboty, w godz. 10—15

ŻYCZYMY UDANYCH ZAKUPÓW!

2494 R



Tylko

od 5 października
do 15 listopada br.

KAŻDY ZAKUP

* K A W Y *

ziarnistej, mielonej, instant

o wadze od 1 kg wzwyż

TAŃSZY O 10 PROC.

Zapraszamy do wszystkich sklepów prowadzących sprzedaż artykułów spożywczych.

2854 K

„ODGŁOSACH”
zapraszaj się

TEATR IM. STEFANA JARACZA
Łódź, ul. Kilińskiego 45

Z A T R U D N I

* PROWIZYJNYCH KOLPORTERÓW BILETÓW,

- * MONTAŻYSTÓW
- * DEKORACJI,
- * ELEKTRYKÓW-
- * -OŚWIETLENIOWCÓW,
- * STOLARZY,
- * GARDEROBIANA,
- * REKWIZYTORA,
- * ROBOTNIKA
- * GOSPODARCZEGO.

Bliższe informacje — Dział Kadr, tel. 33-97-80 w. 24.

0033/IC

Instytut Innowacyjno-Wdrożeniowy

INCOM

Spółka z o.o. (j.g.u.)
Plac Zwycięstwa nr 13
tel. 74-24-28, 74-30-38

Z A P R A S Z A

do współpracy, na początek jako pracowników zleceńowych

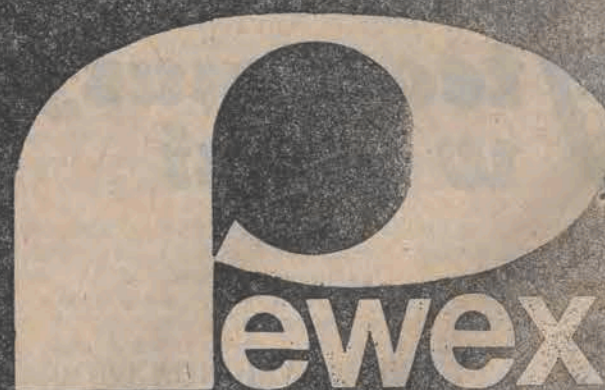
MŁODYCH INŻYNIERÓW I PRACOWNIKÓW NAUKI.

Instytut prowadzi działalność innowacyjną w zakresie:

- techniki cieplnej, energoelektroniki, elektroenergetyki, inżynierii chemicznej,
- badań hydrogeologicznych, projektowania i wiercenia studni.

Nie wykluczamy rozszerzenia zakresu działalności.

2961/K



UWAGA RZEMIEŚLNICY

W dniach 17-31 października
DZIANINA PODPINKOWA
„BIAŁY BARANEK”

20% taniej